

**Rusik Robert**

**Isabelle**

## **Spis treści**

<b>Isabelle.....</b>	<b>str. 4</b>
<b>Spragniony.....</b>	<b>str. 20</b>
<b>Dni ostatnie.....</b>	<b>str. 34</b>
<b>Mróz.....</b>	<b>str. 50</b>
<b>Dzień Ojca.....</b>	<b>str. 58</b>
<b>Tajemnica wawelskiego wzgórza.....</b>	<b>str. 64</b>
<b>Zaplata.....</b>	<b>str. 82</b>
<b>Dżin.....</b>	<b>str. 88</b>
<b>Dzieci galaktyki.....</b>	<b>str. 102</b>
<b>Śmierć Małego Księcia.....</b>	<b>str. 121</b>
<b>Operacja „Armageddon”.....</b>	<b>str. 123</b>
<b>Ciurrry!.....</b>	<b>str. 136</b>
<b>Lux Perpetua.....</b>	<b>str. 139</b>
<b>Kartonowe życie.....</b>	<b>str. 143</b>
<b>Gra.....</b>	<b>str. 152</b>
<b>Złota rybka.....</b>	<b>str. 154</b>
<b>Zaklęta w żabę.....</b>	<b>str. 166</b>
<b>Duchy Marsa.....</b>	<b>str. 168</b>
<b>Wybraniec.....</b>	<b>str. 184</b>
<b>Zaproszenia.....</b>	<b>str. 186</b>

## Isabelle

*"Dla mojej kochanej żony - Isabelle "*

**13 stycznia** Mogę jechać!!

Wszelkie testy i badania przeszedłem pomyślnie, wystarczy jeszcze tylko jeden podpis i spełni się moje marzenie. Wyjazd do Iraku!

Biedny, zapuszczony kraj. Pięknie jest bronić demokracji. Szkoda tylko, że Irakijczycy tego nie rozumieją. Czyż naprawdę lata niewyobrażalnego terroru niczego ich nie nauczyły? Wyciągamy do nich pomocną dłoń, a oni ją odrzucają. Nie potrafią chyba docenić możliwości spokojnego wyjścia do kina czy kawiarni bez obawy, że ktoś ich zastrzeli. Musimy nauczyć ich, jak żyją wolni ludzie. Ludzie, nie zastraszone szcurki.

Muszę jeszcze porozmawiać dziś z Izą. Dlaczego kobiety nie potrafią zrozumieć, że mężczyźni też mają marzenia? Akceptuje moją decyzję o zostaniu zawodowym żołnierzem, bo wie, że mnie to kręci, ale kiedy opowiadałem jej o swoim pomysle wyjazdu do Iraku, zaczęło się kręcenie nosem. Po co tak daleko, przecież to całe pół roku, zabiją cię, do Arabów sobie chcesz postrzelać... I one potem mówią, że to faceci myślą prosto i nieskomplikowanie. Kocham ją, ale czasami ręce opadają, jak słyszę takie argumenty.

Szkoda tylko, że będziemy musieli przesunąć ślub. Zaręczyny planujemy za cztery miesiące, ślub miał być w październiku, ale jeśli wyjadę na początku czerwca, to się nie uda. Nie można mieć w życiu wszystkiego, niestety. Mam nadzieję, że Iza to zrozumie.

Beacie też się z początku podobało, że jestem żołnierzem i zamierzam się z wojskiem związać na długo. Imponowało jej, że mogła się pokazać z wysokim, wysportowanym blondynem w mundurze. Z góry spoglądała na koleżanki, ucieszona ich zazdrośnymi spojrzeniami.

A potem się okazało, że nie potrafi sobie poradzić z faktem, że jej chłopak co chwilę ma jakieś ćwiczenia czy wyjazdy na poligon. Zaczęły się niesnaski, aluzje, z początku jeszcze delikatne, potem coraz bardziej bezpośrednie. Dotarło do mnie, że jestem dla niej tylko mundurową marionetką. Na szczęście nie musiałem długo się męczyć, odeszła sama do jakiegoś ochroniarza. Kupa mięśni, bycza szyja, inteligencja hydrantu, a w dodatku diler narkotyków na wiejskich dyskotekach. Powodzenia, malutka...

Z Izą jest zupełnie inaczej. Nie muszę robić przy niej za modela z reklamy pasty do zębów, jest nam po prostu razem dobrze. Rozumiemy się bez słów. Wiem, miała nadzieję, że nie pojedę na tą misję. Twierdzi, że zawodowym żołnierzem można być równie dobrze w kraju. A przecież to powołanie. Nie chcę tylko siedzieć i nic nie robić, pragnę czuć się potrzebny, dać komuś wolność, nadzieję. Pewnie, że można to robić na różne sposoby, można zostać księdzem, nauczycielem, policjantem. Co złego w tym, że ja chcę być żołnierzem?

### **13 stycznia, wieczór**

Mogłem się tego spodziewać. Wiedziałem, że to zdanie padnie. One chyba je mają jakoś genetycznie zaprogramowane w zwojach mózgowych. "To kto jest dla Ciebie ważniejszy, ja czy jacyś Irakijczycy?"

Weź tu człowieku odpowiedz na takie pytanie.

Było trochę płaczu, długa dyskusja (na szczęście rzeczowa), kolejne zdanie z odwiecznego repertuaru kobiecego ( kupa gadania, a potem - "a zresztą rób jak uważasz" takim tonem, że wybór może być tylko jeden), w końcu jednak stanęło na tym, że zgodę dostałem. Oczywiście nie bezwarunkowo, ale co tam. Ślub przełożymy na czas po moim powrocie.

## **15 stycznia**

Obiad rodzinny. Przyszła teściowa trochę dziwnie na mnie patrzyła, też jej się chyba mój pomysł nie spodobał. Natomiast teść jest zachwycony, choć nie okazuje tego przy szanownej małżonce. Za to pod wieczór wziął mnie do siebie i pokazał swoje skarby. Orzełek wojskowy, mundur, legitymacja żołnierza AK, dużo fotografii (na wielu z nich namalowane były odręcznie czarne krzyżyki). Łuska z karabinu, z którego snajper o mało go nie zastrzelił - kula przeszła przez obojczyk. Kiedy oglądałem razem z nim mapy sztabowe, czytałem stare listy, poczułem się jak w muzeum. Romantyzm wojennego okrucieństwa.

## **17 stycznia**

Niebo spowite jest ciemnymi chmurami. Nadchodzi zmierzch. Nad ziemią snują się pasemka mgły. Idę ulicami małego miasteczka. Wydaje mi się, że byłem tu już nieraz. Małe, foremne domki otaczają niewielki rynek. Na jego środku, przy cembrowanej studni stoi drewniany żuraw. Drogi wybrukowane są kostką. Jestem sam w miasteczku, na ulicach nie ma ludzi, wszystkie światła w domach są pogaszone. Przez delikatny szum wiatru przebijają się niewyraźne szepty. Nagle czuję zimne dreszcze na plecach.

Odwracam się.

Ona stoi bez słowa, kilka kroków przede mną. Jest niska, wysoko podnosi głowę, kiedy na mnie spogląda. Podmuchy wiatru rozwiewają długie, ciemne włosy okalające drobną twarzyczkę. Srebrzysty skarabeusz lśni na jej szyi, doskonale komponując się z głęboką czernią długiej sukni. Wpatruje się we mnie bez słowa. W jej oczach widzę... Smutek? Cierpienie?

Próbuję do niej podejść, jednak, nie spuszczać ze mnie wzroku, cofa się. Nagle na jej twarzyczce pojawiają się łzy. Obraca się, po czym znika w bocznej uliczce. Biegnę za nią, skręcam za róg.

Nie ma nikogo.

Przedemną znajduje się pokryta słomianą strzechą chatka. Lekko przegniłe,

drewniane drzwi wydają się być uchylone. Widać otwory po śrubach, ale kołatka chyba gdzieś odpadła. Nie wiem, skąd jestem pewien, że wykonana była z mosiądzu i miała kształt byczej głowy. Rozpadające się okiennice otwarte są na oścież.

Pociągam klamkę, drzwi otwierają się szeroko, opluwając mnie gęstym pyłem. Ciszę przeszywa donośny zgrzyt. Kiedy wchodzę do środka, wizja rozmazuje się. Jedyne, co jestem w stanie zobaczyć, to obraz na ścianie.

Jej portret.

Śnię ten sen już od kilku dni. Zastanawiam się, kim jest ta dziewczyna. Nie przypomina nikogo, kogo bym znał, a jednak jej twarz wydaje się dziwnie znajoma. Podobnie zresztą jak ten dom. Dziś udało mi się zauważyć, że na złotej tabliczce przypiętej do ramy portretu znajduje się napis: "Isabelle d'Anjour".

Dziwne.

## **20 stycznia**

To był wspaniały weekend. Rano zwiedzaliśmy ZOO, potem poszliśmy na pizzę i Colę. Iza pogodziła się już chyba z moją decyzją. Wiem, że nie przyszło jej to łatwo. Serce mi rosło, kiedy znowu słyszałem szczerą, radosny chichot. Nie poruszaliśmy w ogóle tematu wyjazdu.

Trzymając się za lepkie od waty cukrowej dłonie, ruszyliśmy do Wesołego Miasteczka. Popłakaliśmy się ze śmiechu w gabinecie luster, krzyczeliśmy jak wariaci w Tunelu Strachu, lataliśmy niczym skowronki na karuzelach. Zapomnieliśmy o wszystkim.

Pod koniec dnia zdarzył się mały zgrzyt. Ni stąd, ni zowąd pojawił się przed nami mały cyganek. Podleciał i wsadził Izie rękę do kieszeni, po czym natychmiast uciekł. Podbiegł do stojącej opodal grupki Romek i pokazywał triumfalnie dwa złote, które wyciągnął mojej ukochanej z kieszeni.

Iza spojrzała na mnie, chcąc coś powiedzieć. Ale przemilczała to.

Wiem, kochanie, wiem.

## **25 stycznia, noc**

Księżyc, odbijając się w monitorze komputera, zagląda mi przez ramię i sprawdza, czy coś znalazłem. Siedzę w internecie i szukam jej. Tajemniczej Isabelle. Jest absolutna cisza, przerywana tylko czasem pohukiwaniem sowy. Iskiereczki świetlików bezustannie ścigają się za oknem.

Czyż to nie wspaniałe wynalazek? Jeden mały programik, monotonicznie przeżuwiający miliardy literki w poszukiwaniu rozwiązania. Czekam, czekam, czekam...

Ktoś powiedział, że jeżeli czegoś nie można znaleźć w internecie, to takie coś nie istnieje.

O Isabelle d'Anjour nie ma ani słowa.

Kawałki ciał walają się po jezdni. W tle płoną samochody, słychać sygnał karetki. Tłum Arabów wznosi niezrozumiałe okrzyki, jeden z nich strzela w powietrze, inny z dumą prezentuje przed kamerą odciętą głowę. Dwie kobiety klęczą przy zwłokach, przez krzyk tłumu przebija się ich szloch. Ekran telewizora zaczyna ociekać krwią.

"Tylko jedna rzecz jest gorsza od wojny wygranej - to wojna przegrana." -

Wellington.

**30 stycznia**

Jestem zmęczony. Nie mogę spać po nocach, a kiedy już zasnę, przychodzi Ona. Śnię ten sam sen, po czym budzę się. Odczuwam smutek, żal. Przed oczami mam jej nieruchome, utkwione we mnie spojrzenie.

Co mi chcesz powiedzieć, Isabelle?

**2 luty**

Byliśmy z Izunią w kinie na kolejnej superprodukcji. Jak zawsze, miliony dolarów wyrzucone w błoto. Papka dla amerykańskich półgłówków, jedynie efekty specjalne robią wrażenie. Iza mówi, że lepiej niech robią takie filmy niż bombardują Bogu ducha winnych ludzi. Nie potrafi chyba zrozumieć, że wolność wymaga ofiar. W końcu Churchill pozwolił zbombardować Coventry, bo ostrzeżenie mieszkańców ujawniłoby Niemcom fakt rozszyfrowania Enigmy, a w konsekwencji prawdopodobnie klęskę koalicji antyhitlerowskiej. Podczas wojny obowiązują inne prawa.



Po seansie poszliśmy do mnie do domu. Przygotowałem romantyczną kolację, biały obrusik i świecę. Korzystając z okazji, że miałem dzień wolny, poszalałem po kuchni. Nieskromnie przyznaję, że lubię i potrafię dobrze gotować. Do tego oczywiście szampan i romantyczna muzyka. Spoglądając sobie głęboko w oczy wypiliśmy szampana, po czym tańczyliśmy. Długo, nastrojowo, wtuleni jedno w drugie. Pocałowałem ją, ona objęła mnie czule i położyła głowę na ramieniu. Wstaliśmy rano.

**07 luty**

Brzęk stłuczonej szklanki, szarpiące mnie ręce, krzyk Izy... I ja wpatrzony w osłupieniu w ekran telewizora.

Miasteczko z mojego snu!!!

**08 luty**

Chateaux-Petite, małe miasteczko tuż obok przylądka Calais na północy Francji, ok. 1500 mieszkańców, prawa miejskie nadał w szesnastym wieku "Król-Słońce" Ludwik XIV...

Opowiedziałem Izie o moich snach. Stwierdziła, że zapewne widziałem to miasteczko i portret Isabelle w jakiejś książce albo filmie. Całkiem możliwe, tylko dlaczego nagle teraz mi się to śni? Dlaczego sen się powtarza?

Chciałbym tam jechać.

**09 luty**

Obudziłem się z płaczem. Długo nie mogłem dojść do siebie. Wydawało mi się, że Isabelle, zanim zniknęła za rogiem, lekko się uśmiechnęła.

Po południu długa rozmowa z Izą. Odnoszę wrażenie, że sama jest ciekawa, ale podchodzi do tego strasznie sceptycznie. Ale podjęliśmy jedną ważną decyzję.

Jedziemy do Francji!

**15 luty**

Wciąż nie mogę uwierzyć, że tu jesteśmy. Stoimy na nadbrzeżu Calais, spoglądając na wściekle szumiące morze. Jest zimno, więc wtuliliśmy się w siebie. Milczymy.

Grupka Brytyjczyków z rozbawieniem obserwuje posąg, stojący obok nas. Robert

Surcouf, człowiek legenda, zaciekły wróg Anglii. Jedną z tych postaci, którymi każdy mały chłopiec chciałby zostać. Gdzieś w małych zakątkach umysłu pozostają dziecięce marzenia.

O tym, jak to na pokładzie angielskiego "Trytona" zauważono piracki statek. O tym, jak ustawiono krzesła dla dam, by mogły obserwować jak dzielni Anglicy rozprawią się z brudnymi piratami. Że synowie Albionu mieli niewyobrażalną przewagę - stu kilkudziesięciu ludzi przeciwko niespełna dwudziestce piratów. I że tych kilkunastu zdeterminowanych wojowników, dowodzonych przez Surcoufa, tracąc tylko jednego człowieka, zdobyło "Trytona" i nieśmiertelną chwałę, upokarzając dumną królową mórz - Anglię.

Stoi teraz na nabrzeżu, milczący, nieruchomy, ze wskazującym palcem skierowanym w stronę Wysp Brytyjskich. W szumie wiatru słyszę padające rozkazy - stanowcze, bez zbędnych ozdobników. Fale morskie kołyszą statkiem, trzeszczą wręgi. Kto zwycięży? Wszystko przygotowane do abordażu.

Zdobędę swojego "Trytona"?

Do mojego miasteczka jest stąd kilkanaście kilometrów. Jedziemy autobusem, droga dłuży się w nieskończoność. Iza skupiła się na oglądaniu filmów puszcanych na wideo, ja natomiast rozglądam się uważnie, mając nadzieję, że rozpoznam jeszcze jakiś szczegół. Nadaremnie.

Boję się, co zastaniemy. Tak naprawdę nie mam zielonego pojęcia, od czego zacząć poszukiwania.

**15 luty, wieczór**

Jesteśmy na miejscu. Wynajęliśmy pokój w małym hoteliku, tuż obok przystanku autobusowego. Na szczęście były wolne miejsca. Rozpakowaliśmy się, po czym szybko ruszyliśmy skonfrontować mój sen z rzeczywistością.

To niesamowite, znam to miasto! Nie mam problemów z poruszaniem się, topografią, wszystko wygląda tak, jak w moim śnie. Ten sam rynek, otoczony przez małe domki, taki sam stary, drewniany żuraw... Jak gdyby czas zatrzymał się w miejscu. Tylko, w przeciwieństwie do sennych wizji, miasteczko tętni życiem. Po ulicach, mimo wieczornej pory, wędrują ludzie, kilka par przytula się na ławeczkach, starsza pani spaceruje z małym pudelkiem na smyczy.

Oczywiście pierwsze kroki skierowaliśmy w kierunku tajemniczego domu. Dziwnie się czułem, przemierzając drogę znaną jedynie ze snu. Zdawało mi się, że wędrowałem tędy dziesiątki razy. Odczuwałem niezrozumiałą radość, ekscytację, czułem się, jakbym spotkał kogoś bardzo dawno niewidzianego. Kiedy skręciliśmy z Isabelle w znajomy zaułek, miałem nadzieję, że w starym domu znajdę rozwiązanie zagadki.

Nie spodziewałem się, że znajdziemy tylko zarośnięte trawą fundamenty.

Podążam wybrukowaną kocimi łbami ścieżką ku bramie. Po prawej stronie las, po lewej stary, drewniany kościółek. Drobny, siwowłosy ksiądz przygląda mi się badawczo, po czym odwracając wzrok wraca do przycinania gałęzi żywopłotu. Kościelny dzwon mosiężnym śpiewem właśnie wybija południe.

Powoli, krok za krokiem, zbliżam się do wrót. Nie spieszę się. Nie czas ani miejsce. Świat zamarł, słysząc jedynie stuk moich butów. Na niebie widzę czarną plamę. Powoli, krążąc, zniża się i siada na łukowato wygiętym szczycie bramy.

Kruk.

W milczeniu spogląda na mnie, przekrzywiając łebek. Jest wyjątkowo duży. Czarne jak smoła pióra pobłyskują, poruszone podmuchami wiatru. Delikatnie rozprostowuje skrzydła, otrząsa się, nie spuszczać ze mnie wzroku. Krucze łapki zaciśnięte są na literce "C"- pierwszej literce napisu "Cmentarz".

Zbliżam się do bramy. Wyciągam rękę, dotykam metalowej klamki. Wzdrygam się, kiedy zastygła ciszę przeszywa głośnie krakanie. Spoglądam na kruka. On patrzy na mnie, tkwimy obaj w bezruchu. Rozchyła skrzydła, ponownie słysząc donośne "kra-kra-kra". Przenika mnie dreszcz, kiedy spoglądam w jego oczy. Widzę w nich... przeznaczenie?

Odlatuje. Oddala się szybko, znika za wierzchołkami drzew. Pociągam za klamkę, słysząc przenikliwy, ostry zgrzyt przerdzewiałej bramy. Ściskając bukiet róż, przekraczam progi ostatecznego sanktuarium.

Podążam dobrze znaną sobie ścieżką. Dookoła groby, ale nie ma odwiedzających. Słysząc tylko westchnienia wiatru. Drogę przebiega mała myszka. Staje na dwóch łapkach kilka metrów ode mnie, przygląda mi się badawczo. Widzę jak porusza wąsikami, obraca główkę i powoli rusza dalej. Podnosi maleńki

okruszek, obgryza go przez chwilę, po czym znika między grobami. Dochodzę do złamanego drewnianego krzyża, skręcam.

Kątem oka widzę delikatnie płynące mgiełki. Jest ich pełno. Cienie snują się przy grobach, pozornie bez ładu i składu. Jednak kiedy odwracam wzrok w tamtym kierunku, zauważam tylko pustkę. Mimo to czuję, że tu są. Nie boję się - tylko żyjący naprawdę przerażają.

Na grobach widzę pełno światełek. Mrugają muskane coraz silniejszymi podmuchami wiatru. Ogniki dusz odbijają się w marmurowych płytach. Kamienne anioły pustym wzrokiem spoglądają w nicość. Płacze krwawymi łzami drewniana figura Zbawiciela.

Niebo zasnuwają chmury, zrywa się wicher. Przygina wierzchołki drzew ku ziemi. Moje ciało przenika drżenie. Spadają pierwsze krople deszczu. Duchy, dotychczas spokojnie krążące wokół swoich grobów, okazują zaniepokojenie. Poruszają się coraz szybciej i szybciej, zaczynają mnie otaczać. Niebo jest już prawie czarne. Deszcz pada coraz intensywniej. Kamienna twarz Maryi, która jeszcze niedawno spoglądała na mnie pełnym miłości wzrokiem, oświetlona zniczem wygląda niczym upiór. Błyskawica gwałtownie przerywa mrok.

Wtedy ją zauważam.

Kłęczy przy grobie na samym końcu alejki. Mokra włosy lepią się do twarzy. Czarna suknia faluje, szarpana podmuchami wiatru. Tkwi nieruchomo, niczym kolejny kamienny posąg. Przed nią znajduje się zaniedbany, zarośnięty trawą grób. Stoją na nim cztery białe, wysmukłe świece, ustawione w kształcie krzyża. Pomimo deszczu i wiatru palą się jasnym, równym płomieniem. Kłękam obok Isabelle. Niedaleko uderza kolejny piorun.

Wiatr skowycze, biczowany ciężkimi kroplami deszczu. Siedzący na osikowym krzyżu kruk przygląda się w milczeniu, kiedy składam między świece bukiet czarnych

róż. Spoglądałam na Isabelle, kolejna błyskawica rozświetlała na moment ciemności.

Pochyliła się ku mnie, rozkładałam ręce, chcąc ją przytulić i obejmuję... pustkę...

### **16 luty, południe**

Opowiadając Izie kolejny sen, byłem cały roztrzęsiony. Nie zastanawialiśmy się długo, z samego rana pojechaliśmy na cmentarz. Ogarnęło mnie silne uczucie deja vu. Pamiętałem wszystko - bramę, ścieżkę, zakręt przy złamanym krzyżu. Jakże inaczej wyglądał ten cmentarzyk w świetle słońca... Gałęzie drzew skrzyły się blaskiem odbijanym przez kryształki lodu. Powietrze, choć mroźne, przyjemnie orzeźwiało. Kamienne figury, krzyże, groby - wszystko było czyste, zadbane. Widać, że tutejsi ludzie pamiętają o swoich przodkach na co dzień, a nie tylko od święta.

Kiedy podążałem do grobu, który wskazała mi Isabelle, poczułem jak oblewa mnie fala gorąca. Ktoś tam był!

Podeszliśmy. Na piaszczystym, wypielegnowanym grobie paliła się tylko jedna świeczka. Obok stała drewniana ławeczka, na której siedziała staruszka w długim, szarym płaszczu. Siwe kosmyki włosów wypadły spod czerwonej chusty na głowie. Lekko kiwała się w przód i w tył, trzymając w dłoniach drewnianą laskę. Najdziwniejsze zaś było to, że miała piękne, błękitne oczy.

Oczy Isabelle.

### **16 luty, wieczór**

Iza nadal rozmawia ze staruszką z cmentarza. Na szczęście obie znają angielski. Dobrze wie, że po spotkaniu i rozmowie z panią Bouville - bo tak się nazywa - chcę być sam, choć nie domyśla się nawet, o czym z nią rozmawiałem. Jestem jej za to wdzięczny.

Nie mogę ogarnąć tego wszystkiego. Tak wiele się zdarzyło w ciągu tych kilku godzin. Czuję się, jakbym oglądał stary, zapomniany film z dzieciństwa. Chodzę po pokoju, płaczę, to znowu zrywam się, chcąc biec nad morze. Gdzieś w zakamarkach wspomnień znajduje się klucz, który otworzy skarbiec. Strzępy fotografii układają się

w całość, brakuje tylko kilku fragmentów. Muszę odnaleźć kilka potarganych, szarych zdjęć, wkleić je we właściwe miejsce w albumie mojej duszy...

Jak mnie znalazłaś? Przecież wiesz, że nie tego chciałem... I dlaczego, Isabelle, dlaczego mi nie powiedziałaś! Przecież wszystko byłoby inaczej...

Och, Isabelle, Isabelle... Gdybym mógł cofnąć czas...

**17 luty**

Czasami bluźnimy, przeklinamy Boga za nieszczęścia, które nas spotkały. Pytamy, gdzie wtedy był? Dlaczego nam nie pomógł? Zapominamy, że przecież nie może On stanąć przed nami i powiedzieć: słuchaj, nie rób tego. Nie wyjeżdżaj na drogę, bo będziesz miał wypadek. Nie wchodź na drabinę, bo spadniesz. Czy jednak na pewno?

Jestem przekonany, że Bóg daje nam subtelne sygnały. Jeśli je dostrzeżemy, dokonamy właściwego wyboru. Musimy tylko czujnie obserwować. Każdy niewinny gest: słowo powiedziane przez obcą osobę, krakanie wron, klakson samochodu - może być tym znakiem. Znakiem, że stajemy na rozdrożu, że decyzja, którą za chwilę podejmiemy, choćby błaha i niewinna, być może będzie miała olbrzymi wpływ na życie nasze i naszych bliskich. I to my, nikt inny, tylko my, jesteśmy odpowiedzialni za wybór.

I za jego konsekwencje.

Morze wygląda dziś dziwnie, ma taką nieprzyjemną, szarą barwę. Niebo jest całkowicie zachmurzone, owiewa mnie delikatny, mroźny wiatr. Spaceruję po zaśnieżonej plaży, w głowie kłębią się tysiące chaotycznych wspomnień. Czy to tylko moja wyobraźnia, czy wszystko działo się naprawdę?

Iza pakuje nasze rzeczy, możemy wracać. Poprosiłem ją o wolną godzinę, bym mógł pożegnać się z przeszłością. Dużo mi dała ta wycieczka. Dzięki Isabelle zrozumiałem wiele rzeczy. I podjąłem kilka decyzji, które ją na pewno ucieszą.

Brakowało mi tylko jednego dowodu, że to wszystko zdarzyło się naprawdę. Ale już za chwilę zdobędę ostateczne potwierdzenie. Ostatni kawałek puzzle trafi na swoje miejsce. A może to wszystko tylko fantasmagorie mojego umysłu?

Mała jaskinia, ukryta w gąszczu roślinności. Niewiele osób ją zwiedzało, tylko ja znam jej sekret... Stoję przed magicznym sezamem. Muszę podjąć jeszcze jedną, najtrudniejszą decyzję.

Wejść tam.

"Abrakadabra, przeszłości otwórz swoje zakurzone stronice..."

**22 luty**

Spoglądam na śpiącą Izę. Księżyc oświetla jej uśmiechniętą twarz. Oddycha miarowo, trzymając mnie za rękę. Na palcu nadal ma pierścionek zaręczynowy, który otrzymała ode mnie dziś wieczorem razem z bukietem róż. Stara, rzetelna robota, czysty rubin w pięknej, złotej, kunsztownie wykonanej oprawie. Dziś już takich próżno szukać u jubilera. Pytała mnie, gdzie go kupiłem, ale jeszcze jej nie powiedziałem. Może wkrótce, może nigdy...



Musiałbym opowiedzieć o pewnym młodym Francuzie, zakochanym w swojej pięknej narzeczonej, Isabelle. O tym, jak wymykali się ukradkiem, by smakować swoją naiwną, pierwszą miłość. O rozkosznych szeptach, skradzionych pocałunkach, marzeniach, obietnicach. Romantycznych spacerach brzegiem morza, kiedy spoglądali czule na siebie, trzymając się za ręce, podziwiali wschody i zachody słońca...

Nadszedł dzień, kiedy ojczyzna go potrzebowała. Kupiony angielskim złotem wróg szykował się do ostatecznej kampanii przeciw Napoleonowi, liczyła się każda sprawna dłoń. Długo tłumaczył Isabelle, że jego obowiązkiem jest bronić ojczyzny. Że kiedy zwyciężą, wróci do niej i wezmą ślub, a potem będą żyli długo i szczęśliwie.

Kiedy rozstawali się ostatni raz, płakali. Widząc, jak bardzo zależy mu na służbie dla kraju, nie powiedziała mu skrywanej od kilku tygodni tajemnicy. Może gdyby wtedy dowiedział się, że będzie ojcem, zostałyby i wszystko potoczyłoby się inaczej?

Zginął pod Waterloo, w ostatniej niemalże chwili, kiedy już Prusacy Bluchera pojawili się na horyzoncie, a szeregi wojsk Napoleona rzuciły się w panice do ucieczki. Dosięła go jedna z ostatnich salw artylerii, oddanych w tej bitwie. Kiedy umierał, miał przed oczami małą jaskinię nad morzem, w której ukrył swój skarb - złoty pierścionek z rubinem, kupiony za cały majątek, jaki posiadał. Pierścionek dla Isabelle...

Pani Bouville była jednym z ostatnich potomków syna Isabelle. Długo rozmawialiśmy, wtedy dowiedziałem się wszystkiego. W jej rodzie zachowała się legenda z czasów napoleońskich, opowieść o pięknej Isabelle d'Anjour, zapisana przez jej wnuka. Nie wiedziałem, że zginęła zaledwie kilka lat po mnie. Od czasu mojego wyjazdu już nigdy się nie uśmiechnęła...

Nie wiem jak to się stało, ale po tej rozmowie wszystko mi się przypomniało - najpierw powoli, oderwane strzępy, które po jakimś czasie skleiły się w jedną całość. Jeśli to prawda, jeśli ja byłem owym młodzieńcem, to w nadmorskiej jaskini, dobrze

ukryty pod stertą kamieni powinien znajdować się przepiękny, złoty pierścień. Kiedy w ostatnim dniu pobytu w Chateaux-Petite odnalazłem go, płakałem jak bóbr.

Wpatruję się w twarz Izy. Dopiero teraz zauważam, jak bardzo podobna jest do Isabelle - ten sam niewinny uśmiech, te same rysy... Nie wiem, czy reinkarnacja istnieje, nie potrafię jednak znaleźć innego wyjaśnienia. Jeśli żyliśmy dwieście lat temu, z jakichś powodów dostaliśmy drugą szansę. Nie wiem, czym sobie zasłużyliśmy, ale jestem za to nieskończenie wdzięczny.

Dokonałem wyboru, nie jadę do Iraku. Kiedy pomyślę o wyjeździe, słyszę świst kuli, czuję potworny ból rozrywanego ciała, parzą mnie łzy Isabelle. Boję się ostatniej salwy...

Może kiedyś, Izuś, opowiem ci o wszystkim. Tak wiele rzeczy mi się przypomina, tak wiele chciałbym jeszcze sobie przypomnieć. Ale składam ci obietnicę.

Już nigdy cię nie opuszczę, Isabelle...

## Spragniony

Obudził mnie stukot. Najpierw delikatny, monotony, potem znacznie głośniejszy. Po chwili ciszy, kiedy próbowałem usnąć ponownie, rozległ się złowieszczy zgrzyt a następnie potężny huk. Umarłego by obudził. Gwoli ścisłości, właśnie to zrobił.

Wiek trumny otwarło się. Światło księżyca w pełni oświetliło ciemną sylwetkę, stojącą nad moim grobem. Ech, dzieciaki... Gwałtownie podniosłem się i otrzepałem z kurzu. Cholera, przez te kilkaset lat sporo się tego nagromadziło. Trójka gówniarzy uciekała z krzykiem, jednak nie zwracałem na nich większej uwagi. Co tu dużo mówić, trochę stetryczałem w grobowcu.

Cmentarz, na którym spoczywałem, był całkiem ładny. Rozjarzony tysiącami lampek i osrebrzony światłem luny sprawiał wrażenie bardzo sympatycznego miejsca. Początkowe dobre wrażenie jednak prysło kiedy pospacerowałem pomiędzy grobami. No ja rozumiem te światełka, fajne klimaciki i w ogóle, ale kwiatki? Co do cholery, w tej epoce zmarli po śmierci wychodzą je wachać nocami, czy jak? W Chinach przynajmniej na grobowcach kładą miski z ryżem, gdyby tam mnie pochowano, nie chodziłbym teraz głodny, szukając jedzenia. Tyle, że kiedy pomyślałem o ryżu, poczułem obrzydzenie. Nie, na ryż wybitnie nie miałem ochoty. Nie tylko zresztą na ryż. Marzyła mi się ciepła, świeża krew.

No tak... Przecież jestem wampirem...

Ciągle nie mogłem się do tego przyzwyczaić. Z drugiej strony, nie miałem nawet pewności, że zaklęcie zadziała. Mgliście przypominałem sobie, jak poszliśmy z Vladem na uroczysko o pełni księżyca, wymazani jak nieboskie stworzenia krwią czarnego koguta zabitego o północy - Vladek miał hopla na tym punkcie - i jak ugryzł mnie w szyję, choć miałem nadzieję, że jego zamiary są zgoła inne. I wtedy wpadła ta banda w sukienkach, krzycząc coś o psach pańskich. Prawie się roześmiałem, patrząc jak śmiesznie kicają, trzymając te swoje skrzyżowane drewnianki i krzycząc coś o heretykach, bezbożnikach i miłosierdziu. Tak się w tej miłości zacierzowali, że Vladka

spalili na stosie, a mi dwóch z nich wbiło osinowy kołek w serce. Reszta w tym czasie otoczyła nas, zawodząc posępnie, tak że odetchnąłem z ulgą, kiedy w końcu zamknęli mnie w trumnie, bo te nawiedzone jęki nawet diabła wpędziłyby w depresję.

Gdzie w środku nocy można znaleźć człowieka? Głodny byłem, a przekąski, które mnie wykopały, uciekły gdzieś w popłochu. Dziwne, nie wyglądałem przecież aż tak strasznie. W swojej epoce miałem całkiem niezłe powodzenie u płci przeciwnej. Zresztą nie tylko przeciwnej, takie to były czasy. Kołek w piersi, jak zauważyłem, rozpadł się w proch, a rana zasklepiła. Plamę na bluzce ukryłem pod płaszczem, żeby jedzonka nie wystraszyć.

Wydawało mi się, że będę musiał poczekać do rana, żeby zaspokoić głód, kiedy nagle usłyszałem:

- Spójrz no, Wacuś, mamy tu romantyka!

Obejrzałem się płochliwie. Podążyło ku mnie niespiesznie dwóch strażników w czarnych mundurach. Jak dowiedziałem się z napisu na piersiach, była to policja. Grubszy z nich, przypominający dobrze nakarmioną świnkę, zapytał delikatnym, niemalże dziewczęcym głosem:

- Co tu robicie o tej porze? Dokumenty jakieś macie?

Rozejrzałem się, ale byłem sam. Może miał halucynacje?

- Dokumentów żadnych nie posiadam. Głodny jestem. - Byłem zdziwiony, że nie tylko rozumiałem, co do mnie mówią, ale sam wyrażałem się płynnie w tym języku.

- Nie mamy dokumentów? Wacuś! - Na świńskim ryjku policjanta pojawił się uśmiech. Również chciałem odwdzińczyć się uśmiechem, ale nie zdążyłem.

Ból był potworny. Plecy zapłonęły żywym ogniem, przez prawą rękę przebiegły iskry. Poczulem nagle, że tracę równowagę. Po chwili, chyba dla zachowania symetrii - również lewa ręka zapłonęła z bólu.

- Dość, aspirancie! - usłyszałem. Nade mną stał wysoki młodzieniec o końskiej,

jednocześnie irytująco bezmyślnej fizjonomii i wesoło machał czarną, gumową pałą. Świniak w mundurze zwrócił się do kolegi. - Bijcie troszkę niżej, aspirancie, bo inaczej ślady pozostaną. A teraz zakujcie podejrzanego i na czterdzieści osiem na dołek.

- Za co? - krzyknąłem, ale oni tylko zarechotali. W końcu grubas łaskawie odpowiedział:

- Awanturnictwo i napaść na policjantów na służbie. Pakujemy delikwenta, Wacuś.

Metalowe obrączki błyskawicznie zacisnęły się na moich nadgarstkach. Przez chwilę bałem się, że są z czystego srebra, na szczęście obaj nie mieli doświadczenia w postępowaniu z rasowymi wampirami.

Nie pojechaliśmy daleko, po paru minutach wylądowałem w areszcie. Przez całą drogę pilnował mnie ten mułowaty prężąc się, jak gdyby dokonał jakiegoś wyjątkowego wyczynu. Na pożegnanie dostałem jeszcze gumową pałą przez plecy żebym - jak to ujął tłusciuch - zapamiętał, że nie wolno się bezkarnie szwendać po cmentarzu bez dokumentów, a potem drugi raz na „przyswojenie i utrwalenie nowo poznanych wiadomości”. Byłem pod wrażeniem inteligencji tutejszych policjantów - znali takie trudne słowa.

Przez zakratowane okienko zauważyłem, że zaczęło się powoli rozjaśniać. Pokoik, w którym się znajdowałem, był malutki. Ot, łóżko, twardsze od mojej trumny, stolik, krzeselko i sraczyk. Przynajmniej twarz mogłem przepłukać. Byłem coraz bardziej głodny, marzyło mi się zassanie nawet z tego pączuszka w mundurze. Albo z Wacusia.

Kiedy po lekkiej, porannej toalecie spojrzałem w lustro, oniemiałem. Zamiast zmęczonej twarzy i cierpiętniczego spojrzenia zobaczyłem... przeciwległą ścianę. No tak, wampiry nie odbijają się przecież. Zaraz, zaraz. No właśnie, przecież jestem wampirem! Jak mi to Vladek pokazywał? Machnąć płaszczem, nakryć się,

wypowiedzieć krótkie zaklęcie i już!

Ha! Jestem nietoperzem! Vlad, mordo ty moja, dałem radę!

Z wrażenia dopiero za trzecim razem udało mi się wylecieć między szczelkami. Uwzględniając fakt, że był to mój pierwszy lot, osiągnąłem chyba niezły wynik. Zastanawiałem się, czy guz nabity na głowie małego ssaczka powiększa się proporcjonalnie po powrocie do ludzkiej postaci. Postanowiłem się przekonać, zwłaszcza że na horyzoncie pojawiło się śniadanko.

Zanim stanąłem przed facetem pomacałem się po głowie. Uff, tylko malutka śliwka. Otrzeptałem się z błota - manewr lądowania również nadawał się do poprawki. Tymczasem mężczyzna, w zasadzie młodzieniec, przyglądał mi się ciekawie. Głowę miał wygoloną na łyso, luźne spodnie, ani chybi pastuszek, który idzie do roboty. No tak, pastuch. Na ręce miał nawet wydziergany symbol swego pana. Tylko ten bat, który niósł, taki dziwny się zdawał, bardziej do pałki podobny. Może bydło ogłuszał?

- No to jak, kolego, dołożysz piąta do wina? - zapytał uprzejmie.

- Piąta? - zdziwiłem się. Toż w winnicy dukata za beczkę żądali.

- Ty nasz dam prezent, odejdziesz. Nie dasz, to my ci damy - zarechotał. Za sobą usłyszałem parsknięcia. Było ich jeszcze trzech.

- Przykro mi, ale nie mam pieniędzy. Więc co od was dostanę?

- Wpierdol. Ale za to solidny.

Upada kultura nawet wśród pastuchów - pomyślałem. Otworzyłem usta, szczerząc kły. Nie przestraszyli się.

Kiedy wstawałem, nie wiedziałem czy jestem bardziej głodny, czy obolały. Do cholery, czy w tym świecie wszyscy wszystkich biją, katują, poniewierają? Żeby nawet wampir spokojnie nie mógł czegoś przekąsić? Kiedyś wzbudzaliśmy szacunek, ludzie się nas bali, obwieszali mieszkania czosnkiem. A teraz? Podłość ludzka nie zna granic.

Byłem głodny. Głodny!!! Smętnie powlokłem się dalej. Nagle przystanąłem

zdumiony - przede mną stał budynek. Niby niepozorny, drewniany, sprawiający wrażenie zabiedzonego, ale mnie zaintrygował symbol na jego wieży. Krzyż. Czyżby ten sam krzyż, który nosili ci sadyści, co spalili Vladka? Chciałem sprawdzić, z drugiej strony bałem się, że znowu wyleci jakaś hołota w sukienkach i weźmie mnie na męki. Na szczęście sprawa rozwiązała się sama.

Chudy, zabiedzony mężczyzna w czarnej sukni udał się w stronę okazałej willi, stojącej tuż obok świątyni. Kiedy wszedł do środka, już wiedziałem - musiał usługiwać jakiemuś bogaczowi, mieszkającemu w tym budynku. Po chwili z garażu wyjechał czarny pojazd z szybami, przez które nic nie było widać. No tak, nabab jedzie na wycieczkę, a sługa zostaje sprzątać. Przez chwilę pomyślałem, że dom był własnością faceta w sutannie, ale wykluczyłem tę myśl. Kapłani tej wiary, jak pamiętam, ślubowali żyć w ubóstwie. Poza tym oczywiście wydawało mi się, że gdyby nawet jakimś cudem był bogaty, postarałby się, by jego świątynia lśniła i opromieniała wszystkich swym bogactwem na cześć i chwałę bożą, a on sam zamieszkałby w skromnej chatce, o chlebie i wodzie mieszkając i czas spędzając na modłach i pokucie.

Tymczasem drzwi od świątyni uchyliły się i pojawiły się dwie babcie. Ubrane w śmieszne bereciki z antenką podążały ku mnie, trajkotając jak najęte. Zatarłem ręce z radości. Tym razem musi się udać! Powoli podchodziłem do celów. Rozglądałem się czujnie, czy nie czeka mnie znowu jakaś przykra niespodzianka. W żołądku skręcało mnie już straszliwie, a dwie staruszki nie wydawały się być agresywne. Podeszedłem bliżej, obnażając swe atrybuty.

. Ból był niemiłosierny. Cała twarz paliła niczym ogień, skóra na rękach prawie się dymiała. Rozpaczliwie próbowałem zetrzeć to coś z policzków, nosa, ust, ale im dłużej tarłem, tym bardziej bolało. Tarzałem się skulony na ziemi, tymczasem staruszki przeszły dalej jak gdyby nigdy nic. Słyszałem tylko fragmenty ich dialogu:

- To nowość jest, kumo, woda święcona w sprayu. Żydostwo się w Polsce szerzy

strasznie ostatnimi czasy.

- Patrzcież, kumo, jakie to wynalazki ksiądz proboszcz teraz sprzedaje. A wieleż to kosztuje?

- Co łaska, ale w banknotach. I to trzech przynajmniej, bo to przecież trójca święta była.

- Ale skuteczne, zobaczcie no. Tamten, co to go ogień piekielny wkrótce pochłonie, też żyd ani chybi, chudy, w czarnym płaszczu, a blady jakby krwi niemowląt od tygodnia nie pił. Bo one, te żydy, kumo, uważajcież.

Kroki oddalały się. Rozmowa ucichła, ból też powoli mijał, a mnie się chciało najnormalniej w świecie płakać. Żeby nawet staruszki. Pomyślałem, że gorzej chyba być nie mogło. Oczywiście, pomyliłem się.

- Spójrz no, Wacuś, czy to nie nasz znajomy z cmentarza? - usłyszałem za plecami. Nawet się nie obejrzałem, zacząłem biec byle dalej. Usłyszałem za sobą tupot, najpierw dwóch, a po stu metrach jednej pary nóg. Spaślak spuchł - pomyślałem z satysfakcją. Wnet jednak radość zamieniła się w przerażenie. Obolałe ciało powoli odmawiało posłuszeństwa, aspirant Wacuś i jego pała były coraz bliżej. Proszę, proszę, inteligentny, wysportowany. Nie to, co niegdysiejsi strażnicy.

- Stój. bo. strzelam. - usłyszałem i nogi same mnie poniosły szybciej. I niemalże puknąłem się w czoło. Po co ja się tak męczę? Skręciłem w jakiś zaułek. Szast-prast i już po chwili z wysokości lotu nietoperza obserwowałem nieszczególną minę Wacusia.

Stał tak na tyle długo, że na swych pulchnych nóżkach dotoczył się jego partner.

- No i gdzie on jest? - zapytał, dysząc ciężko.

- No właśnie. - Wacuś rozglądał się z niedowierzaniem. - Skręcił tu i zniknął.

- Zniknął, mówisz? - zacharczał gruby. - Uliczka ślepa, wejść nie miał gdzie, schować się też nie za bardzo. Nawet mysz bym stąd zauważył. A ty mi mówisz, że tu



gdzieś schował się człowiek?

Mysz by zauważył, baran jeden. A latającą mysz? Zniżyłem się lotem nurkowym nad dwójkę strażników. Co prawda w żołądku nadal ssało, ale to nie znaczy, że nie mogłem zrobić pewnej rzeczy. Prościutko zresztą na twarz rozglądającego się ze zdziwieniem Wacusia. Szkoda, że miał zamknięte usta, ale nie można mieć w życiu wszystkiego.

Słaby byłem. Lot dodatkowo mnie wyczerpywał. Dlaczego właściwie zamieniamy się w nietoperze, a nie na przykład w jerzyki? Parę ruchów skrzydłami i byłbym daleko stąd, a tak namachałem się jak niderlandzki wiatrak i sił starczyło mi na odlot o trzy ulice dalej. Ale dobre i to.

Przysiadłem, aby chwilę odpocząć. Teraz dopiero zauważyłem, jak ponure stały się te ziemie. Olbrzymie budowle, szare, brudne i odrapane. Kupa śmieci, walająca się po wybrukowanych ulicach i placach. Zwierzęta, niepotrafiące obdarzyć człowieka obojętnym spojrzeniem - one także nauczyły się już wrogości. Nawet żółta kula na niebie miała jakiś inny kolor - kiedy żyłem jako człowiek, świeciła jaskrawo, radośnie, wschód Słońca za każdym razem zdawał się być nieskończenie radosnym przeżyciem, mistyczną modlitwą składaną co rano bogom.

A teraz? Światło było jakieś brudne, zamglone, postarzałe jakby docierało do mnie po setkach tysięcy lat podróży. To ma być ta przyszłość, ten „cudowny, pozbawiony barbarzyństwa świat” którego tak oczekiwał Vladek?

- Kijowe to życie, nie? - Obok mnie coś nagle zaśmierdziało. Spojrzałem z przestachem, ale postać, która przysiadła tuż obok, nie wykazywała oznak agresji. Zdawała się być nawet przyjacielska, próbując mnie objąć, więc odsunąłem się na wszelki wypadek.

- Czego tu szukasz, kolego? - zapytał.

Nie za bardzo wiedziałem, co odpowiedzieć.

- Milczysz? Ha, pewnie i tobie życie dokopało, że w takie dzielnice sam się zapuszczasz. Masz, łyknij, może poczujesz się lepiej.

Wzruszyła mnie troska starego człowieka, więc łyknąłem. Jasny gwint!!! Gardło zapłonęło żywym ogniem, który powoli staczał się wewnątrz mnie w dół ciała, prosto do żołądka. Zachłysnąłem się powietrzem, próbując złapać oddech. Poczułem jak oczy wychodzą mi na wierzch. I kiedy myślałem, że piekielny ogień przepalił mnie na wylot, zaśmierdziało jeszcze bardziej, jakaś dłoń chwyciła mnie za głowę, a druga ręka wlewała coś w gardło. Z ulgą poczułem, że to woda. O rozkoszy niebiańska! Piłem, piłem, piłem.

- Czyś ty Heniek zdurniał? Takiemu chudziakowi spirytu dałeś?

- Jaki tam spirytus, toż rozrobiłem przecież. - mniej śmierdzący oburzył się.

- Rozrobiłeś, taka twoja mać. A czym, ciekawość?

- Wódką. Sprawiedliwie, pół na pół. Łyka?

- Jak koktajl Putina, to chętnie. - Mój ratownik przechylił butelkę i pociągnął solidny haust.

- E, Stachu, to że częstuję to nie znaczy, że masz całego basa obalić. - Heniek wyrwał koledze butelkę z rąk i spojrzał na nią krytycznie. - O żesz w mordę, i być tu kulturalnym człowiekiem!

- Spokojnie, Heniu, jutro kwacha obalim na mój koszt, kwita będziem.

- Jutro, jutro - Stachu dopił resztkę w butelce. - A co na dziś mi zostało?

- Zaraz coś wykombinujemy, paru kierowników pod sklepem poprosimy, dołożą się. No już, nie czepiaj się, piątka na zgodę.

Zaczęli się obściskować i ślinić, a ja przezornie oddaliłem się. Głód niemalże zwał mnie z nóg, wzdrygałem się jednak na samą myśl, że mógłbym zassać z Henia albo Stacha. Są pewne pokarmy, których nie tknę. Jeden z nich to krew zmieszana z alkoholem. A za życia na przykład mogłem umierać z głodu, a nie tknąłbym gotowanej

cebulki. Zgagę miałem po tym straszliwą.

Korzystając z faktu, że koledzy wyznawali sobie miłość wzajemną, oddaliłem się po transylwańsku. Uliczka, w którą skręciłem, była wąska i bardzo ciemna. Nie robiłem sobie nadziei na jakieś zassanie, jednak ku swojemu zaskoczeniu usłyszałem głosy.

- Dawaj!

- Teraz ja, teraz ja! No co ty, durniu, igłę świeżą załóż. Ejdsa chcesz złapać?

- Idioto, żebyś ejdsem się zaraził, musiałbym go mieć. Trzeba było na biologii uważać!

- Dobra dobra, wstrzykuj i dawaj sprzęt.

- O jaaaa.

Podszedłem bliżej. Trójka obiektów nie zwracała na mnie uwagi. Jeden z nich miał obnażone przedramię, na którym zawinał sobie jakiś pasek. Pozostali wpatrywali się w niego zaaferowani. Ich spojrzenia były mętne, oczy szkliste.

Mieli nie więcej niż piętnaście lat. Zauważyłem, że są nieco otępiali, powolni. Śniadanko, właściwie już obiad, bo słońce stało wysoko, zapowiadało się wyjątkowo atrakcyjne. Podszedłem, szczerząc swe atrybuty. Jeden z młodzieńców spojrzał na mnie ze strachem. Przeraził się!

- Aaale ma kopa. Grzesiek, skąd wzięłeś towar?

- Zajebiste - powiedział drugi z chłopaków. - Stary, od jutra kupuję tylko u ciebie!

Przysięgam, że ten klient wygląda jak wampir!

- Jestem wampirem - stwierdziłem przytomnie.

- Czad! Kurwa, jak w filmie. - Młodzieniec poklepał mnie po ramieniu. -

Patrzcie, jest autentyczny. Prawdziwy, kurwa, wampir stoi tu z nami, kumacie?

Zaczęli się śmiać. Najpierw parskali jak konie wypuszczone na łąkę, po chwili rechotali jak samice żab na wieczór, aby w końcu śmiać się pełną gębą, ścisnąć i

trzymać za brzuchy.

- Wa. Wa. Wampir! - Po twarzy dzieciaków płynęły łzy. - Te, Drakula, a mój dziadek kiedyś zabił wampira, jeszcze za Niemców.

- Ty kretynie, a skąd wiesz, że to był wampir?

- Bo jak mu wbił kołek osinowy w piersi, to umarł. - Cała grupa znowu zaniósła się śmiechem. Pamiętam jak wujek Mieszko wraz z synami bieluni się przez przypadek najedli, struli się tak, że po tygodniu sraczki wujaszek dokładnie oglądał każdą jagódkę którą do gęby brał. Przez godzinę jednak zachowywali się podobnie, jak te dzieciaki.

Stałem jak ogłupiały, niezdolny do żadnego ruchu. Ten świat ewidentnie mi nie odpowiadał. Młodzi odeszli, zataczając się ze śmiechu. Zamiauczał kot, kopnięty przez jednego z nich. Zeszła z drogi staruszka, żegnając się i oglądając ze strachem. Także to przyszłość tego narodu?

Powlokłem się smętnie w drugą stronę. Nawet głód zelżał. Kroki odbijały się posępnym echem w ciemnej, pustej uliczce. Szedłem powoli, bez celu, aż w końcu doszedłem do oświetlonego słońcem końca. Przedemną rozciągał się widok, jakiego jeszcze nie widziałem.

Było ich setki, chyba nawet tysiące. Trudno tak policzyć na pierwszy rzut oka. Krzyczały niczym stado kruków na jesieni. Ubrane różniście, kolorowo. Co druga trzymała w ręku tablicę z jakimś bijącym w oczy hasłem.

Ludzkie samice.

Najbliższa mnie niosła dumnie olbrzymią dechę z napisem „mam cipkę”. Zastanowiłem się nad głębią intelektualną tegoż hasła - w końcu trudno spodziewać się, żeby kobieta miała coś innego. Z drugiej strony w tym świecie wszystko mogło się zdarzyć, zwłaszcza że niosąca tablicę osobniczka wydawała się być kobietą tylko z nazwy. Podobnie zresztą jak duża część krzyczących.

Zrozumiałem sens napisu. Tak ostentacyjna manifestacja faktu, że owa osoba ma cipkę była bardzo pomocna tutejszym samcom. Dzięki napisowi wiadomo było od razu, że niosąca go jest przedstawicielką płci czasami pięknej, co pozwalało mężczyznom uniknąć niezręcznych pomyłek. Co prawda za moich czasów takim osobniczkom zazwyczaj pozostawał klasztor, ale w tutejszym świecie, jak się przekonałem, obowiązywały inne normy.

Na jednej z krawędzi zgromadzonego tłumu zauważyłem kordon strażników. Jakże mizernie wyglądali! Rozglądali się niepewnie, czy aby nic im nie grozi, wspierali się wzajemnie spojrzeniami, ostrzegali przed niebezpieczeństwem. Widać było, że starczy ledwie iskra, by doszło tu do czegoś strasznego.

I zaiskrzyło.

Zacząło się niewinnie. Ot, jedna z protestujących, popchnięta przez koleżankę, oparła się o policjanta. Ten odepchnął ją delikatnie, a delikwentka zareagowała błyskawicznie:

- Ożesztychamieniemytykobietętaktraktowaćszowinistowredny?

Po czym z gracją syreny strażackiej ryknęła:

- Biiiiijąąąąą!!!

Po raz pierwszy takie zjawisko widziałem jeszcze w swoim ludzkim życiu gdzieś na północy. Setki wojów na koniach przeprowadzały gigantyczną szarżę. Pamiętam, jak imponował mi wtedy ich okrzyk bojowy, jak wprawił w osłupienie sposób, w jaki, nie zatrzymując się nawet na chwilę, zmiażdżyli próbujące stawiać bezsensowny opór siły przeciwnika. Tu wyglądało to prawie tak samo, tyle że było znacznie głośniejsze, kobiety sprawiały zaś wrażenie jeszcze bardziej zorganizowanych. W nieopisanym harmiderze jeden z głosów wydał mi się znajomy.

- Wacuś, sier.

Zakrztusił się, zarzęził. Już miałem zaśmiać się złowieszczo, kiedy zauważyłem

niebezpieczeństwo.

Było ich cztery. Potężne, z nienawiścią w oczach. Jedna z nich trzymała w ręku tablicę z napisem „solidarne w kryzysie, solidarne w walce”. Nie rokowało to najlepiej. Stały sześć kroków przede mną a w oczach miały coś, co dość łatwo było mi określić. Powiedzmy, że gdyby tak patrzył na mnie mężczyzna, mógłbym żegnać się z dziewictwem.

Hasło na tablicy wymalowane było dużymi, czerwonymi literami. Mogłem je sobie obejrzeć z bardzo bliska, bowiem decha z tekstem błyskawicznie wylądowała na mej głowie. Sprowadzony w jednej chwili do poziomu obowiązującego w tym świecie, nie zdążyłem wypowiedzieć zaklęcia. Bity, pluty, szarpany, kopany i poniżany zobojeźniałem. Niech sobie ulżą, niech mnie zabiją, i tak zmartwychwstanę by w końcu zdechnąć - z głodu.

Nagle bicie ustało. Usłyszałem tupot i okrzyki przerażenia. Kobiety uciekły, jakby nagle ducha zobaczyły. Podniosłem się i natychmiast oparłem o ścianę. W głowie wirowała opętańczo karuzela, nogi same się uginały.

- Niech kolega siądzie i trochę odpocznie, zaraz przejdzie. Widzę, że pan nowy?

- ciepłym głosem powiedział stojący obok mężczyzna. Miał na sobie podobny płaszcz jak ja, gładko zaczesane w tył kruczoczarne włosy, a kiedy się do mnie uśmiechnął, szczerząc śnieżnobiałe kły, wiedziałem, że w końcu los zaczął mi sprzyjać.

Już po chwili siedziałem w miłym, przytulnym pokoju, sącząc przez słomkę krew z kostkami lodu. Gospodarz stanął obok, uśmiechając się przyjaźnie.

- I jak się koledze podoba nasz dzisiejszy świat?

- Cóż. Spodziewałem się czegoś zupełnie innego. A tu wciąż biją i biją.

- I bić będą. Taka już mentalność tego gatunku, choć to ponoć homo sapiens. A

nas mało jest, choć ciągle nowych towarzyszy odnajdujemy, przestraszonych, zagubionych w tym świecie .

- Jest nas więcej? - zdziwiłem się.

- Oczywiście, właśnie zaraz wybieram się na spotkanie naszej grupy. Pójdzie kolega ze mną, czy potrzebuje jeszcze trochę czasu, żeby ochłonąć?

- Idę. - Nie wiem, czy to szklanka świeżej krwi tak na mnie podziałała, czy też świadomość, że jednak nie jestem sam na tym świecie. W każdym razie zerwałem się, gotów do natychmiastowego wyruszenia.

Już po chwili, korzystając z pojazdu mojego nowego kolegi, byliśmy na miejscu. Weszliśmy do środka i. zamarłem. Nie mogłem uwierzyć - sami swoi! Wampiry, wampirzyce. Czemu nie trafiłem tu od razu?

Stałem tak, spoglądając na przechodzących obok towarzyszy. Tuż obok mnie stary wampir tłumaczył coś młodemu, widocznie też świeżo obudzonemu jak ja:

- .Czas, kiedy żeby zassać, trzeba było zabić ofiarę, to już definitywna przeszłość. Także i my musimy iść z duchem czasu. Cóż nam bowiem z martwej ofiary? Czyż nie lepiej wyssać ją tak, żeby można było ją wykorzystać ponownie? Ba, czyż nie lepiej, kiedy można zassać tak, że ofiara nie tylko nie czuje, że została wyssana, ale jeszcze jest z tego faktu na tyle zadowolona, że domaga się, rozumie kolega, DOMAGA się, aby zassać z niej jeszcze raz? To są właśnie nasze dzisiejsze sztuczki, wykorzystanie środków masowego przekazu, socjotechniki i manipulacji. Oczywiście jesteśmy podzieleni na pewne frakcje, tak na pokaz, żeby jak najwięcej ofiar dało się przekonać. Tu jednak, między sobą, stanowimy jedność, bo mamy jeden, nadrzędny cel - zassać!

Przysłuchiwałem się wykładowi oszołomiony. Wnet jednak rozległ się dzwonek i wszyscy udali się na, jak mi to wytłumaczył mój przyjaciel, zebranie. Ponieważ głupio było tak samemu zostawać, podążyłem za wszystkimi.

Sala była olbrzymia. Nie spodziewałem się, że kiedykolwiek zobaczę tyle wampirów zgromadzonych w jednym miejscu. Jedni popijali krwiste drinki, inni czytali gazety. Kilku krążyło po sali, odniosłem wrażenie, że wszyscy tu doskonale się znali i lubili. Nagle nastąpiła cisza, rytuał miał się zacząć. Na podwyższeniu pojawił się dystyngowany wampir, rozejrzał się po sali i wygłosił hasło, otwierające zebranie.

- Panie marszałku, wysoka izbo!



## Dni ostatnie

Ech, łza mi się w oku zakręciła...

Mała, ledwo widoczna biała plamka na tle gwiazd. Niepozorna, odrobinę raptem jaśniejsza od innych kosmicznych kropek. A jednak tak bliska, tak piękna, tak pełna wspomnień. Perła wszechświata, jedyna w swoim rodzaju.

Nie byłem na Ziemi już siedem lat. Nie widziałem od dwóch. Pięć lat towarzyszyła mi na niebie, kiedy odpracowywałem wyrok w marsjańskich karnych koloniach. Później jednak, kiedy pojawił się projekt “Centaur”, zgłosiłem się na ochotnika, mając dość zapylenia, zimna i marsjańskiego piwa. Problemów nie miałem. Tatusz małolaty, przez którą się tu znalazłem, miał odpowiednie układy, dzięki czemu pewnego pięknego dnia wsadzono mnie na pokład statku kosmicznego “SpaceWalker”, zaopatrzone na dwa lata (czas misji przewidywano na rok, może półtora) i wysłano w kosmos.

Fizyka ma to do siebie, że czasem jedno niepozorne odkrycie burzy ład i porządek, wprowadzając nowe możliwości znane dotychczas jedynie z opowiadań SF. Tak było i tym razem. Okazało się, że między dwoma dowolnymi punktami wszechświata można się przemieszczać niezależnie od odległości między nimi nie naruszając zasad Teorii Względności. Wszelkie doświadczenia potwierdzały, że jest to możliwe. Jedynym mankamentem był fakt, że punkty te musiały znajdować się możliwie daleko od pola grawitacyjnego, wytwarzanego przez masywne ciało. Innymi słowy, aby skoczyć sobie w inny punkt wszechświata, należało odlecieć w miarę daleko od Słońca i ustalić punkt docelowy w odpowiedniej odległości od właściwego celu. Resztę podróży miał umilać szum konwencjonalnych silników anihilacyjnych.

Jako pierwszy cel podróży wybrano najbliższą towarzyszkę naszego Słońca, czyli Alfę Centauri (stąd nazwa projektu - “Centaur”). Kłopot był natomiast z pierwszym ochotnikiem. Szanse powrotu oceniano na dziesięć, góra dwadzieścia procent. Ze względu na dylatację czasu podróż dla kosmonauty trwałaby dwa lata, ale już na Ziemi

minęłoby trzydzieści. Łatwo sobie wyobrazić powrót do domu, w którym czeka posiwiła staruszka, niedawno będąca żoną, lub córka, biologiczna rówieśnica tatusia. Nic dziwnego, że optymalny kandydat - oprócz wytrzymałości fizycznej - powinien również mieć stosunkowo małą rodzinę, być bezdzietny i z nikim nie związany. Tak się składa, że nadawałem się idealnie, w dodatku moim hobby była astronomia i kosmologia.

Okazało się, że pomysł nie był zły a wręcz przeciwnie. Jako przyszłego "zdobywcę kosmosu" zaopatrzone mnie solidnie. Małe szanse powrotu zrekompensowały specjalnie spreparowane przysmaki, które po odgrzaniu w pokładowej kuchence miały smak nie odbiegający od naturalnych potraw. Ponieważ całe moje zadanie polegało na tym by być i obserwować (resztę wykonywały komputery i roboty), zaopatrzone mnie również w kilkanaście kartonów ziemskiego piwa (to na moje życzenie) oraz zestaw audio-video z kolekcją filmów i muzyki, dzięki czemu podróż tam i z powrotem przebiegła wyjątkowo miło. Gagarin miałby czego zazdrościć.

Skoki przez przestrzeń udały się nadzwyczaj sprawnie. Obejrzałem - co prawda nieco rozchwianym wzrokiem - wszystkie planety układu Alfy Centauri. Może i trochę nadużyłem wtedy zapasów, ale po pierwsze - tęskniło mi się już strasznie za towarzystwem żywej duszy, a po drugie - tak gwoli usprawiedliwienia - ten, kto podjął decyzję o szukaniu życia na planetach gwiazdy podwójnej też za trzeźwy chyba nie był. Na planetach obiegających układy podwójne życie występować po prostu nie może, o czym wiedzą wszyscy poza specami od przybijania pieczętek. No ale skoro kazali obserwować - obserwowałem. Rezultat mnie nie zaskoczył, życia nie stwierdzono. Zresztą planet jak na lekarstwo - dwie skaliste i dwa olbrzymy gazowe, przynajmniej tyle udało mi się dostrzec. Kiedy wszystko już się posprawdzało, ponagrywało, porejestrowało, a w barku niebezpiecznie ubyło zapasów, udałem się w podróż powrotną.

Wylądowałem po skoku około pół roku świetlnego od Słońca, zatem tak jak planowano. Ponieważ wszystko wskazywało na to, że misja przebiega zgodnie z planem, pozbyłem się nadwyżki zapasów, a następnie lekko skacowany wydałem polecenie powrotu. Z prędkością podświetlną ruszyłem w stronę trzeciej planety układu słonecznego.

Oczywiście oglądanie filmów czy też gry komputerowe nie były jedynymi rzeczami które wypełniały mi podróż. Dużą część czasu poświęcałem rozmyślaniom. Zastanawiałem się, jakie zmiany w ciągu tych trzydziestu lat zaszły na Ziemi. Kiedy odlatywałem, tempo rozwoju przybierało już zastraszająco szybką formę. Dużo znanych z opowiadań wynalazków wynaleziono lub uzasadniono teoretycznie ich istnienie. Jak teraz wyglądała Ziemia? Rozkwitający Eden, a może zniszczona przez wojny pustynia? Szukający odpowiedzi naukowcy czy antropocentryczni konserwatyści? Bezproduktywny socjalizm czy krwiożerczy kapitalizm?

W okolicach Jowisza poczułem lekkie zaniepokojenie. Umieszczona na Io stacja kosmiczna milczała. Mimo iż próbowałem skontaktować się z nią na różnych częstotliwościach, nie słyszałem nic prócz szumu. Co dziwniejsze - milczała również sama Ziemia. Było to o tyle niespodziewane, że już od Plutona wysyłałem non stop sygnał wywoławczy. Z drugiej strony, choć kontrolki nie wskazywały nic niepokojącego, nie mogłem wykluczyć awarii. Postanowiłem poczekać aż podlecę bliżej.

Po kilku godzinach w iluminatorze pojawiła się Ziemia w pełnej krasie. Choć żadna ze stacji nie odzywała się nadal, ku wielkiej uldze usłyszałem sygnał naprowadzający. Włączyłem autopilota i z narastającym podnieceniem oczekiwałem na lądowanie. Już za kilka minut poczułem pod nogami stały ląd, już wkrótce się złączą konferencje, wywiady, sława. Już wkrótce.

O dziwo, kosmodrom był pusty. Jak okiem sięgnąć, tylko goła płyta lądowiska i

żadnego statku. Trochę mnie to zaniepokoiło, po namyśle stwierdziłem jednak, że zapewne nowa generacja statków kosmicznych nie potrzebuje tak olbrzymich przestrzeni i infrastruktury do startu. Być może nowy, zbudowany w innym miejscu kosmodrom nie ma możliwości przyjmowania takich antyków jak mój lądownik. I kiedy się już uspokoiłem, zdjąłem skafander, nacisnąłem przycisk i drzwi się otworzyły.

To było niesamowite - naprzeciwko mnie stało trzech ludzi, ubranych. Jak Boga kocham, ubranych w prześcieradła! Poza sandałami było to ich jedyne odzienie. Wyglądali jak starożytni Grecy czy Egipcjanie. Wszyscy mieli długie, rozczesane włosy. I wszyscy spoglądali na mnie z niechęcią.

Milczenie trwało długo. Ja zastanawiałem się co to za szopka, oni lustrowali mnie wzrokiem. W końcu najmłodszy z nich podniósł rękę i wskazując na niebo spytał z wyraźnym oburzeniem:

- Przybywasz. Stamtąd???

Kiedy zastanawiałem się, co u diabła tu się dzieje, najstarszy z nich (i chyba wyższy rangą, bo na ramieniu jego sukmany wyhaftowana była złota gwiazdka) rzekł:

- Uspokój się, Shean. - po czym skierował wzrok na mnie i zapytał - Robert Usher?

- I owszem - odpowiedziałem. - Czy ktoś mi wytłumaczy co się tu dzieje?

- Pójdiesz z nami - odrzekł.

- Ale .

- Pójdiesz z nami - jego głos nie zachęcał do dalszych dyskusji.

\*

\* \*

Wydawało mi się, że śnię albo mam jakieś halucynacje. Moje rodzinne miasto zmieniło się nie do poznania. Znikły gdzieś wieżowce, taksówki powietrzne, nawet samochodów było jak na lekarstwo. Większość ludzi poruszała się przy pomocy rowerów. Ponieważ wszyscy ubrani byli na jednakową modłę, widok ubranych w powłóczyście białe szaty ludzi dziarsko pedaujących sprawiał komiczne wrażenie. Na

ulicach tu i ówdzie widać było kilkusobowe chórki, które śpiewały radosne pieśni klaszcząc rytmicznie w dłonie. Wszystkie utwory miały jednakowy refren - "Alleluja, alleluja". Zdecydowana większość mieszkańców nosiła długie włosy. Czasami tylko dało się zauważyć muskularnie zbudowanych, łysych, ubranych na czarno osobników, którzy poruszali się parami, a na plecach nosili wyraźny napis - "Anioł Stróż"

Zmieniła się również architektura. I to jak. Wszystkie budynki utrzymane były w stylu neogotyckim, zwieńczone krzyżem. Sprawiało to wrażenie, jak gdyby każda budowla była kościołem, zaprzeczały temu jednak szyldy na niektórych budynkach. Zauważyłem "Pensjonat Sanhedryn", "Karczmę Galilejską", "Hotel u Zebedeusza" i tym podobne przybytki. Najwyraźniej miała tu miejsce jakaś eksplozja religijna.

Zaprowadzono mnie do budynku w centrum miasta. Od innych, otaczających rynek domów różnił się tylko wielkością. Jak się mogłem zorientować po tabliczkach przy drzwiach, mieściło się tu większość urzędów. Widocznie nawet w raju przybijacze pieczętek są niezbędni.

Wjechaliśmy windą na piętro. Z radością pomyślałem, że w końcu czegoś się prawdopodobnie dowiem. Korytarz, którym szliśmy, był niesamowicie długi. Po obu stronach było pełno przeszklonych drzwi, między którymi stały wykonane z ciemnego drewna konfesjonały. Ludzie, stojący w kolejce do jednego z nich (zauważyłem przybitą tabliczkę - "Rozliczenie podatkowe") obrzucili mnie obojętnym spojrzeniem.

Doszliśmy do drzwi na samym końcu. Na przeszklonej tabliczce widniał napis "mgr inż. Szymon Opoka - Specjalista ds. Osób Stamtąd". Prowadzący nas starszy mężczyzna skinął na młodszych towarzyszy, by pozostali na zewnątrz, a następnie wprowadził mnie do środka.

Za biurkiem siedział krótko obcięty, pucułowaty blondyn. Różowe policzki, niewinny uśmiezek i grube okulary spowodowały, że w myślach nazwałem go

cherubinkiem. Na biurku walały się różne papiery, a na rogu stał duży, mosiężny krzyż. Cherubinek był chyba kimś ważnym - miał wyhaftowane na białej sukmanie aż trzy złote gwiazdki. Brakowało mu tylko aureolki. Również głos miał miękki i przyjemny.

- A więc to on? - zapytał osobnika, który mnie przyprowadził.

- Robert Usher, urodzony dwunastego października roku dwa tysiące czwartego, w wieku trzydziestu lat skazany na karne roboty za molestowanie nieletniej, pięć lat później zgłosił się na ochotnika do projektu "Centaur".

- Starczy, starczy, to już wszystko wiemy - uśmiechnął się, a ja nie wiem czemu nabrałem przekonania, że za kobietami to on nie przepada. - Możecie wyjść, bracie. Pan z tobą.

Ten, który mnie wprowadził, spojrział na mnie spod byka i mamrocząc pod nosem "i z duchem Twoim" wyszedł. Magister Opoka spojrział na mnie, znowu się uśmiechnął i wskazał ręką na krzesło. Usiadłem.

- A zatem, panie Usher. - Uśmiech wydawał mi się nieco obłeśny. - Witamy na nowej Ziemi.

- Nowej? Zauważyłem... Co tu się do diabła dzieje??

Cherubinek nieco nerwowym ruchem wyłączył przycisk, który nagle zaczął mrugać na czerwono i wydawać krótkie, przenikliwe dźwięki. Zmrużył oczy i zacisnął usta, jednak już po chwili uśmiech pojawił się ponownie na jego twarzy.

- Na początek, w celu ułatwienia konwersacji i zapobieżenia nieprzyjemnym incydentom, pragnąłbym prosić pana o nieużywanie słów typu szatan czy diabeł. Oczywiście przeklinanie jest również jak najbardziej niepożądane - spojrział na mnie znad szkiełek okularów. - Jest pan oczywiście wierzący??

- Oczywiście. - Miałem nadzieję, że zabrzmiało to dostatecznie przekonująco.

- A zatem wie pan, że Mesjasz przed ukrzyżowaniem zapowiedział swoje

ponowne przyjście. Umęczony, pełen grzechów świat z niecierpliwością oczekiwał jego nadejścia. Mnożyły się plagi, katastrofy, wybuchały wojny, brat występował przeciwko bratu. - Magister Opoka pokiwał w zadumie głową. - I oto dwadzieścia lat temu nadeszła ta chwila. Oto Pan Nasz, w otoczeniu dwunastu apostołów, zstąpił na Ziemię. I ustały wszelkie wojny, wszelkie klęski i nieszczęścia.

- Dobra dobra - przerwałem mu widząc, że osiąga stan ekstazy. - Zrobił to sam jeden??

- On i jego apostołowie. - Spojrzenie urzędnika stało się nieco mętne. - Od tej pory na Ziemi panuje szczęście i harmonia. Jedynym problemem są tacy jak pan.

- A co ja mam do tego? - Tym razem udało się mu mnie zaskoczyć.

- Sprawa jest dość skomplikowana. - Wydawał się autentycznie zakłopotany.

- Mieszkamy na Ziemi, a nad nami jest sklepienie niebieskie, w którym mieszka Bóg. Przybyć od niego może tylko Posłaniec Stwórcy, jak to miało miejsce niedawno. Wszyscy inni, którzy twierdzą że przybyli stamtąd, są bluźniercami, heretykami.

- Ale. - próbowałem przerwać, jednak cherubinek nieco podnosząc głos kontynuował:

- Widzi pan, ja mam już swoje lata, co nieco pamiętam, ale niech pan zrozumie

- nasza młodzież wie, że nad nami jest niebo, na nim gwiazdy, które zostały stworzone na Chwałę Pańską, aby były ciałami jaśniejącymi na sklepieniu nieba i aby świeciły nad Ziemią.

- Ale.. ja tam przecież byłem. - wydukałem skonsternowany.

- Niewątpliwie, jednak w obecnym świecie głoszenie takich rzeczy jest. Jakby to ująć.

- Zakazane? - odpowiedziałem mu życzliwie.

- Właściwie nie. - uśmiechnął się szeroko - po prostu głupie. Nikt panu nie uwierzy, a w dodatku może pan stanąć przed Mesjaszem i Radą Dwunastu w trybie

przyspieszonym i to bez praw do wyjaśnień.

- Więc co mam teraz robić??

- Hm. Dostanie pan przydziałowe mieszkanie, trochę gotówki, a za tydzień, góra dwa stanie pan przed Mesjaszem i Radą. Oni zdecydują o dalszych losach. Jeżeli będzie się pan zachowywał w zgodzie z Kodeksem.

- Kodeksem? - przerwałem mu nieco brutalnie.

- Kodeksem Zachowań, znanym w pana czasach jako dziesięć przykazań. - Jego palce zaczęły przesuwać się po długopisie, w górę i w dół, w górę i w dół. - To jedyna obecnie obowiązująca norma.

- I nie aresztujecie mnie? - zaryzykowałem pytanie.

- Aresztujecie? W społeczeństwie, w którym nie ma zbrodni, areszty i więzienia są niepotrzebne. Poza tym pozbawianie kogoś wolności wbrew jego woli także jest przestępstwem. Jedynie Mesjasz może to uczynić.

- A zatem jestem wolny?

- Do czasu spotkania z Radą. tak. Radziłbym jednak korzystać ze swobody z umiarem - Magister Opoka nacisnął mały przycisk znajdujący się na biurku. Ponownie wszedł osobnik, który mnie tu przyprowadził. - Proszę zabrać pana Ushera do dzielnicy Magdali i przydzielić mu apartament dla gości. Ma pełne uprawnienia G-1 aż do momentu rozmowy z Mesjaszem. - Spojrzał na mnie niemal zalotnie. - Mam nadzieję, panie Robercie, że jeszcze się spotkamy??

- Niewykluczone - odpowiedziałem, dodając w myślach: "Po moim trupie".

\*

\* \*

Mieszkanko było całkiem przytulne, choć małe. Niewielka kuchenka, toaleta i średniej wielkości pokój szczytem luksusu nie były, jednak byłem zbyt roztrzęsiony i rozkojarzony by narzekać. Zwałem się na łóżko i próbowałem usnąć. W głowie kłębiły mi się setki myśli.

Przyjście Mesjasza, Rada. Pana przybycie jest herezją. Alleluja. Nie ma więzień. Co tu



się, kurwa, dzieje?

Włączyłem telewizor myśląc, że czegoś się dowiem. Niestety byłem w błędzie. Na pierwszym programie leciały "Żywoty papieży" a na drugim trwała msza. Ku mojemu zdziwieniu, były to jedyne dostępne kanały. Pomyślałem, że jeśli mam tu mieszkać, to w przyszłości będę musiał wykupić jakiś większy pakiet TV bo inaczej zwariuję. Jednak natychmiast przyszła mi do głowy dziwna myśl. Na początku wydawała mi się nieprawdopodobna, jednak już po chwili stała się niepokojąco realna.

W tym świecie nie ma chyba więcej kanałów.

Mój wzrok przykuła sterta banknotów leżąca na biurku. Pomyślałem, że i tak nie usnę, zrobię więc sobie kawy i wyskoczę na miasto. Tam najpewniej się czegoś dowiem. Jednak mimo usilnych poszukiwań kawy nie znalazłem. O papierosach czy zimnym piwie nawet nie miałem co marzyć. Postanowiłem uzupełnić zapasy gdzieś na mieście.

Okolica, w której przyszło mi tymczasowo mieszkać, nie odbiegała swoim wyglądem od normy. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że idę ulicą pełną kościołów. Zmierzchało już, włączały się latarnie, oświetlając całą okolicę. Mimo dość późnej pory wokół było pełno ludzi. Trwały uliczne śpiewy, obok mnie przejeżdżały rowery, Anioły Stróże patrolowali ulice. Coś jednak mi nie pasowało, coś było wyraźnie nie tak. Przystanąłem na chwilę, przyjrzałem się uważnie spacerującym. I w końcu zauważyłem.

Ci ludzie się nie uśmiechali.

Teraz spostrzegłem, że jedynymi, którzy się bawili, byli śpiewacy. Jednak kiedy im się przyjrzałem zauważyłem, że ich radość była pozorna. Usta śpiewały pochwalne pieśni, ale oczy były nieruchome i. czujne. Czyżby czegoś się obawiali?

Postanowiłem poszukać jakiejś przyzwoitej knajpy, tam bowiem spodziewałem się dowiedzieć najwięcej. Minąłem kino (hitem dnia był przedpremierowy pokaz filmu

“Ojciec Dyrektor VII”), teatr, kilka domów prywatnych. W końcu zauważyłem szyld z upragnionym napisem “Karczma Samarytańska”. Nie namyślając się długo otworzyłem drzwi.

Lokal był niewielki, raptem kilka stolików. Za kontuarem stał wysoki, potężnie zbudowany barman. Na białą sukmanę miał założony dodatkowo fartuch. Jak wszyscy barmani, jakich widziałem, monotonnym ruchem wycierał szklankę, wpatrując się w jakiś punkt w nieskończoności. Moje wejście w niczym nie zakłóciło jego zajęcia.

Poza nim w karczmie była tylko jedna siedząca przy stoliku klientka. Młoda, o intrygującej, przyciągającej wzrok urodzie. Przeklinałem tutejszą modę, zakrywającą skutecznie wszystko to, co facet po kilkuletnim pobycie w kosmosie chciałby podziwiać. Siedziała tam, czytając gazetę i pijąc jakiś sok z wysokiej szklanki. Również ona nie zwracała najmniejszej uwagi na otoczenie.

Podszedłem do kontuaru. Barman przerwał na chwilę swoje zajęcie, taksując mnie wzrokiem, po czym wrócił do wycierania szklanek. Spojrzałem na niego, położyłem banknot na ladzie i spokojnym głosem powiedziałem:

- Jasne pełne proszę!

Nagły skurcz wykrzywił twarz barmana. Spojrzał na mnie z niedowierzaniem, chcąc się upewnić, czy na pewno dobrze usłyszał. Gwałtownym ruchem odstawił szklankę i nie bacząc na drżenie rąk chwycił mnie za kłapy cedząc przez zęby:

- Zjeżdżaj stąd, prowokatorze!

Chwilę staliśmy w milczeniu, on nie chciał mnie puścić, ja nie miałem odwagi siłować się z kimś tak potężnej postury. W końcu jednak powoli rozluźnił dłonie. Poczułem nagłą słabość, nogi ugięły się pode mną. Usiadłem na krześle i spojrzałem na rozglądającego się wokół ze strachem barmana. Czego się można bać w rajku?

Postawił przed mną szklankę, nalewając do niej przezroczysty płyn. Spojrzałem na etykietę na butelce. Napisane było jak byk - “woda źródłana”. Dopiero teraz

zauważyłem, że wszystkie butelki stojące na szafce za barmanem, mimo że różniły się kształtem i kolorami etykiet, były tylko różnogatunkowymi wodami mineralnymi lub też sokami. Cóż było robić - wypilem, obiecując sobie znaleźć jak najszybciej jakiś sklep.

Kątem oka zauważyłem, że dziewczyna przygląda mi się. Jednak gdy obróciłem głowę, dalej czytała gazetę. To jednak nie był już ten obojętny wzrok, jej oczy błyszczały. Wyszedłem, kierując się ku centrum dzielnicy. Idąc do karczmy zauważyłem tam kilka sklepów, postanowiłem więc dokonać zakupów na kilka dni. Nie zdążyłem jednak ujść nawet kilku metrów, kiedy usłyszałem ciche "Zaczekaj". Obróciłem się.

Przede mną stała dziewczyna z baru.

\*

\* \*

- Nie mamy czasu, chodź za mną!

Trudno było się sprzeciwić słysząc ten ton. Natychmiast jednak urywała wszelkie próby rozmowy z mojej strony. W końcu zamilkłem, widząc że kierujemy się poza miasto w stronę pobliskiego lasu. Ba! Moje myśli stawały się, hm. nieczyste. Kiedy doszliśmy na niewielką polankę obróciła się ku mnie i powiedziała:

- Możemy usiąść. Tu nas nikt nie znajdzie.

- Kto mógłby nas szukać i po co? - zapytałem.

Spoglądała na mnie długo.

- Zaufałam ci, choć cię nie znam. Widziałam tylko w telewizji relację z twojego przylotu. Muszę jednak wiedzieć. - zawahała się.

- Tak?

Milczała, wpatrując się w ziemię. Wiatr delikatnie pieścił gałęzie drzew. Nad nami krwawo świecił Mars. W końcu spojrzała mi prosto w oczy.

- Urodziłam się osiemnaście lat temu. Nie pamiętam innego życia niż to z

Mesjaszem. Zawsze wiedziałam, że nad nami jest niebo - dom Ojca. Zawsze chodziłam w tych sukniach, podobnie jak wszyscy. Ubierałam się jak kazali, czesałam się jak kazali, robiłam wszystko zgodnie z Kodeksem. Nie zastanawiałam się, dlaczego skoro wszyscy wokół mówią o szczęściu, na ulicach i w domach są wszechwidzące kamery, dlaczego skoro jest tak pięknie wszędzie chodzą Anioły Stróże, po co “Bezpieczne Służby” i “Komitet Obrony Moralności” i inne organizacje? Po co to wszystko skoro żyjemy w raju?

W oczach dziewczyny pojawiły się łzy.

- Dziadek mi opowiadał o dawnych czasach, kiedy ludzie ubierali się jak chcieli, pili co chcieli, robili co chcieli. Powiedz mi. - Delikatnie drżała.

Chwyciłam jej dłoń. Nie opierała się.

- Wiesz. To prawda, w moich czasach może i było inaczej, wcale nie znaczy to jednak, że było lepiej. Ceną, jaką płaciliśmy za rozwój była przemoc i gwałt. Natura zawsze dąży do równowagi. Jednostki wybitne równoważone są przez osobników zepsutych, przy czym geniusz jednych jest odwrotnie proporcjonalny do tendencji zbrodniczych drugich. Coś za coś. W świecie bez przemocy nie ma też rozwoju. Musisz zrozumieć, że ceną za raj jest stagnacja.

- Mesjasz mówił, że tam nad nami jest dom Ojca. Dziadek opowiadał mi, że tam jest dużo takich słońc i planet jak nasza. Ty tam byłeś. Opowiedz mi - dziewczyna przełykała łzy - kto ma rację?

Czyżby w raju nawet elementarna wiedza ograniczana była do minimum?

- Skarbie mój, są miliardy miliardów takich słońc jak nasze, miliardy miliardów okrążających je planet i zapewne miliardy planet na których żyją inteligentne istoty. I zapewne też mają swoich Mesjaszy.

Wpatrywała się długo w moją twarz, końcówki jej włosów zlepily się w mokre strąki.

- Kłamstwo.. wszystko kłamstwo .
- Skarbie - przytuliłem ją delikatnie. - Nie zapominaj, ja tam byłem .

Opuszkami palców dotykałem jej drżącej twarzy, moje usta zbliżały się do ust dziewczyny, zdążyłem tylko wyszeptać:

- Muszę ci coś powiedzieć.
- Obawiam się, że pan nie zdąży, panie Usher! - Głos otoczonego przez Aniołów

Stróżów magistra Opoki zabrzmiał tym razem wyjątkowo stanowczo.

\*

\* \*

Sala była naprawdę olbrzymia. Miała kształt prostokąta, na którego jednym końcu stałem ja a na drugim siedział ON. Strop podtrzymywany był przez osiem bogato zdobionych kolumn. W wykonanych z drobnej cegły ścianach umieszczono olbrzymie witraże. Przechodzące przez nie dzienne światło barwiło wewnątrz na niebiesko-czerwono. Całość uzupełniała marmurowa podłoga. W powietrzu wyraźnie widać było krążące drobinki kurzu.

Tylko aktorzy widowiska nie pasowali do scenografii. Przy okrągłym, dębowym stole siedziało dwanaście osób. Wszyscy, jak z jednej sztancy, ubrani byli w czarne garnitury, białe koszule i czerwone krawaty. Mimo że sala była słabo oświetlona, każdy z mężczyzn miał na nosie okulary przeciwsłoneczne. Przypominało to dwudziestowieczną partyjną nasiadówkę. Trudno było mi uwierzyć, że to właśnie dwunastu apostołów.

Niezapomniane wrażenie zrobił na mnie za to Mesjasz. Ubrany w przyozdobioną złotymi pszczołami czerwoną sukmanę, zasiadał na bogato zdobionym tronie. Uchwyty na dłonie miały kształt lwich głów, zaś szczyt tronu zwieńczony był symbolem Słońca oplatanym przez węże. Sam Mesjasz był, co tu ukrywać, konusem. Oceniałem go na półtora metra wzrostu, i to w złotej, wysadzanej rubinami koronie którą nosił na głowie. Mógł sobie liczyć około pięćdziesięciu lat, gęsty zarost przyprószyła już zaawansowana siwizna. Spoglądał na mnie wzrokiem głodnego

pajaka.

- Co my tu mamy. Prowokacja, nielegalne oddalenie się ze strefy zamieszkaney, szerzenie herezji. no i cudzołóstwo!

- Cudzołóstwo? - byłem autentycznie zaskoczony. - Przecież ja nic.

- Powiadam ci, synu - łagodnym głosem przerwał Mesjasz. - Wystarczy że spojrzales na nią z požądaniem, a już dokonales grzechu.

- I to ma być ten wasz raj? Spojrzenie na dziewczynę - sąd? Napicie się piwa - sąd? A za powiedzenie "kurwa twoja mać" co? Biczowanie? Ukrzyżowanie? I w ogóle po co kamery, po co jakieś służby, kontrole, skoro tak tu jest pięknie?

- Po to żeby nadal było pięknie, panie Usher. - W sali nieco się rozjaśniło, tak promienny był jego uśmiech. - Człowiek nie jest idealnym dziełem Boga. Za dużo wolności powoduje jego upadek moralny. Ta jeszcze prymitywna - powiedzmy sobie szczerze - istota potrzebuje ciągłego wskazywania mu drogi, pokazywania co dobre a co złe, a mimo to - niech pan zauważy - zawsze będzie się starać znaleźć jakieś obejście obowiązujących zasad. Mówi pan: kontrola? Tak, to co dla dzisiejszego pokolenia jest kontrolą, dla następnych będzie już normą. Tak powstanie w końcu doskonałe społeczeństwo, które będzie krzewiło i pielęgnowało miłość, nie nienawiść, szczęście, nie cierpienie, wierność, nie cudzołóstwo.

- Obawiam się, Mesjaszu, że nie uwzględniłeś jednego czynnika. - Pokornie pochyliłem głowę, by nie zauważył mojego uśmiešku.

- A o czymże to zapomniałem? - W jego oczach widać było autentyczne zdumienie.

- O ludzkiej naturze, tak po prostu. Nie da się przewidzieć ruchu pojedynczej cząsteczki wody, ale można opisać zachowanie się cieczy w szklance czy butelce. Z ludźmi jest inaczej. Cząsteczki, czy też jednostki nie są równe. Są takie, które mają znacznie większy wpływ na inne niż pozostałe. Są jednostki z tendencjami

zbrodniczymi, są w końcu rebelianci których jedynym celem życiowym jest występowanie przeciwko jakimkolwiek zasadom i regułom.

- Zgadza się, panie Usher. Po to właśnie są służby, kamery, po to ciągle kontrole by te jednostki eliminować. Jak pan słusznie opowiadał tej dziewczynie, jednostki wybitne równoważone są przez jednostki skrajnie zbrodnicze. Po wyeliminowaniu tych drugich, zostaną tylko te dobre. Zgodzi się pan ze mną zapewne, że wkrótce podzielią się oni na mniej i bardziej dobrych. Eliminując tych.. hm. nieco gorszych, spowodujemy stały przyrost jednostek idealnych do naszych planów.

- Ale oznacza to stagnację! - zaprotestowałem głośno. - Przecież cała historia świata to historia buntu! Wiele rzeczy odkryto tylko dlatego, że ktoś postanowił zaprzeczyć ogólnie obowiązującym zasadom!

- Ponownie ma pan rację. - Choć to wydawało się niemożliwe, uśmiechnął się jeszcze promiennie. - Nadal myśli pan w kategoriach swojego chorego świata. Czyż człowiek w pełni szczęśliwy może być jeszcze szczęśliwszy? Po co wynajdywać nowe rzeczy? Człowiek nakarmiony, kochający, mający dla kogo żyć i otoczony przez sobie podobnych jest szczęśliwy - cóż mu więcej potrzeba? Dążenie do jakichś mniej lub bardziej żałosnych celów, rywalizacja, wyścigi to przyczyny choroby która toczyła ten świat.

- Więc tak ma wyglądać raj? Banda odmóżdżonych, wiecznie uśmiechniętych kretynów? Bez marzeń, bez dążeń, bez pragnień?

Ciszę, która zapanowała, przerwało parskanie jednego z apostołów. Za chwilę zaśmiał się drugi, trzeci, czwarty. Wkrótce całe zgromadzone przy okrągłym stole towarzystwo zaśmiewało się do łez. Nad wszystkimi górował żabi rechot Mesjasza. W końcu tenże ocierając łzy wstał i spoglądając na mnie przymrużonymi oczętami wykrztusił:

- Raj? A kto tu kurwa mówi o rajach?

Szybkim ruchem ściągnął koronę z głowy. Na czole wyraźnie widoczne były małe, czerwone różki.



## Mróz

- Cholera! - Noga dziewczyny zapadła się w śnieg prawie po kolano.

- Spokojnie, daj rękę - rzekł młody blondyn w czerwonej, grubej kurtce i wełnianej czapce. Podeszedł do kobiety, podając jej dłoń. - Już niedaleko.

Niecałe dwieście metrów przed nimi widać było zarys zbudowanej z drewnianych bali chatki. Wysoko jeszcze stojące na niebie słońce skrzyło się w śniegowych zaspach, oślepiając wszystkich co chwilę. Byli zmęczeni - bardzo zmęczeni. Domek, który zauważyli podczas zejścia, był ich nadzieją na chwilowy odpoczynek. Musieli odetchnąć, wypić coś ciepłego i przeczekać najgorsze.

Było ich siedmiu. Trzy dziewczyny i czterech chłopaków. Przerazały ich ośnieżone szczyty, strach wzbudzał delikatny puch, pokrywający ścieżki, którymi szli. Drżeli na myśl o lawinach, które widzieli jak schodziły na innych zboczach. Nie wiedzieli, jakie są szanse na ocalenie. I czy wszyscy przeżyją.

- Spójrzcie! - Jedna z dziewcząt odwróciła się, spoglądając w dół.

Widząc cudownie zieloną dolinę, otuloną delikatną mgiełką wszyscy pomyśleli o tym samym - jak pięknie byłoby tam na dole.

- Uda się. - Najwyższy z chłopaków zacisnął pięść. Nie bacząc na spojrzenia innych krzyknął:

- Uda się! Nie traćcie nadziei!

- Nadchodzi mróz - ponurym głosem rzekła blondynka w żółtej czapce. - Wiesz, że możemy nie przeżyć.

- Przecież oni muszą nam pomóc. Rozumiesz? Muszą! - odpowiedział z zacięciem. - Bo inaczej... - zamilkł. Z niedowierzaniem spoglądał na zwieszane głowy grupy. Jedna z młodych kobiet podeszła do niego i delikatnie chwytając za dłoń rzekła:

- Chodźmy.

\* \* \*

Chata była zaopatrzona skromnie, ale wystarczająco. Zresztą większość niezbędnego zaopatrzenia mieli ze sobą. Już po chwili w kominku płonął ogień, a w rękach wszyscy trzymali parujące kubki z herbatą. Przez chwilę atmosfera rozluźniła się, kilka osób pozwoliło sobie nawet na drobne żarty, ale w końcu nadeszła chwila, kiedy musieli podjąć decyzję.

Zasiedli na podłodze wokół kominka. Migoczący płomień oświetlał ich twarze. Można było zauważyć pewne podobieństwo członków grupy do siebie. Cisza przedłużała się, nikt nie chciał zabierać głosu pierwszy. Na zewnątrz słychać było coraz mocniejsze podmuchy wiatru.

- Ty pójdziesz - drobna blondynka wskazała palcem na najwyższego z nich. Pozostali milcząco pokiwali głową zadowoleni, że w końcu ktoś się odezwał.

- Ja nie chcę - odpowiedział wybrany.

- Musisz. Jesteś najsilniejszy z nas. Masz największą szansę przetrwać. - Krótco ostrzyżony brunet wpatrywał się nadal w płomień. Jego dłonie drżały. - Przetrwać i być może nas uratować.

- Nie! - krzyknął młodzieniec. Wstał i podszedł do okna. Zachodzące słońce zakrwawiło pobliski szczyt. Odwrócił się i spoglądając na grupę krzyknął:

- Obiecaliśmy sobie, że się nie rozstaniemy, cokolwiek się wydarzy.

Obiecaliśmy, pamiętacie?

- I dotrzemy słowa. Kiedy już będziemy tam, w dolinie, spotkamy się.

Zobaczysz. - Brunet chwycił go mocno za ramię. - Wiesz, że nie możemy iść wszyscy.

- To draństwo! - krzyknął z rozpaczą wybraniec.

- Nie mamy no to wpływu, wiesz dobrze. - Blondynka również podeszła do niego.

- Idź i... Daj nam chociaż odrobinę nadziei.

Przez chwilę panowała cisza. Młodzieniec spoglądał na każdego z towarzyszy. Długo wpatrywał się w ich twarze, jakby chcąc zapamiętać je w każdym szczególe.

Wiedział, że nawet jeżeli uda mu się dotrzeć do celu, oni prawdopodobnie zginą. A nawet jeżeli jakimś cudem zdąży nadejść pomoc, mogą się już nie spotkać.

Otoczyli go. Nie śmiał podnieść głowy, zdając sobie sprawę z ich myśli. Byli grupą, byli rodziną, ale szansę miał tylko jeden. Reszta była od niego uzależniona. A co najgorsze - nie tylko od niego.

- Już czas. - O dziwo, głos zabrała milcząca dotąd dziewczyna. - Zbieraj się. I daj z siebie wszystko, bo nasza nadzieja jest tylko w tobie.

Resztę czynności wykonał powoli. Przeczyścił plecak, zabierając tylko najbardziej niezbędne rzeczy, pieczołowicie sprawdził, czy ubranie jest szczelne, raz po raz obrzucając głębokim spojrzeniem członków grupy. Byli zżyci od początku wyprawy, nie rozstawali się nawet w kryzysowych momentach, a teraz całą swą przyszłość kładli na jego barkach. Nawet mając świadomość, że prawdopodobnie tylko on przeżyje...

Brunet otworzył drzwi. Momentalnie zaskowyczał wiatr, sypnęło śniegiem sprzed chaty. Zadrżeli. Mróz nadchodził, wiedzieli o tym. I nie było przed nim ucieczki. Była szansa, była jedna znikoma szansa...

Wyruszył. Gdzieś tam znajdowała się dolina. Gdzieś tam istniała nadzieja. Grupa, trzymając się za ręce, obserwowała, jak schodził ledwie widoczną ścieżką. Odwrócił się tylko raz, na skraju pasa drzew, machając im ręką, po czym zniknął.

Drżące z zimna sylwetki wróciły do chaty.

Siedzieli w milczeniu. Po kilku twarzach płynęły łzy. Wszyscy pospuszczali głowy, nie byli więc pewni, kto wyszeptał pytanie, które zadawali sobie od paru chwil.

- A co będzie, jeśli mu się uda?

Szedł powoli, ale pewnym krokiem. Gęsta korona drzew powodowała półmrok, w dodatku ośnieżona ścieżka była ledwie widoczna. Nieraz gubił drogę, orientując się poniewczasie, że śnieg robi się coraz gęstszy a las mroczniejszy. Wracił wtedy po śladach do momentu, kiedy pewien był, że jest na dobrej drodze i z uporem szedł dalej.

Był coraz bardziej zmęczony. Nogi stawały się cięższe, drzewa zaczynały się rozmywać i chwiać. Zdawał sobie sprawę, że nie może się poddać. Przez chwilę pomyślał o grupie, którą pozostawił w domku, o swych braciach i siostrach, których przecież nie mógł zawieść. Zacisnął pięści i ruszył dalej. To dla was, kochani...

Niebo pokryło się chmurami. Robiło się coraz ciemniej, wiatr przybrał na sile, śpiewając swą smutną pieśń w gałęziach drzew. Pierwsze, jeszcze nieśmiałe płatki śniegu sfrunęły z nieba. Musiał się spieszyć.

Niespodziewanie stanął na skrzyżowaniu dróg. Wiedział, że może wybrać tylko jedną - zła decyzja skazywała tych, którzy przebywali w górskiej chacie, na pewną śmierć. Drugi wybór dawał im szansę.

Zacisnął zęby. Tak czy tak, ktoś musi wygrać, ktoś musi ocaleć. Zamknął oczy, nie mogąc się zdecydować. Obie drogi były jednakowe, obie prowadziły ku nieznanemu. Czas. Czas był ich wrogiem. Przez chwilę się zawahał, po czym zdecydowanie ruszył lewą odnogą.

Wszystko się zmieniło. Nagle zapanowała przerażająca cisza. Otoczenie wydawało się być martwe, jedynie śnieg skrzypiał pod nogami, uświadamiając go, że wciąż idzie. Wiatr ucichł, a chłopak nagle zorientował się, że zaraz objawi się sens jego podróży. Drzewa lekko przerzedzały się, widział już ostatni zakręt. Tam było rozwiązanie... Przeznaczenie było dla niego łaskawe, czy skazało go na niebyt?

Powoli, człapiąc ze zmęczenia, skręcił.

Przed nim rozciągała się zieleń. Ze zdumieniem obserwował dolinę, marzenie każdego z nich. Zostało kilka kroków, ale tych najtrudniejszych kroków.

Nagle poczuł potworny ból. Otoczenie zaczęło go przytłaczać, zdawało się, że znalazł się w ciasnym tunelu. Naprzód, naprzód, naprzód... Był tak blisko. Wszystko dookoła pulsowało, raz po raz opasując jego ciało żelazną obręczą, to znów rozluźniając się na chwilę.

Przecież jestem tak blisko - pomyślał. Musi się udać. Musi!

Jeszcze jeden krok naprzód... Nagle poczuł swobodę ruchów. Przymrużył oczy, kiedy niespodziewanie oślepiło go światło. Gwałtownie, nerwowo zaczerpnął pierwszy oddech. I zaczął głośno, żałośnie płakać.

\* \* \*

- Spójrz, jak mruży oczy.

- A jak żałośnie płacze.

- Nie ma się co dziwić, to dla niego zupełnie nowe otoczenie - powiedział lekarz do świeżo upieczonych rodziców. - Przeszedł naprawdę trudną drogę, aby tu dotrzeć.

- Jak każde dziecko - uśmiechnął się dumny tata. - Ale teraz jest już z nami, cały i zdrowy!

- I jaki kochaniusi! - Kobieta wciąż tuliła syna, wpatrując się w niego jak w obrazek.

- Gratuluję państwu. - Doktor podszedł do rodziców, ściskając mocno dłoń ojca i znacznie delikatniej mamy, po chwili wahania ujmując malutką rączkę i ostrożnie nią potrząsając.

- Syn! - Mężczyzna z trudem skrywał dumę. Nie mógł oderwać wzroku od drobnej, ruszającej wszystkimi kończynami i płaczącej, a jednocześnie ciekawie się rozglądającej istotki. I te oczy - głęboko niebieskie, niemalże fiołkowe. Jego syn, jego wymarzony syn...

- Ile lat państwo czekaliście? - zapytał doktor.

- Dziesięć - odparł ojciec, obserwując jednocześnie, jak jego żona delikatnie dotyka niemowlaka. - Dziesięć lat, podczas których próbowaliśmy wszystkiego. Wszelakich metod - i tych naukowych, i tych potocznych. Wypróbowaliśmy każdą, nawet najbardziej nieprawdopodobną metodę na zajście w ciążę. I nic...

- Dlaczego zatem nie przebadaliście się wcześniej? - zdziwił się doktor. - Gdybyśmy wiedzieli, że jest pan niezdolny do poczęcia drogą naturalną, moglibyśmy zastosować in vitro już parę lat temu.

- Wie pan, panie doktorze. Zwykły męski strach o to, że nie jest się w stanie być tak naprawdę mężczyzną. Niepłodny facet - cóż to za twór natury? A in vitro... Tyle się o tym słyszy....

- Niech pan spojrzy na tego kawalera. Nie warto było? Naprawdę? - Doktor uśmiechnął się z przekąsem. Założył ręce na piersi, spoglądając z góry na tatę. Wszelakie argumenty przeciw tej metodzie bladły wyraźnie na porodówce. Widok kwilącego dziecka, bezradnie majtającego nóżkami, zmiękczał jak dotychczas serce nawet najbardziej zatwardziałego konserwatysty, który nagle ze zdumieniem odkrywał bolesną prawdę - świat nie jest czarno-biały.

- Panie doktorze... - Cichy głos kobiety spowodował, że lekarz natychmiast podszedł do osłabionej mamy.

- Słucham?

- Panie doktorze... Czy dużo naszych zarodków powstało dzięki tej metodzie?

- To nie ma znaczenia, droga pani. Tak już jest, musimy wyselekcjonować najsilniejszego, by mieć pewność, że się uda. A także, jeśli zabieg się nie powiedzie, by mieć możliwość skorzystania z kolejnego, by dać państwu upragnione dziecko. No spójrzcie na tego ananasa - nie warto było?

- A co się stanie z pozostałymi?

- Ale to nie ma znaczenia... - zaczął swą tyradę doktor, jednak ze zdziwieniem poczuł trzęsące się dłonie mężczyzny, trzymające go za fartuch.

- Co się stanie z innymi zarodkami? - drżącym głosem zapytał ojciec.

- Cóż... Decydując się na zabieg wiedzieliście państwo, jak on przebiega. - Oderwanie rąk mężczyzny od fartucha była nad wyraz trudne. Doktor kontynuował ciepłym, spokojnym głosem. - Pozostałe zarodki zostaną zamrożone. Być może pojawi się u nas para, której nawet in vitro nie pomoże. Wówczas zaoferujemy jej embrion. Bracia i siostry państwa syna urodzą się w innych rodzinach. Niestety, oczywiście się nie spotkają. Obowiązuje nas tajemnica lekarska.

- A co, jeśli nie znajdą się potencjalni rodzice naszych dzieci?

- Embrionów - spokojnym głosem powiedział doktor. - To tylko embriony, a w zasadzie to nawet lekko rozwinięte komórki jajowe. Martwe grupki komórek, niezdolne do samodzielnego życia. Cóż, w chwili obecnej zamrozimy je, a potem...

- A potem?

\* \* \*

- Jak myślicie, udało mu się? - zapytała blondynka. Pozostali sceptycznie pokiwali głową.

- Jest coraz gorzej. Wiatr się wzmaga, nadeszły chmury...

- I pada śnieg. - Brunet, stojący dotychczas przy oknie wypowiedział to zdanie pozornie beznamiętnie, wszyscy jednak zrozumieli jego sens.

- Chodźcie wszyscy, usiądźmy przy ognisku - zaproponowała blondynka. Nikt się nie opierał.

- Co z nami będzie? - Mała, drobna dziewczyna z trudem hamowała łzy.

- Jeżeli doszedł, to po nas.. Jeśli coś mu się stało, kolejny z nas dostanie szansę.

Musimy czekać.

Ściemniło się już. Wiatr skowyczał w kominie, okiennice nerwowo zamykały się i otwierały. Nagle ogień przygasł, z kominka buchnął snop iskier. Z niedowierzaniem

rozglądali się po chacie. Zapadła ciemność, jedynym źródłem światła był w tej chwili niepokojąco drżący płomień ogniska.

- Wszyscy jak najbliżej kominka!

Usiedli, siostra przy siostrze, brat przy bracie. Jeśli jeszcze niedawno się łudzili, teraz stracili resztki nadziei. Zaniepokojeni, spoglądali na siebie, z trudem uzmysławiając sobie niewyobrażalną dotąd prawdę.

- Trzymajcie się!

Zapletli ręce, mocno wtulając się w siebie. Na chwilę ogrzało ich ciepło własnych ciał, jednak w oczach młodych ludzi była już tylko rezygnacja. Wiedzieli, że ich brat doszedł. A to oznaczało, że nie mają szans. Żadnych.

Na oknach wykwitły lodowe kwiaty, wicher z wściekłością runął w głąb komina, gasząc płomień. Drzwi zniecka otwarły się, a mróz zdobywca otoczył nieruchome sylwetki. I tylko srebrny blask Luni, która niepostrzeżenie wyszła zza chmur, odbił się blaskiem rozpaczy w lodowej łzie na twarzy jednej z dziewczyn.

Mróz nadszedł.



## Dzień Ojca

Poranne słońce usiłowało przebić się przez zasłony. Obudził się, mrużąc oczy. Ze zdziwieniem stwierdził, że miejsce obok niego było puste. Spojrzał na zegarek - wskazywał godzinę szóstą. Zastanawiał się, dlaczego żona wyszła tak wcześnie, wszak pracę rozpoczynała dopiero za dwie godziny. Rozwiązanie zagadki okazało się banalne i bardzo przyjemne.

Drzwi otworzyły się cicho. Spojrzał na żonę z uznaniem. Ubrana tylko w fartuszek niosła przed sobą tacę, na której stała filiżanka z kawą, jajko na miękko i bogato przystrojone w warzywa kanapki. Za lewym uchem miała wpiętą czerwoną różę. Spoglądał na całą jej sylwetkę: zgrabne, długie nogi, lekko zaokrąglone biodra i jędrne piersi, prowokująco wyglądające zza fałd fartuszka. Mimowolnie poczuł, jak krew pulsuje w skroniach, a spodenki stają się zdecydowanie za ciasne.

Spojrzała na niego niezdecydowanie. Pomógł jej w podjęciu decyzji, nakazując gestem by śniadanie odłożyła na później. Na długo, długo później.

Kiedy w końcu, zmęczony pościelowymi zabawami, zjadał ze smakiem kanapki, żona ubierała się powoli do pracy. Robiła to na jego oczach, wiedząc, jak bardzo go to podnieca. Na koniec spojrzała na zegarek, podeszła do niego i zrzuciła kołdrę na podłogę. Pochyliła się, delikatnie całując męża w pępek i rzekła zalotnie:

- Wszystkiego najlepszego w Dniu Ojca, kochanie!

\*

\* \*

- No, mały, cały dzień dla nas! - Chwycił dzieciaka pod pachy i podniósł go szybkim ruchem. - Chodź, pomachamy mamie.

Mały, niespełna półtoraroczny chłopczyk z zapamiętaniem machał ręką, gaworząc swoje "papa". Jarek również pokiwał ręką żonie, wsiadającej właśnie do samochodu. Cały czas tliło się w nim wspomnienie dzisiejszej pobudki.

Przysięgłby, że wciąż widzi na twarzy Agnieszki ten filuterny uśmiešek, który nie schodził jej z twarzy aż do wyjścia z domu. A teraz przed nim cały dzień, spędzony z

ukochanym synkiem.

- No, bąbel, idziemy! - Przytulił mocno małego Patryka. - Czas na śniadanie.

Podłączył gaz pod garnkiem z jajkami, wiedział, że dzieciak je uwielbia.

Krzątając się po kuchni, raz po raz pilnował, by syn czegoś nie zbroił. Patryk był wyjątkowo ruchliwy, nawet jak na swój wiek. Słuch Jarka był wyczulony na każdą dłuższą chwilę ciszy oznaczającą, że maluch najprawdopodobniej zajmuje się właśnie destrukcją lub wyrzucaniem rzeczy z szafek.

Po raz kolejny zajrzał do pokoju. Mały oglądał reklamy, radośnie gruchając, kiedy leciała któraś z jego ulubionych. Uspokojony, zaparzył herbatę, a kiedy jajka ugotowały się, obrał je ze skorupki. Posadził Patryka na krzeselku, sam zaś siadł obok i zajęli się konsumpcją, przerywaną tylko przez latające tu i ówdzie kawałki jajka i skórki od chleba. Po wspólnym śniadaniu wytarł uśmiechniętą, umazaną twarz dziecka i zakomunikował:

- No, mały, teraz trochę ruchu.

Obserwując, jak Patryk zapamiętałe bije ścianę łapką na muchy, pokrzykując "ati, ati", włączył kanał sportowy. Często wyobrażał sobie w takich chwilach jak on, niezbyt wysoki, za to dobrze zbudowany blondyn, staje w dresie na podium, roniąc łzę i wsłuchując się w "Mazurka Dąbrowskiego". Cóż, w końcu marzenia nie kosztują.

Mały Patryk zniknął za ścianą. Zerwał się, pobiegł za nim. Chłopczyk stał u stóp schodów. W jego błękitnych - po tacie - oczach pojawiło się coś, co oznaczało przynajmniej półgodzinną zabawę w "opa opa" - wchodzenie i schodzenie po schodach. Jarek westchnął - już po kilku minutach takich spacerów kręgosłup najpierw delikatnymi, później coraz mocniejszymi ukłuciami dawał znać o sobie. Ale czego nie robi się dla syna?

Trzymając go delikatnie za ręce, poruszał się mozolnie w górę i w dół. Podczas wędrówek między piętrami rozmawiali: on pytał malca, jak się bawi, a Patryk

odpowiadał swoim radosnym "gu gu gu".

Ze zdziwieniem usłyszał bicie zegara oznajmiające, że jest już jedenasta. Czas wspólnych zabaw zleciał dziś wyjątkowo szybko, była już najwyższa pora, by położyć małego spać. Zresztą Patryk ziewał coraz mocniej, a kiedy wziął go na ręce, synek zaczął także trzeć oczy. Wyszli więc na piętro, po czym położył dziecko do łóżeczka. Z czułością patrzył, jak mały przytula się do ulubionego misia i niemalże natychmiast zasypia.

Nie spodziewał się nikogo o tej porze, dlatego ostry, przenikliwy dźwięk dzwonka do drzwi spowodował, że natychmiast zbiegł na dół.

\*

\* \*

- To jakaś pomyłka - zdenerwowany Jarek tłumaczył po raz kolejny. - Nie wzywałem żadnego pogotowia.

Ubrany na czerwono, lekko siwiejący lekarz założył ręce na piersi.

- Proszę pana, czy pan myśli, że my mamy czas na głupie zabawy?

- To nie jest żadna zabawa, nie wzywałem pogotowia.

Lekarz podrapał się po głowie.

- Tu jest ulica Chrobrego sześć, tak? - widząc potakujące skiniecie głową, kontynuował. - Dostaliśmy wezwanie do wypadku, dziecko spadło ze schodów. Czy potwierdza pan to?

- Ależ skąd - Jarek odetchnął z ulgą. Przez chwilę miał dziwne przeczucie, że coś się stało Agnieszce. - Mój Patryk śpi właśnie w łóżeczku. Jeśli panowie chcą zobaczyć...

- No chyba pan najlepiej wie, gdzie jest pana syn. - Lekarz odwrócił się, nakazując pielęgniarkom powrót do karetki. - Aha, jeszcze jedno. Zdaje pan sobie sprawę, że numery osób, które dzwonią na pogotowie są rejestrowane. Sprawdźmy, skąd do nas dzwonią. Nie muszę chyba dodawać, jakie mogą być konsekwencje?

- Oczywiście - uśmiechnął się Jarek. - Mam nadzieję, że namierzycie dowcipnisia. Lekarz, kiwając głową i mrużąc coś pod nosem, wrócił do karetki. Jarek obserwował, jak sanitarka powoli wykręca na podjeździe i odjeżdża. "Ciężka praca" - pomyślał - "a tu jeszcze jacyś durnie przysparzają im kłopotów". Dziecko spadło ze schodów... Tak makabryczna myśl mogła przyjść do głowy tylko idiotcie. Bezradna, płacząca istotka...

Odwrócił się w stronę domu. Zamierzał w spokoju obejrzeć do końca transmisję i poczytać gazetę, gdyby starczyło mu jeszcze czasu. Nagle kątem oka zauważył wypadający zza rogu, pędzący samochód. Serce zabiło mu mocniej. Niebieski ford sierra, taki jak...

Agnieszka?

\* \* \*

- Co się z nim stało? - Oczy jego żony były pełne łez. Drogę od samochodu do stojącego przed drzwiami Jarka przebyła w mgnieniu oka. Teraz potrząsała nim spazmatycznie. - Jarek, jak to się stało, powiedz!

- Uspokój się, skarbie - Chwycił żonę za nadgarstki, próbując bezskutecznie ją unieruchomić. - To była pomyłka.

- Jaka pomyłka? - Jej oczy zrobiły się okrągłe niczym spodki. - Jarek, karetka zabrała naszego syna!

- Uspokój się! - Tym razem to on podniósł głos. - Nasz syn śpi w swoim pokoju. Sam go kładłem spać, wiem co mówię!

- Jarek... - Wtuliła się w niego, łkając jak dziecko. - Musimy jechać do niego, ubieraj się... proszę...

- Kochanie. - Podniósł delikatnie jej podbródek. Poddała się bezwładnie jego woli. - Ktoś zadzwonił na pogotowie i podał nasz numer domu. Rozmawiałem z lekarzem i powiedziałem mu, że to głupi żart. Nasz syn jest w pokoju na górze. Chodź ze mną, pokażę ci, jak nasz skarb słodko śpi.

Chwycił ją za rękę, próbując pociągnąć w stronę domu. Wyrwała się, wybuchając głośnym płaczem. Zniecierpliwiony, podszedł do drzwi. Kiedy je otworzył, ze zdumieniem zauważył stojącą przed nim starszą kobietę w czarnej woalce.

- Mama?

Kobieta bez słowa uderzyła go w twarz.

\* \* \*

- *Mamo? Mamo! Boję się!*

*Ciemność. Otulająca wszystko, gęsta ciemność. Skradająca się powoli, dotykająca zniechęca włochatymi odnóżami, skrobiąca i popiskująca. Ciemność smakująca strachem, śmierdząca trupią zgnilizną, przenikająca każdą cząsteczkę ciała. Otoczenie, tak dobrze znane w świetle dnia, teraz staje się obce. Gotowe w każdej chwili porazić zimnym dotykiem, wrogo szczyrzy kanty. Znajome kształty wykrzywają się karykaturalnie, mrużąc złowrogo swoje kotysanki.*

- *Mamo! już będę grzeczny! Proszę cię, zabierz mnie stąd!*

*Mrok przypęta powoli, ociekającym obrzydliwą, śmierdzącą śliną jęzorem oblizuje ręce, nogi, brzuch... Zimne igielki wbijają się w pokryte gęsią skórą ciało. Szpony potwora delikatnie prześlizgują się po skórze. Oczy błyszczą w ciemności zimnym błękitem. Złowieszcze szepty odbijają się echem, mrok otula wszystko gęstą niby smoła ciemnością.*

- *Mamusiu! Mamo...*

\* \* \*

Ze zdumieniem spoglądał na zgromadzonych w salonie. Zjechała się prawie cała rodzina. Zastanawiał się, jak to możliwe, że nie zauważył, kiedy weszli. Czyżby to miała być niespodzianka na Dzień Ojca?

Przyglądali mu się w milczeniu. Zauważył, że Agnieszka wtuliła się w swoją mamę. Spoglądał na zaciśnięte usta przybyłych, czuł się nieswojo, widząc ich zimne, lustrujące go od stóp do głów spojrzenia. Spazmatycznie łkająca żona odwróciła wzrok

w stronę okna, szepcząc przez łyżki:

- Patryk...

Spojrzał na nią ze zdziwieniem. Do cholery, nadal przejmuję się tym głupim żartem? Zauważył, że wszyscy zgromadzeni podchodzą do Agnieszki, przytulając ją i pocieszając. Nie wytrzymał dłużej.

- O co wam chodzi? O ten kretyński dowcip? Przecież Patryk śpi, sam go usypiałem! Zaraz go przyprowadzę, przekonacie się!

Pobiegł na piętro, nie zważając na ścigające go zdziwione spojrzenia. Chciał wziąć syna na ręce, pokazać im, że Patryk jest cały i zdrowy.

Kilka stopni przed wejściem do korytarza poczuł, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa. Stopy stawały się ciężkie, z coraz większą trudnością mógł robić kolejne kroki. Wiszący przed nim na ścianie obraz rozmył się, ściany przekrzywiły się pod dziwnym kątem. Poczul zawroty głowy, wszystko opętańczo wirowało. W uszach słyszał szum, przez który przebijał się rozpaczliwy płacz dziecka.

Desperacko, podtrzymując się ścian, podszedł do pokoju Patryka. Starał się uspokoić, choć serce pulsowało, rozrywając pierś. Czoło ociekało potem, nogi drżały. Powoli, z olbrzymim wysiłkiem, podniósł ważącą chyba tonę rękę. Drżąca dłoń dotknęła klamki, naciskając ją niepewnie...

"Jesteś tam, synu, prawda?"

Drzwi otworzyły się ze zgrzytem...

## **Tajemnica wawelskiego wzgórza**

Śpiew skowronków obudził jedynie kilku mieszkańców podzamcza. Promienie wschodzącego słońca leniwie prześlizgnęły się między chmurami, delikatny zefirek z trudem poruszał gałęziami potężnych dębów, otaczających zabudowania.

Gdzieniedzie zaszczekał pies, głuchym echem między domami odbijało się nieśmiało "ki-ki-riiii-kiiii". Tu i ówdzie zaskrzypiało długie ramię żurawia, pełne orzeźwiająco zimnej wody drewniane wiadro wynurzało się z otchłani studni. Codzienny rytm życia

wioski zakłócił jednak zupełnie niespodziewany widok.

Nieliczne osoby, zajęte dotychczas porannymi ablucjami, ze zdziwieniem wpatrywały się w mężczyznę, stanowczym krokiem przemierzającego wioskę. Wysoki, dobrze zbudowany brunet, o śniadej cerze i ogromnych wąsiskach rzadko był widywany w podzamczu. A ujrzenie go rano, w dodatku ubranego jedynie w lekki, brązowy kaftan i lniane spodnie graniczyło z cudem.

Mężczyzna pewnie skierował się ku domostwu, znajdującemu się tuż pod murami zamku. Mocnym kopnięciem uciszył szczekającego psa, a kiedy tenże skomląc schował się w drewnianej budzie, zakołatał stanowczo do drzwi. Po chwili, słysząc wewnątrz jakieś szmery tudzież szepty, uderzył z całej siły w drewniane wrota.

Powoli, bardzo powoli drzwi otworzyły się. Zaniepokojony wzrok niewiasty powiedział mu wszystko.

- Stanko!! - krzyknął.

- Tu nikogo nie ma, panie. - Wzrok kobiety zdecydowanie zaprzeczał wypowiedzianym słowom.

Mężczyzna spojrział na nią z góry. Przez chwilę zastanawiał się, co przyciąga innych do osób o tak przeciętnej urodzie i nikczemnym wzroście, wnet jednak wzrok jego zatrzymał się na dwóch wyjątkowo dorodnych piersiach. Uśmiechnął się lekko, lecz w jego głosie ponownie zabrzmiała stanowczość.

- Stanko!! Wychodź!!

- Już idę, panie! - Przez uchylone drzwi widział, jak sługa, niewiele od niego niższy i równie potężnie zbudowany rudzielec, pospiesznie naciąga gacie. Po chwili, założywszy żółte cizmy, wyszedł, nie zapominając jednak gorąco ucałować niewiastę. Ta spłonęła się lekko, jednak w jej wzroku przybysz - ku swojemu zdziwieniu - nie spostrzegł ani odrobiny wstydu czy onieśmienia.

Stanko cierpliwie czekał, aż usłyszy wyjaśnienia. Nie pamiętał bowiem, aby

kiedykolwiek stało się coś na tyle ważnego, by Bolko, rycerz i pan na zamku Grinberg, szukał go osobiście nad ranem. Kiedy oddalili się nieco, brunet spojrzął na sługę i rzekł:

- Ziemowit, którego żonę właśnie raczyłeś wychędożyć, ma dziś służbę na wieży.
- Bolko udał, że nie widzi złośliwego uśmieszku Stanka. - Doniósł mi przed chwilą, że orszak jakowyś ku nam zmierza. Nim cztery klepsydry miną, gości mieć będziemy.
- I to jest ten powód? - z niedowierzaniem spytał sługa. - Wszak gości przyjmujemy nader często. Chyba, że.
- Właśnie - krótko odrzekł rycerz. - Orszak ma barwy książęce.

\* \* \*

Niski, okrągły mężczyzna w bogato zdobionych szatach z zaciekawieniem rozglądał się po komnacie. Stojący w narożniku pomieszczenia mosiężny kandelabr dawał mało światła, nie przeszkadzało to jednak podziwiać zawieszonych na ścianach skór dzika, żubra, tura czy wilka. Znajdująca się pod ścianą kompletna zbroja również została zaszczycona dłuższym, pełnym zachwyty spojrzeniem. Wzrok gościa ogarnął wszystkie kąty w poszukiwaniu zaszuszonego wodnika, warkocza rusalki, ogona mantikory i innych rzeczy, które - jak głosiła plotka - znajdują się na zamku Grinberg. Jednakże wszystko wskazywało na to, że albo plotka była przesadzona, albo artefakty te znajdowały się w innym pomieszczeniu.

Mściwój, szambelan na dworze księcia Kraka, pulchną, zdobioną w osiem pierścieni dłońią ujął kielich. Przez chwilę gładził kciukiem zielone szmaragdy i bladofioletowe szafiry, umieszczone na złotym naczyniu, jakby porównując je ze stanowiącymi oczka w jego biżuterii kamieniach. Pół klepsydry zdążyło się przesypać, nim dostojnik raczył wreszcie skosztować trunku. Tłustą, spoconą twarz mężczyzny rozjaśnił uśmiech. Najwidoczniej docenił bukiet wina, dojrzewającego w wapiennych piwnicach zamku Grinberg. Bolko wraz ze swoim sługą cierpliwie czekali.

- Miłościwie nam panujący książę Krak, pan na Wawelskim zamku, raczył



przysłać mnie z nietypową misją do ciebie, cny rycerzu. - Gość najwidoczniej uznał, że dość już milczenia. - Abyś zaś wiedział, w czym rzecz, pismo od księcia racz przeczytać.

Stanko nerwowo poruszył się na drewnianej ławie, zastygł jednak w bezruchu, skarcony spojrzeniem rycerza. Bolko zapytał spokojnym głosem:

- Wszak list mógł, jak to jest w zwyczaju, byle posłaniec przynieść. Co takiego niezwykłego stało się w grodzie Kraka, że sam szambelan fatyguje się w posły?

Mściwój ponownie uniósł kielich, dochodząc do wniosku, że należy odkupić od rycerza kilkanaście gąsiorków wspaniałego napitku. Wnet jednak powrócił do sedna sprawy.

- Szlachetny rycerzu, wieści o zasługach twych w zwalczaniu potworów wszelkiej maści dotarły aż do łaskawych książęcych uszu. Jako że problem niespodziewany nam się objawił, nie lza się dziwić, że po nieudanych próbach wykorzystania miejscowych wojów, do specjalisty książę kazał pismo ślać.

Stanko nie wytrzymał, parsknął śmiechem, wnet jednak go stłumił. Rycerzowi nie wypadało tak otwarcie wyrażać swych uczuć, siłą woli powstrzymał śmiech. Oczywiście, łatwo jest walczyć z monstrami, które istnieją w plotkach i ludzkiej wyobraźni. Wilkołaki okazują się wygłodzonymi wilkami, porwani przez topielice z reguły topili się spadając z grobli, a uprzednio biesiadując w karczmach, groźne wampiry okazały się chorymi na dziwną przypadłość i cierpiącymi ludźmi. O błędnikach czy skrzatach sikających do mleka nie warto nawet było wspominać. Kilka problemów, które pomógł rozwiązać rycerz Bolko, urosło niemalże do rangi legendy.

- Oto pismo od księcia, racz je przeczytać, panie. I jakkolwiek nieprawdopodobnie to zabrzmie, ręczę całym swym honorem, że jest prawdziwe.

Bolko, złamawszy pieczęć Kraka, rozwinął pergamin. Stanko obserwował, jak brwi rycerza unoszą się do góry w zdumieniu, źrenice oczu zwężają się, a kąciki ust drgają,

raz to unosząc się ku górze, raz opadając. W końcu, nie bacząc na urażoną minę szambelana, właściciel zamku Grinberg wybuchnął dźwięcznym śmiechem.

- Czytaj, Stanko! - Podając słudze pismo śmiał się nadal. Rudzielcowi wystarczyło kilka chwil, by przeczytać list. Moment później sługa, głośno rechocząc, dołączył do rycerza.

- Mus nam, panie, do grodu Kraka dalekiego się udać - wychrypiał Stanko, ocierając łzy. - Mus nam dziewice ratować!

Bolko uspokoił oddech, spoważniał, choć srebrzystego koloru oczy nadal zdawały się śmiać. Spojrzał na nastroszonego jak chmura gradowa Mściwoja, po czym poważnym już głosem zapytał:

- A zatem, szambelanie, pod Wawelskim wzgórzem zamieszkał smok?

\* \* \*

Mimo iż jechali ledwie stępem, z gościńca unosiły się tumany kurzu. Okoliczne dąbrowy rozbrzmiewały śpiewem ptaków, raz po razem drogę przecinały jelenie tudzież zające. Słońce stało wysoko w zenicie, było jednak stosunkowo chłodno jak na tę porę roku.

- Płanetnik wyjątkowo nam dziś sprzyja. - Mściwój, wyprzedziwszy karetę i konwojujących ją uzbrojonych w miecze i halabardy kwartę wojów, zdecydował się po długim namyśle dołączyć do Stanka i Bolka. Zwłaszcza, że gród Kraka był już niedaleko, a on chciał porozmawiać.

Bolko obojętnie spojrział na pokryte małymi chmurkami niebo.

- Zaiste, łaskawy dla nas.

Szambelan już otwierał usta, ale rycerz go uprzedził.

- Jak wygląda?

- Kto? - Mściwój spojrział zaskoczony na Bolka.

- Smok. Ktoś go widział?

Szambelan pokiwał głową.

- Powiadają, że brudnoszary, wysoki niby dwa tury, a na cztery długi. Łuską pokryty, skrzydła ma błoniaste i ogniem prawdziwym zieję. Powiadają też, że.

- Kto powiada? - Barwa głosu rycerza nie zmieniła się nawet o jotę.

- No. Toż ludzie mówią.

- Jacy ludzie? Ktoś go widział? Konkretnie? Może wy, szambelanie?

- Ja nie, ale powiadają. - Mściwój głośno przełknął ślinę. - Znaczy. Słyszałem, że ponoć koniuszy opowiadał, że go widział.

- Ponoć? - Rycerz przystanął gwałtownie. - Ponoć? Ciągłe ponoć, powiadają, słyszeli. Zaprawdę, nie trzeba zwalczać potworów, które istnieją jeno w waszych umysłach. Walczyć trzeba z zabobonami i plotkami, z ludźmi którzy pono widzieli i słyszeli, ale nie na własne oczy tylko od innych. Oni tworzą legendy, bajania, właściwie może dla prostego ludu, ale dziwnie brzmiące u osób uważających się za wykształcone.

- Powiesz to prosto w oczy księciu, rycerzu?

- Patrzcie! - krzyknął nagle Stanko.

Spojrzeni. Przed nimi, na rozstaju dróg, stała drewniana rzeźba. Wysoka na kilkanaście łokci, zwieńczona była czterema twarzami spoglądającymi w każdą stronę świata. Mściwój odrzekł spokojnie:

- Toż to jeno Światowid, modły mu odprawmy i ruszajmy dalej.

- Nie o to mi idzie - odrzekł Stanko. - Spójrzcie tu, na trawie.

Nawet z oddalenia było widać, że czarne łebki grzybów nie są rozmieszczone przypadkowo, ale tworzą regularne kręgi. Figur było kilkanaście, mniejszych i większych.

- Czarcie koła - wyszeptał szambelan. - Czarcie koła - powiedział już głośniejszym głosem - nieszczęście zwiastują!

- Znowu zabobony jakoweś - westchnął Bolko.

- Nieprawda, mości rycerzu, tym razem towarzyszą wasz się nie pomylił. -  
Spokojny, basowy głos należał do uzbrojonego w miecz wysokiego mężczyzny z czerwono-białą szachownicą na tarczy. Za nim stało dwóch dzierzących w dłoniach topory towarzyszy, zaś po przeciwnej stronie mierzyła w podróżnych z kuszy para bliźniaczo podobnych rozbójników.

- Iście rację macie, panie - powtórzył zbójca. - Niestety.

\* \* \*

Bolko szybko ogarnął sytuację. Zbójców było pięciu, największe zagrożenie stanowili kusznicy, skutecznie paraliżując poczynania eskorty. Co prawda mieli tylko dwie kusze, jednakże nikomu nie uśmiechało się ginąć. Trzeba było znaleźć inne rozwiązanie.

Kątem oka spojrzał na Stanka, ten jednak zdawał się spoglądać na wszystko obojętnym wzrokiem. Tylko ręce opuścił na wysokość bioder - dobry znak.

- Kim jesteście? - Bolko za wszelką cenę starał się grać na czas.

- Jam ci jest Nemo z Nigdziełandów, a to moi towarzysze - kpiąco uśmiechnął się zbójca. - Żyjemy sobie w okolicznych lasach, karmiąc się tym, co uda nam się upolować. Zaprawdę, bogaty widzę dziś łup nam się trafił.

Bolko zaryzykował, podjechał bliżej napastnika. Spojrzał mu w oczy.

- Jam jest Bolko z Grinbergu, śmieciu. Na rozkaz samego księcia do jego zamku podążam. Nie ucieszy się Krak wiedząc, że zbójcy po jego księstwie krążą, napadając podróżnych.

- Nie ucieszy, niestety - westchnął napastnik. Po czym szybkim ruchem przystawił ostrze miecza do gardła rycerza. - A ty mi, wyobraź sobie braciszku, grozisz!

Bolko, pozornie spoglądając na przywódcę zbójców, zauważył, że kusznicy nieco opuścili swą broń. "O to chodziło. Teraz, Stanko" - pomyślał.

I nagle cofnął konia.

Gardła kuszników trysnęły krwią, dwa błyskawicznie rzucone sztylety momentalnie

wbiły się w krtanie napastników. Jeden upadł natychmiast, drugi, bardziej odruchowo niż świadomie nacisnął spust, jednakże upadając posłał bełt wprost w oko posągu Światowida. Zaskoczony Nemo z Nigdzielandów na chwilę tylko odwrócił wzrok, to jednak wystarczyło. Miecz, wydobyty błyskawicznie przez Bolka, rozplątał mu grdykę. Zbójca zdążył tylko wybełkotać parę słów, po czym padł w środku największego czarciego koła, składając krwawą ofiarę drewnianemu bogowi.

Dwóch pozostałych wpatrywało się z osłupieniem w trupa przywódcy. Długo. Zdecydowanie zbyt długo.

Stanko wpadł jak burza między nich. Szybki cios pałaszem rozciął pierś jednego z napastników. Drugi, poniechawszy ucieczki, padł na kolana. Stanko przystawił mu pałasz do szyi, spoglądając na rycerza Bolka. Pozostały przy życiu zbójca łkał.

- Mściwoju, poniechajcież mnie. Jam cioteczny syn koniuszego, Sławko, pamiętacie mnie? Musicie pamiętać przecie, oni mnie namówili. Przysięgam na bogów. Poniechajcież mnie, panie. - Urywające się słowa przeplatał płacz. W kroczu bandyty powiększała się doskonale widoczna mokra plama.

- Powieś rozbójnika na tym dębie. - Głos Bolka był zimny niby lód. Stanko zsiadł z konia, z juków wyciągnął powróż. Zbójca, widząc to, skowyczał z rozpacz.

- Darujcież mu, cny rycerzu - niespodziewanie wtrącił się Mściwój. - Darujcież, wszak koniuszego znam. A i Sławko parę razy w domu mym zagościł. Ot, pobłądził chłopak. Parę batów na goły tyłek może naprowadzi go na dobrą drogę.

- Ha, skoro to koniuszego bratanek, to insza rozmowa. Nie obwiesimy go, niczym zbója. - Bolko nieznacznie skinął głową.

Stanko odłożył do juków powróż. Stał przed szlochającym Sławkiem, w zadumie kiwając głową. Poklepał jowialnie młodzieńca po ramieniu.

- Bo widzisz, cycuś - rzekł poważnym głosem - pan mój nie cierpi zbójectwa. I nie cierpi kumoterstwa. Dla ciebie jednak się ugiął. Zamiast być obwieszony, jak pospolity

zbójca, zamiast cierpieć na sznurze, poznasz miłosierdzie Bolka z Grinbergu.

Sławko z niedowierzaniem spojrział na Stanka. Jego pryszczata twarz mokra była od łez. Mściwój z uśmiechem na twarzy kiwał głową.

- Pan mój, nieskończenie łaskaw, postanowił nie zadawać ci bólu - Sławko kontynuował. - Dlatego umrzesz szybko.

Pałasz, który nie wiadomo skąd pojawił się w rękach Stanka, niemal odrąbał głowę zbójcy.

Zaskoczony Mściwój spojrział wprost w oczy Bolka. Długo mierzyli się wzrokiem. Szambelan ustąpił, spojrział na gościniec i cichym głosem rzekł:

- Jedziemy.

\* \* \*

Dębowy, okrągły stół miał średnicę kilkunastu łokci. Przy każdym gościu stał kielich pełen zamorskiego wina, rozsiewała kuszący zapach dziczyzna, piętrzyły się przepiórki, kuropatwy, wszelkiego rodzaju owoce. Dookoła stołu siedziało kilka osób. Na obitym zamorskim jedwabiem stolcu zasiadał sam książę Krak. Wysoki, wyższy o głowę od Bolka, znacznie był jednak szczuplejszy. Jego końska twarz i radykalne poglądy były przyczyną wielu anegdot, krążących po dworze. Tym razem jednak nikomu nie było do śmiechu.

- Mości książę. - Rycerz Bolko spoglądał na poważną twarz księcia. - W liście swym napisałeś, że smok nawiedził twe włości, zamieszkując bezczelnie pod zamkiem, na każdą pełnię księżycy siedem dziewic wołając. Prawda to?

- Prawda, rycerzu. Moi woje nie mogli sobie z bestią poradzić, dlatego ośmieliłem się prosić cię o pomoc. Zwłaszcza, że.

- Że co? - Bolko nie zwrócił uwagi na zaskoczone spojrzenia zaufanych dworzan, zdumionych faktem, że ktoś ośmielił się przerwać księciu.

- Co miesiąc, dwa tygodnie przed pełnią, losujemy dziewice, mające stanowić łup smoka. Nikt, żadna z dziewcząt, nie jest wyłączona z loterii. - Książę chwycił w dłoń kielich, wypił duszkiem. Natychmiast podbiegła do niego służąca, dolewając napitku.

“Tak, ta niewątpliwie jest bezpieczna przed losowaniem” - Stanko okiem fachowca ocenił smukłą sylwetkę, długie, co prawda ukryte pod suknią, nogi, kształtny biust i

tajemniczą, zamorską urodę dziewczyny.

- Jak się domyślam, tym razem wylosowano twoją córkę? - Bolko nie raz już spoglądał w stronę siedzącej obok księcia młódki. Choć nosiła się wbrew obyczajom krótko, nie tylko nie zaszkodziło to jej wizerunkowi, ale wręcz podkreślało urodę. Przez cały czas biesiady nie uśmiechnęła się jednak ani razu, kilkakrotnie tylko delikatnym skinieniem głowy odpowiadając na spojrzenie księcia.

- Prawda. - Książę ponownie wychylił cały kielich, jego ręka drżała.

- Kto widział smoka? - Bolko ujął czarękę w rękę. Bez trudu zauważył znaczącą wymianę spojrzeń między dwoma osobami. Nie do pogardzenia był fakt, że nikt nie kwapił się z odpowiedzią.

- Panie koniuszy? - Rycerz wymownie spojrzał w stronę chudego, posiwiałego już czterdziestolatka. Twarz mężczyzny przypominała wiecznie wężącą ryjówkę.

- Owszem, słyszałem o smoku, ale daleki jestem od stwierdzenia, jakobym go widział. Jednakże bestia ogniem zionie, sam widziałem, jak płomień osmalił księcia Bolesława z Gopła. Chwała, że uciec zdołał.

- Panowie? - Bolko spojrzał na przybyłych.

Cisza. Niepewne spojrzenia na siebie.

Kolejne pytanie uprzedził Stanko, mimo ostrzegawczych spojrzeń rycerza. Wstając gwałtownie, krzyknął:

- A jakim cudem dogadaliście się ze smokiem, co?

Drgnął koniuszy. Westchnął szambelan. Uśmiechnęła się nieznacznie Kunegunda, córka Kraka. Sam książę zaś, z namysłem spoglądając na Stanka, odrzekł:

- Dziwny to obyczaj, sługa zabierający głos bez pytania. Zaprawdę, Bolko, wybatożyć by śmiałka dostateczną byłoby karą. - Spojrzał na rycerza, który z kolei zgromił wzrokiem sługę. - Ale odpowiem, odpowiem na to pytanie. Na początku próbowaliśmy różnych ofiar, a to chłystków z pola, baby stare, młodzieńców albo i

dzieci. Wszyscy wracali, smok zaś ogniem zionął coraz okrutniej. Aż w końcu dziewica, między ofiarami się znajdująca, nie wróciła, natomiast na dni cztery spokój zastał. Tedy na próbkę trzy mu podsunęliśmy i uwierzysz - niemal dwa tygodnie spokoju było. Od tej pory, kiedy miesiąc w pełni, siedem dziewic, uczciwie wylosowanych, do smoczej jamy się udaje. I do następnej pełni mamy spokój. Teraz jednak los padł na moją Kunegundę. I zapłacę wiele, rycerzu, za bestii ucieczkę.

Zapadła cisza, wnet jednak przez koniuszego przerwana:

- I nocą jęki słyhać dusz potępionych, i skowyt. Spać nie można czasem.
- Zajmę się tym, mości książę - Bolko uśmiechnął się.
- Masz już jakiś pomysł? - Krak spojrział na rycerza.
- Lepiej. - Bolko z Grinbergu spojrział po kolei na każdego z obecnych. Po czym

zjadliwym głosem oznajmił:

- Mam już nawet podejrzanych.

\* \* \*

Stanko pracowicie czyścił kaftan swojego pana. Raz po raz spoglądał na zamyśloną twarz rycerza. Bolko, spoglądając w okno zapytał:

- Zauważyłeś coś? Poza zgrabnym tyłeczkiem Kunegundy, który bez przerwy podziwiałeś?
- Zauważyłem, panie - uśmiechnął się Stanko. Bardzo rzadko zdarzało się, aby stosunki między rycerzem a sługą były tak bardzo familiarne. - Niewątpliwie koniuszy coś wie, także szambelan zdaje się podejrzany.
- Koniuszy, mówisz. - Rycerz spojrział na rudzielca. - Więc to twoje zadanie na dziś. Skumać się, pogadać, wyjaśnić to i owo.
- Się zrobi, budżet jeno bym potrzebował - Stanko wymownie spojrział w stronę Bolka. Wszak wiadomo, jak coś wyciągnąć, bez kufła marcowego piwa się nie obejdzie. Zręcznie zatem złapał sakiewkę, rzuconą przez rycerza, po czym żartobliwie przyłożył dwa palce do czoła, mówiąc:



- Sługa jegomości do zadań specjalnych odmeldowuje się.

Kiedy drzwi się zamknęły, Bolko z Grinbergu założył kaftan, lniane spodnie i żółte, miękkie ciżmy. Opuścił zamek, postanawiając rozejrzeć się po okolicy.

Przez cały dzień wędrował po grodzie Kraka, rozmyślając. Czasami rzucił denara żebrakowi, kupił bajgla od przekupki, zapominając o problemie obserwował oferujących usługi rzemieślnicze mieszczan, głośno nawołujących do siebie. "Czas na mnie" - zdecydował pod wieczór. Stanko na pewno coś już wywęszył.

Zakole Wisły śmierdziało. Wędrował gruntową ścieżką, po lewej stronie mając dumnie stojący na wzgórzu zamek, po prawej rzekę. Przedzierał się przez chaszczę, raz po raz rozcinając krzewy mieczem. Po niedługim czasie jego oczom ukazało się wejście do pieczary. Pomiędzy jamą a Wisłą znajdował się piaszczysty pas, jednak nie widać było na nim śladów potwora. Tu i ówdzie leżały szkielety tudzież fragmenty zbroi, obok niego szczyrzyła zęby końska czaszka. Widać było, że nie on pierwszy postanowił się zmierzyć z bestią. Miał szczerą ochotę się wycofać, postanowił jednak choć zajrzeć do groty.

Powoli, najciszej jak się da, podszedł pod otwór. Ostrożnie wychylił głowę. Wydawało mu się, że słyszy jakieś szepty, spadające kamyki, ale uznał to za złudzenie. Podniósł się nieco wyżej. Kamień, na którym oparł nogę, z hukiem stoczył się parę metrów niżej. Rycerz zaklął, z niedowierzaniem spoglądając na pędzący ku niemu ognisty podmuch. Silne uderzenie w czaszkę pozbawiło go przytomności.

\* \* \*

Ból był straszliwy. Przenikał mózg, świszczwał w uszach, pulsował w skroniach. Zamazane sylwetki pochylały się nad nim, bełkocząc coś niezrozumiale, chwiejąc się i rozpływając. Zamknął oczy, czując, jak ktoś wlewa w jego gardło ognisty płyn. Poczuł, jak drzenie całego ciała uspokaja się, szalejące chochliki opuszczają jego mózg a on sam odzyskuje świadomość. Jednak po chwili stwierdził, że chyba znowu odpływa. Głos, wyróżniający się z innych, zdawał się należeć do Stanka.

- Panie, wszystko w porządku? - Tak, to niewątpliwie był Stanko. Tylko co on tu robił? "I gdzie ja jestem?" - pomyślał Bolko. Wnet jednak, otrzeźwiawszy nieco, zrozumiał.

Pieczara była całkiem niezłe urządzona. Stoły uginały się wręcz od napitków i jedzenia. Niewielu jednak w chwili obecnej jadło, większość rozneglizowanych mężczyzn i kobiet zajmowało się konsumpcją zupełnie innego rodzaju. Nie przerwali pojękiwań nawet w obliczu pojawienia się niespodziewanego gościa.

- Panie - Stanko lekko poklepał rycerza po twarzy. Bolko wstał, zawroty głowy niemalże ustąpiły.

- Co tu się dzieje? - Podejrzenia Bolka nawet w jednej czwartej nie oddawały widoku, który ukazał się jego oczom.

- To, panie. Eeee.

- To jest właśnie smok - dobrze znany głos potwierdził przypuszczenia rycerza. Większość par i trójkąćów przerwała zabawę, jedynie szambelan sapał głośno, ujeżdżany przez pulchną dwórkę.

Bolko odwrócił się, spoglądając na zadyszanego Mściwoja zapytał koniuszego:

- Pojękiwania dusz potępionych, tak? A smoczy ogień, to zapewne miech i pochodnia?

- Zaiste, choć zamysł nieco bardziej udoskonalony - bez zmrużenia oka dodał koniuszy.

- Pomysłowe, przyznaję. - Bolko pokiwał głową. - A to zapewne te dziewice?

Koniuszy zarechotał, wyszczerzone łasicowate zęby sprawiały upiorne wrażenie.

- Niezupełnie dziewice, ale to już wina księcia - widząc uniesione w górę brwi rycerza, kontynuował. - Książę nasz jest dobry, szlachetny i tak dalej. Ale jednocześnie cholernie konserwatywny. Jeśli wychędożę nieoficjalnie jakąś dwórkę, grozi mi loch.

Gdzie tu sprawiedliwość? No i jest jeszcze druga sprawa. - Spojrzał figlarnie na rycerza. - Co ma robić chętna dwórka, jeśli ma ochotę być wychędożona?

Bolko nie odpowiedział, spoglądając w milczeniu na koniuszego.

- Jednym słowem, mamy chętnie niewiasty i mamy chętnych młodzieńców. Mamy złoto, za które możemy sobie umościć wygodne gniazdko. Komu to przeszkadza?

- Chętnie niewiasty?

- Lista jest gotowa już na rok naprzód - koniuszy wzruszył ramionami. - A to żona chce się rozwieść, a to młódka zakosztować rozkoszy. Rygorystyczne zakazy księcia stawiają je w sytuacji jednoznacznej - a my dajemy im wybór.

- A jakież to wybór? - Bolko założył ręce na piersi.

- Prosty - miesiąc z nami, a potem wyprawiamy je daleko stąd. Na tyle daleko - koniuszy, widząc podniesione brwi księcia, odpowiedział od razu - by nie wróciły. Zresztą, nie mają po co wracać.

- Rozumiem. - Gwałtownie wyciągnięty z pochwy miecz znalazł się na wysokości grdyki koniuszego. - Ale zachciało ci się córki Kraka, a tego wybaczyć ci nie mogę.

Ku zdziwieniu Bolka, koniuszy nie przestraszył się. Wręcz przeciwnie, bezczelnie spojrzał w oczy rycerza.

- Nie znasz, o panie, natury kobiecej. Tylko u mężczyzn rozum w głowie przez cały rok, u białogłów przychodzi taki czas, że macica rządzić zaczyna. To nie mi się zachciało, tylko jej. Sama poprosiła, bym ją na listę wciągnął.

- Łżesz! - krzyk Bolka zadudnił w całej pieczarze. - Zachciało ci się miodu z książęcego stołu, zachciało ci się panny niewinnej, a teraz tłumaczysz się by śmierci uniknąć!

- Nie łże - Stanko opuścił głowę. - Nie łże, panie...

- I ciebie zwerbowali? - Bolko spojrzał z wściekłością na sługę. - Uwierzyłeś im?

- Nie im - Kunegunda stała kilka metrów wyżej, opierając się o drewnianą barierę.

- Uwierzył mi.

\* \* \*

- Smok musi zginąć - Bolko, zaplótłszy ręce na piersi, spoglądał na zgromadzonych. - Smok musi zginąć, a księżniczka zostać ocalona.

- Kurwa, jak w bajce - szepnął Stanko.

- Mam nadzieję, że to rozumiecie. Jedyne rozwiązanie, to znaleźć wiarygodne rozwiązanie.

Księżniczka Kunegunda siedziała spokojnie na odwróconym pniaku. Zdawało się, że problem jej nie dotyczył, czemu jednak przeczyły spojrzenia, rzucane przez nią w stronę Bolka. Ten jednak zdawał się ich nie zauważać.

- Ktoś ma jakieś pomysły?

- Ja. - Koniuszy podniósł się z miejsca, spoglądając niedwuznacznie na Stanka.

- Jeżeli smok musi zniknąć, to zniknie. Ale wymaga to pomocy twojego sługi, panie.

- Mojej? - zdziwił się rudzielec.

- Twojej - spokojnie odrzekł koniuszy. - Oto plan.

Narada trwała kwadrans. Wszyscy byli zachwyceni rozwiązaniem, choć zdawali sobie sprawę, że to koniec swawolnych uciech. Stanko obiecał wcielić się w rolę, Bolko milcząco przytakiwał. I jemu ten plan się podobał.

- A co na to księżniczka? - zapytał nagle szambelan

Wszyscy obejrżeli się. Kunegundy nie było.

\* \* \*

- A zatem bestia ubita? - Krak siedział na swym tronie, otoczony dworzanami.

Sala tronowa pękała w szwach, wszyscy chcieli zobaczyć pogromcę smoka. Na środku, otoczony wianuszkiem ciekawskich, stał Bolko z Grinbergu wraz ze swym wiernym sługą.

- Ubita na amen - Bolko spoglądał wprost w oczy księcia. - Nikt już nie naruszy honoru tutejszych dziewic, nikt nie zagrozi czci szlachetnej księżniczki Kunegundy.

- A gdzie dowód? - Krak zmrużył oczy. - Gdzie ciało, łeb czy choćby pazur czy łuska bestii? Mamże-li na słowo ci jedynie wierzyć?

Bolko stanowczym ruchem pchnął sługę, tenże padł do nóg książęcego tronu.

- To. to. to moja wina, panie. - Stanko nerwowo trząsł się i ślinił. - Wybacz, książę, ale pomysł miałem, coby bestii głodnej barana podrzucić. Napchałem go siarką, fasolą i kapustą. Siarką, coby pragnienie wzbudzić, fasolą i kapustą zaś, bo to wiecie, książę.

Książę skinął głową, że doskonale wie.

- No i bestia skusiła się na owieczkę, nieledwie klepsydra piach przesypała, a potwór skowycząc do Wisły podszedł, pijąc i pijąc, a jednocześnie gazy okrutne puszczając. Powiadam, trzech z nas ze smrodu zemdłało. Tymczasem smok pił i pił, aż. pękł.

- Gratuluję pomysłu - Krak pokiwał głową. Bolko odetchnął z ulgą, kiedy nagle książę zapytał gwałtownie: - A co z ciałem?

Stanko, nie podnosząc głowy, odrzekł szybko:

- Śmierdziało, panie. Do Wisły ścierwo wrzuciliśmy. Wybaczenia proszę.

Krak długo się nie odzywał. W końcu spojrzął na Bolka z zadumą, mówiąc:

- Zadanie wykonane, rycerzu. Iście, nagroda wam się należy.

Stanko, nie wstając z kolan, podniósł obficie wypełnioną sakiewkę. Z radością spojrzął na swego pana. Ten stał, spoglądając na księcia, aż w końcu odrzekł:

- Nie moja to zasługa, tym niemniej dziękuję. Cieszę się, że szlachetną Kunegundę od smoczycich kłów ocaliłem. A teraz pozwolisz książę, że się oddalę.

\* \* \*

Dogoniła ich dwa stajania za Cracovią. Na białej, wysmukłej klaczy sprawiała wrażenie boginki, mającej niewinnych do grzechu. Udawała, że nie widzi lubieżnego spojrzenia Stanka.

- Powinniśmy porozmawiać, Bolko.

Nie odpowiedział. Przyspieszył bieg konia, na tyle jednak nieznacznie, by mogła go dogonić.

- Czemu się dziwisz? - zapytała. - Czyż córka księcia nie ma prawa do swojego życia?

- Ma, jak najbardziej - odparł. - I nie dziw się, że.

Nie dokończył.

- Nie dziwię się. Tylko proszę, nie oceniaj mnie po pozorach. - Biała klaczka podjechała pod ogiera rycerza. Noga księżniczki niby przypadkowo otarła się o kolano Bolka. Odsunął się.

- Masz już swoją panią?

- Mam. - Bolko szarpnął lejce, czarny jak noc ogier przeskoczył rów, zostawiając towarzyszkę kilka metrów dalej.

- A zatem - klacz Kunegundy zgrabnie przeskoczyła rów - mam prośbę. Zabierz ten bukiet białych lilii dla niej.

Odwróciła się, po czym odjechała. Bolko długo spoglądał w stronę oddalającej się sylwetki, ściskając pęk białych kwiatów.

- Mus nam wracać, panie. - Stanko zdecydował się podjechać.

- Mus, Stanko.

Odjechali na północ, na Grinberg. Stanko starał się nie zauważać, kiedy wzrok rycerza zwracał się ku zamkowi Kraka, a jego dłonie nerwowo ściskały pęk białych lilii.

\* \* \*

Mrok.

Luna swą pełną, srebrzystą tarczą oświetla malutki zagajnik. Niewielka polanka pośrodku, zalana światłem milczy. Posąg Światowida wznosi się dziękczynnie ku niebu. Wydawać by się mogło, że nikt tu przebywa.

Czyżby?

Jak co wieczór ciemna sylwetka wynurza się z lasu, zakłócając równowagę Gai. Zamierają w milczeniu wilki, uciekając zdumione ku swym siedzibom. Milczy puszczyk, zaskoczony wizytą świętokradcy. Znów ktoś narusza nasze królestwo?

Postać klęka, drżącymi rękoma odgarniając trawę z granitowego kurhanu. Nie zważa na fakt, iż niebo zasnuwane jest ciężkimi chmurami. Nie reaguje, kiedy niebo przeszywa jaskrawobiała błyskawica. Drewniana rzeźba, Światowid, w świetle gromu złowrogo spogląda na przybysza. Na kamiennym grobie mężczyzna kładzie pęk białych lilii. Nie, nie modli się, słycać tylko szloch.

“T o dla ciebie . to dla ciebie . Jagienko .”

## Zapłata

### *O księciu z bajki historia prawdziwa*

Dawno, dawno temu, za siedmioma górami, za siedmioma lasami, było sobie małe królestwo. Król Marat nim rządził, a że dobrym i sprawiedliwym był władcą, ludzie w tej krainie beztrosko i szczęśliwie sobie żyli. Pola i winnice dawały bogate plony, jeziora obficie zarybione były, a w lasach nie brakowało zwierzyny. Gwoli zaś uciechy, raz w tygodniu na dziedzińcu zamkowym jarmark król kazał urządzać.

Ale oto dnia pewnego nieszczęście wielkie nadciągnęło. Smok straszliwy, który z krain wschodnich nadleciał, w jaskini niedaleko zamku zamieszkał. Straszliwa to była bestia, na trzech chłopa wysoka, a od ogona do pyska niczym dziesięć koni długa. Ciało jej pokrywały brązowe łuski, a z paszczy płomienie gorące buchały. Skrzydła dwa błoniaste na grzbiecie miała, ogon długi i pysk straszliwy. Najgorsze zaś było to, że co tydzień siedem dziewic pożerała, w razie odmowy zniszczeniem królestwa grożąc.

Tygodni ledwie kilka minęło, kiedy szambelan u stóp tronu uklękawszy nieskładnie wydukał zdań kilka, że dziewic w królestwie ubywa, że choć moce przerobowe uruchomione maksymalnie, to zapotrzebowanie duże a okres dojrzewania długi. I że jedyną szansą na ocalenie królestwa jest zabicie złej bestii. Problem jeno w tym, że ponieważ o wojnach wszelakich już dawno zapomniano, nie ma komu wojować, sposób zatem jakiś należałoby wymyślić.

Ruszyli tedy gońce, po rozstajach dróg zarządzenia królewskie rozwieszając, że kto smoka ubije, pół królestwa i rękę królowy dostanie. A że królowa nadzwyczaj urodziwa była, nic dziwnego, że wielu chętnych na walkę ze smokiem podążyło.

Poszedł więc szewc Niteczka, z racji zamiłowania do bigosu Pierdzistołkiem zwany, który smołę i siarkę w skórę baranią zaszył. Z kronikach rodzinnych dowiedział się bowiem, że prapradziadek jego w dalekim Lechistanie tymże sposobem potwora ubił. Ruszył mag nadworny Goglevitz, w księgach tajemnych wyczytawszy,



że gdy bestia w zwierciadło spojrzy, na widok odbicia swego umrze. Nawet pleban nadworny Maślaczek, zwiedziony urodą królowy, na śluby zakonne nie zważając wziął wodę święconą oraz kropidło i na spotkanie ze smokiem ruszył.

Ale nikt z nich nie powrócił.

Zafrasował się dobry król. Wiedział bowiem, że nadejdzie czas, gdy i córka jego ku pieczarze smoczej ruszyć będzie musiała. Ale cóż było robić? Czekać jeno z nadzieją.

Lecz oto kiedy siedział tak i dumał, drzwi komnaty otworzyły się gwałtownie i goniec wbiegł z okrzykiem, że bestia zgładzona! Że rycerz w srebrnej zbroi, z dalekich krain przybyły, smoka ubił i do zamku bieży, by o zachodzie słońca głowę smoczą u stóp króla złożyć i o rękę królowy prosić.

Radość zapanowała na dworze. Król uczcę wielką w komnatach dla wielmożów zorganizować ogłosił, na dziedzińcu zaś sto wołów dla mniej szlachetnie urodzonych upiec na ogniu kazał. Kto żyw, usłyszawszy wiadomości, ku zamkowi czym prędzej biegał. Pragnął bowiem każdy zobaczyć tajemniczego wybawcę.

I oto gdy słońce kłoniło się ku zachodowi, zebrali się dworzanie w sali tronowej. Po prawej stronie stanęli książęta i kawalerowie dworscy, przystrojeni w najdostojniejsze szaty. Księżniczki, damy dworu i służki zamkowe, stanęły po lewej stronie komnaty. Pośrodku zaś dywan szkarłatny leżał, drogę ku tronowi wskazując.

Nagle drzwi boczne się otworzyły i król Marat dumnie na salę wkroczył. Przy boku zaś jego, niczym najpiękniejszy klejnot koronny, kroczyła śliczna Kunegunda. Cisza nagle na sali zapanowała, rzekłbyś pomarli wszyscy, albo w słup soli się zamienili z wrażenia. Król bowiem szatę dostojną, z czerwonego atłasu podbitego gronostajem wykonaną, założył. Królowa zaś, choć jeno w skromną błękitną suknię była odziana, a na głowie diademik ze szmaragdem nosiła, piękna była niczym bogini. Nic tedy dziwnego, że cała prawa strona sali spoglądała ku tronowi z zachwytem, lewa zaś z zazdrością.

Wtem zagrały trąby, a herold przy drzwiach stojący donośnym głosem obwieścił:

- Królu, księżniczko, dworzanie - sir Gregor z Urs!

Otworzyły się drzwi i przy dźwiękach fanfar wszedł rycerz w srebrną zbroję odziany. Przy boku mieczyk zgrabny miał przytroczony, a na piersi lwa złotego nosił. Przystojny był niemożebnie. Długie blond włosy spływały mu na ramiona, twarz zaś miał niczym cherubin. Nie więcej niż ćwierć wieku mógł liczyć. Nic więc dziwnego, że z kolei lewa strona sali obrzuciła gościa pożądlivymi spojrzeniami, prawa zaś malowidła na suficie podziwiać zaczęła.

W ciszy, która nagle zapanowała, rozległ się drżący głos króla:

- Azaliż bestia ubita, cny rycerzu?

Rycerz w milczeniu podniósł rękę. dwaj giermkowie, dotychczas za nim się chowający, skrzynię wielką przed tronem postawili. Następnie wieko otwarli i nie bez trudu łeb maskary straszliwej u stóp króla złożyli.

Groza wielka ogarnęła zebranych, bestia bowiem nadzwyczaj ohydna była. Oczy miała żółte niczym piaski pustyni, pysk długi a kły na dwie długości dłoni wielkie. Śmierdziała też okrutnie, czego jednak nikt w podnieceniu nawet nie zauważył.

I kiedy wszyscy smoczemu łbu się dziwowali, rycerz głosem donośnym i dźwięcznym niczym serce dzwonu oznajmił:

- Królu, księżniczko, dworzanie! Niechże ja, Gregor z Urs, złożę u stóp waszych dowód wierności i oddania Jego Wysokości. Oto łeb potwora, krainę waszą ciemnącego. Nigdy już ta bestia na życie poddanych twoich nastawać nie będzie! Nic już nie naruszy honoru szlchetnych dziewic!

Król Marat, powstawszy z tronu, poczekał cierpliwie aż ustaną chichoty i szepty, po czym odrzekł:

- Cny rycerzu! W imieniu naszym i poddanych, serdecznie dziękuję ci za wybawienie naszego małego królestwa od potwora. Zaprawdę, wielkim i szlchetnym

jesteś rycerzem. Odtąd imię twoje wielkimi złotymi literami w kronikach pisane będzie.

Król, spojrzawszy na córkę swoją, która skromnie oczęta spuściła, kontynuował:

- Szlachetny rycerzu! Na rozstajach dróg rozkaz mój kazałem ogłaszać, że kto gadzinę ubije, królestwa pół otrzyma, a córkę moją, Kunegundę, za żonę pojmie. Chcę zatem zapytać cię, o panie, czy pragniesz ręki mojej córki?

Podniosła oczy piękna Kunegunda, a spojrzenie jej wyrażało wszelkie te myśli, jakie młoda kobieta na widok tak przystojnego mężczyzny mieć może. Z niecierpliwością oczekiwała na odpowiedź księcia, i miała nadzieję, wielką nadzieję, że rycerz powie.

- Tak, najjaśniejszy panie!

Wrzawa podniosła się okrutna i wkrótce gromkie “Wiwat młoda para” jeno usłyszeć było można. W górę leciały woalki, kapelusze, rękawiczki jedwabne, nawet podwiązki gdzieśgdzie zauważyć było można. Wnet jednak sir Gregor, poczekawszy aż nieco się uspokoi, gromkim głosem powiedział:

- Szlachetny królu! O jednym jeszcze muszę powiedzieć. Z dalekich krain pochodzę, a tam, gdzie mieszkam, zwyczajem jest, że oblubieniec przedstawić rodzicom musi swą wybrankę. Pragnę zatem zabrać księżniczkę Kunegundę w podróż w rodzinne strony moje, a zapewniam cię, o Panie, że nim trzy razy księżyc pełną twarz ukaże, wrócimy tu i przed bogami na śmierć i życie miłość i wierność sobie obiecamy. Na honor zaś swój przysięgam, że czci i godności księżniczki przez ten czas nie uchybię! Czy zgadzasz się, o Panie?

Zamyślił się dobry król, lecz kiedy spojrzał na córkę, w jej spojrzeniu odpowiedź wyczytał. I choć niezbyt szczęśliwy z tego powodu był, to jednak cóż robić miał? Kiedy zaś wyraził swą zgodę, radosnym okrzykiem zdawało się nie być końca. Księżniczka, szczęśliwa ponad wszystko, w twarz sir Gregora wpatrzona jak w

obrazek była, a głowie tylko jedna myśl kołatała: "Mój księżę, mój księżę z bajki".

\* \* \*

W namiocie śmierdziało końskim potem. Połowę powierzchni zajmował duży, dębowy stół. Siedzący przy nim człowiek z trudem powstrzymywał odruch obrzydzenia. Przymrużył oczy, z obojętnością obserwując poczynania właściciela namiotu.

Tłusty, brudny Arab w burnusie na głowie z wyraźnym pożądaniem przyglądał się przywiązanej do pala kobiecie. Okiem konesera oceniał zgrabne piersi, smukłe, długie nogi i kształtny tyłeczek. Przeciągnął ręką po twarzy dziewczyny i zacmokał z wrażenia, zachwycony gładkością jej skóry. Nie zwracał uwagi na siniaki pod oczami i zadrapania, wiedział bowiem, że już za parę dni znikną, a wówczas ujrzy nowy nabytek w pełnej krasie.

- Prawdziwa księżniczka, mówisz. Nie spodziewałem się, szczerze mówiąc, że ci się uda.

Sir Gregor uśmiechnął się lekko.

- To nie było takie trudne, ekscelencjo.

Arab, posapując i pocąc się niemiłosiernie, usiadł naprzeciwko rycerza. Wzrok jego co rusz biegł jednak ku uwięzionej dziewczynie.

- Skąd pochodzi? - zapytał.

- Małe, zapyziałe królestwo, miesiąc spokojnej jazdy stąd. Kupa nieszkodliwych prostaczków i naiwny król. No i ta gaska. - Pożałował ostatniego zdania, obserwując jak strużka śliny toczy się z kącików ust Araba.

- Prawdziwa księżniczka w moim skromnym haremie. Cóż za zaszczyt to dla mnie - zarechotał gospodarz. - Jakiej to nagrody oczekujesz?

- Sam fakt, że ekscelencja raczy udzielać mi azylu, jest dla mnie wystarczającą nagrodą - odrzekł rycerz. - Wiadomo ci zapewne, Panie, że naraziłem się wielu osobom. Mając możliwość bezpiecznego pobytu w twoim kraju, ofiarować mogę

ekscelencji swe usługi.

- Powiedział wielki prorok nasz, Mahomet - "Kiedy przyjdzie gość do domu twojego, ugość go, a znajdziesz łaskę w oczach Allaha" - Arab niedbale machnął dłonią. - Ty słyszysz mnie, ja zaszczytam cię swoją opieką. Tym razem postarałem się szczególnie, pozwól więc, że i ja przekażę ci prezent.

Gospodarz klasnął dwa razy w dłonie. Jeden z pachołków odsunął płachtę namiotu, dwóch pozostałych wniosło przykryty derką średniej wielkości pakunek. W milczeniu postawili go przy stole, po czym opuścili namiot.

- Oto moja zapłata za księżniczkę - Arab jednym ruchem ściągnął derkę z paczki.

Sir Gregor przełknął głośno ślinę. Pod przykryciem znajdowała się klatka, a w niej nagroda. Choć rycerz powstrzymywał się jak mógł, nie potrafił ukryć lubieżnego spojrzenia. Wiedział, że przed nim co najmniej miesiąc cieszenia się prezentem. Dostał to, co kochał najbardziej.

Śniady, ciemnowłosy chłopczyk miał najwyżej siedem lat.

## **Dżin**

Przebudzenie było potworne. W głowie przelatywały bataliony helikopterów, warkot rotora bezustannie zbliżał się i oddalał. Ręce trzęsły się niczym galareta, wzrok wędrował między sufitem a podłogą nie mogąc zatrzymać się na jednym konkretnym obiekcie. Opuchnięty język z trudem odrywał się od podniebienia. W gardle miałem chyba dwa małe, bezustannie kopulujące języki. Wody, kurrr.

- Zlituj się, nie tup tak. - rzuciłem do przechodzącego obok Mruczka, ulubionego kota mojej żony. Tenże spojrzał na mnie z niemym wyrzutem w zielonych oczach, po czym przeniósł wzrok na stertę puszek leżącą obok łóżka. "Może i masz rację, ale jestem pewien, że nic się nie ostało" - pomyślałem. Nie, znałem moich kolegów na tyle, że wiedziałem, że szanse znalezienia pełnej puszeki złocistego napoju są równe szansie złapania pojedynczego neutrina w akwarium. Czyli żadne.

"Szlag by to trafił." - gdyby żona wiedziała, jak się bawi mąż kiedy ona spędza

weekend u swojej mamusi. Wystarczył jeden telefon, że w sobotę mam wolną chatę, a już zaroilo się od znajomych. Zgodnie przyjęliśmy, że impreza będzie niskoalkoholowa. Jak zawsze miało być mało, cicho i kulturalnie. I jak zawsze, skończyło się dokładnie przeciwnie.

Po kilku minutach podjąłem desperacką próbę ustawienia ciała w pozycji siedzącej. Wysiłek godny zdobywców Mount Everestu zakończył się sukcesem już za trzecim razem. Ustawiłem zbieżność wzroku oceniając szkody. Nie wydawały się duże - po podłodze nie wałało się szkło, rybkom w akwarium nie towarzyszyły pływające pety, żadnych pawi też nie zauważyłem. Sprzątanie zostawiłem na wieczór, kiedy organizm trochę się zregeneruje.

Poczułem, że muszę przebyć trasę maratonu pokój - łazienka. Zadanie wydawało się trudne, jednak skoro udało mi się usiąść byłem pewien, że do łazienki też jakoś dotrę. Poruszałem się kroczeniem po kroczeniu na drżących nogach, korzystając z chłodnej uprzejmości ścian. Po dotarciu na miejsce z ulgą stwierdziłem, że również i to pomieszczenie zachowane jest w jakim takim porządku.

Strumień zimnej wody - przelatując przez gardło - zatopił w końcu drażniące mnie niemiłosiernie jeże. Z rozkoszą piłem, piłem, piłem. A potem nabrałem zimnej wody w dłonie i zanurzyłem w niej twarz. O Jezus. Co za ulga.

Podniosłem głowę spoglądając w lustro nad umywalką. Typ z naprzeciwka miał czerwoną, opuchniętą twarz, przekrwione oczy a pod nimi siwe, pomarszczone worki. Dwudniowy zarost i przetłuszczone włosy dopełniały obrazu nędzy i rozpacz. Brakowało tylko napisu nad lustrem - "Poszukiwany - żywy lub martwy". Zaręczam, że takiej gęby nikt by nie zapomniał.

Poczułem się znacznie lepiej, daleko jednak było mi do stanu zwanego normalnością. Postanowiłem wrócić do pokoju i położyć się spać. Z reguły pomagało. Wyszepawszy więc po raz kolejny magiczną formułę "nigdy, kurwa, więcej"

wszedłem do pokoju.

W sumie przed snem dobrze byłoby coś zażyć. Ot tak, żeby to przeklęte telepanie ustało. Lekarstwo znajdowało się w barku, o którego istnieniu na szczęście moi goście nie wiedzieli. Na butelce przezroczystego płynu napisane było dużymi, czarnymi literami - "Gin". Odkręciłem nakrętkę i pociągnąłem solidny, długi łyk prosto z gwinta.

Delirka, cholera, nic innego tylko delirka. No bo jak wytłumaczyć fakt, że na moim łóżku siedział ubrany w szary garnitur i zielony krawat łysawy facet w okularkach. Na kolanach trzymał czarną, skórzaną teczkę. Wyglądał na wiecznie zabieganego urzędniczynę, taką pacynkę do wykorzystywania przez wszystkich prezesów, dyrektorów czy kierowników. Co nie zmieniało faktu, że moje łóżko to ostatnie miejsce w którym kogoś takiego mogłem spotkać.

Szare komórki w mym mózgu toczyły zacięte boje między sobą, syjąc dookoła elektrycznymi impulsami starały się ustalić, co to za gość i skąd się wziął. Nie mogłem sobie bowiem przypomnieć, by ktoś taki znajdował się na wczorajszej popijawie, a fragment kiedy wszyscy opuszczali mieszkanie pamiętałem jeszcze dość dobrze. Moi sąsiedzi zresztą zapewne też.

- Kim pan jest i co do cholery pan tu robi? - postanowiłem w końcu wyjaśnić sytuację.

- Dzin, do usług. - Spojrzał na mnie beznamiętnie.
- Słucham?
- Dzin, ten z butelki. Przecież pisało.
- Mówi się: było napisane - poprawiłem odruchowo.
- A tak, rzeczywiście. No więc było napisane: "Dzin".
- Myli się pan, pisało: "Gin" - zaprotestowałem gwałtownie.
- Było napisane - uśmiechnął się złośliwie.

- Dobra, mądrało, o co chodzi? - Tym razem mnie już zdenerwował.

- Instrukcji pan nie czytał? - spojrzął na mnie zaskoczony. - Było napisane wyraźnie: "Dżin, gwarancja na trzy dubeltowe życzenia, okres spełniania: raz na tydzień, sposób użycia: otworzyć butelkę, postępować zgodnie z instrukcjami."

- Dżin w garniturze? A gdzie turbanik, ciżmy i powłóczyste szaty?

- Takie ubranko w dwudziestym pierwszym wieku? Niech pan będzie poważny - pokręcił głową z politowaniem. - Po prostu idę z postępem.

- A te dubeltowe życzenia to niby co?

Poprawił okulary, po czym otworzył teczkę i wyjął z niej zadrukowany kawałek papieru.

- Proszę, oto regulamin, jedna podpisana kopia dla mnie, żeby mi potem nie było jakichś reklamacji. Pan rozumie, ja też mam przełożonych. W skrócie wygląda to tak, że ma pan do dyspozycji trzy życzenia, jedno na tydzień.

Wystarczy wypowiedzieć w mojej obecności życzenie i klasnąć raz w dłonie, a zostanie ono spełnione.

- Tak po prostu? Hop, siup i mam chatę, brykę i pieniądze?

- No, niezupełnie - westchnął zniecierpliwiony. - Jest taki mały kruczek. Kiedy spełnię pana życzenie, ma pan tydzień, podkreślam - tydzień, na klaśnięcie w dłonie dwa razy.

- I wtedy.?

Podrapał się po łysej głowie, spojrzął na mnie i powiedział dobitnie:

- I wtedy pański najgorszy wróg otrzyma to samo co pan, tylko w dwukrotnie większej ilości.

- A jeśli nie klasnę, to co wtedy?

- Wtedy i tak pański wróg dostanie swoje, za to pan straci możliwość żądania następnych życzeń, w dodatku poprzednie też zostaną cofnięte na tyle, na ile to będzie



możliwe.

Nagle zrozumiałem. Koledzy, zapewne wykorzystując moją chwilową nieobecność, zrobili mi dowcip. Ukryli gdzieś tego pajaca, a w poniedziałek w biurze będą się nabijać ze mnie i rozmowy z dżinem. Już pewnie dranie zacierają ręce, czekając na to jakie życzenie wypowiem. Porobili zakłady, paskudy jedne, i czekają z zaślinionymi mordami. Niedoczekanie wasze!

- Wszystko jasne, panie dżin. To dla mnie w takim razie skrzynkę piwa proszę.

Spojrzał na mnie zaskoczony.

- Tylko tyle?

- Dobra, dobra, dawaj waść i to już, bo rura mnie strasznie pali.

Wzruszył ramionami, wziął ode mnie podpisaną kopię regulaminu po czym zapiąwszy czarną teczkę wymamrotał coś pod nosem o “niedowierzających idiotach”.

Spojrzał na mój tryumfalny uśmiech i powiedział:

- Proszę klasnąć raz w dłonie i już. I niech pan nie zapomni o dwóch skrzynkach piwa dla najgorszego wroga.

“Tu cię mam, gagatku” - pomyślałem i bez namysłu klasnąłem w dłonie.

Dżin zniknął. Tak po prostu, bez żadnych gwizdów, świstów tudzież innych efektów specjalnych. Spojrzałem zaskoczony na puste łóżko. Jak oni to zrobili?

Najciekawsze jednak było to, że kiedy obróciłem się ze zdziwieniem zauważyłem na stole. skrzynkę piwa. I to mojego ulubionego. W sumie domyślenie się, jakie będzie moje pierwsze życzenie, nie było specjalnie trudne dla kogoś, kto mnie zna. Brawo, chłopaki, brawo! Pierwszorzędny dowcip!

Ból głowy przypomniiał mi o ochocie na drzemkę. Korzystając z uprzejmości kolegów wypilem dwa szybkie browary, a kiedy alkohol przyjemnie rozlał się po żyłach położyłem się spać. Zachichotałem, przypomniawszy sobie wizytę dowcipnisia. Jak dobrze zrozumiałem, jeśli teraz klasnę w dłonie dwa razy, dwie skrzynki piwa

trafią do mojego największego wroga. No, chłopaki, ciekawe jak się teraz spisiecie.

Jeśli chodzi o mojego największego wroga, kandydat, a w zasadzie kandydatka, była tylko jedna. A co tam. Klasnąłem dwa razy w dłonie. Masz, zołzo jedna, ciesz się.

Wypij za moje zdrowie, teściowo.

\* \* \*

- Jak się bawiłeś, kochanie, bez nas? Pewnie ci było przykro, że nie pojechałeś?  
- przez całą drogę z dworca PKP towarzyszył mi szczebiot ukochanej małżonki przeplatany czasem piskliwym głosikiem córki. Słodkie maleństwo nauczyło się już wykorzystywać te momenty, kiedy ukochana żona milkła na chwilę. Uczciwie przyznaję, że takich chwil było niewiele, a wstrzelić się w nie to już prawdziwy artyzm.

Kiedy dojechaliśmy do domu, krytycznym wzrokiem ogarnęła nasze skromne mieszkanko, pokiwała głową i zaczęła wyjaśniać mi, co jej zdaniem jest źle posprzątane i jak powinienem to w przyszłości zrobić, aby ona była zadowolona. Oczywiście potakiwałem, w gruncie rzeczy usiłując wyłowić z jej słowotoku interesującą mnie informację. Już prawie straciłem nadzieję, kiedy wieczorem małżonka moja kochana wchodząc do łóżka powiedziała:

- A wiesz, wczoraj rano u mamusi stało się coś dziwnego. Tak sobie siedzieliśmy przy stole rozmawiając o zakupach. A wiesz, kochanie, tam w sklepie koło mamusi pojawiły się fajne torebki, no prawie jak z krokodylej skóry, musimy tam zajrzeć za tydzień, no więc rozmawiamy i nagle, wyobraź sobie, ni stąd ni zowąd na stole pojawiają się dwie skrzynki piwa, no ucieszyłybyś się strasznie gdybyś był, zresztą chyba pojedziemy za tydzień, bo wiesz, te torebki.

Nie słuchałem już dalej rozkosznego szczebiotu. Czyżby to jednak nie był żart kolegów? Nawet oni przecież nie potrafiliby zawieźć tam dwóch skrzynek piwa i podstawić, zresztą są pewne granice dowcipów. Ale przecież, do ciężkiej kolumbryny, dziny-urzędniczyny nie istnieją! Chyba, że to moje szczęście tokujące nieustannie w

łóżku jest w cały ten dowcip zamieszane. Ale wówczas oznaczałoby to, że mój skarbuś wie o sobotniej imprezie, a to wykluczone.

Zresztą, czy moi koledzy odważyliby się zadrzeć z tak wypraną z poczucia humoru istotą jak moja teściowa? Wątpliwe.

Teściowa.

Często występujący w przyrodzie gatunek, znany z wielu piosenek i dowcipów, charakteryzujący się wyjątkowym wścibstwem, wybitnie inteligentny (wszystko wie najlepiej), doskonały kucharz (zawsze gotuje najlepiej), spec od czystości (zawsze znajdzie pyłek na błyszczącej podłodze), mody (mój Boże, jak ty się ubierasz), psychologii (on nigdy w życiu nic nie osiągnie, córeczko), wybitny retor (potrafi mówić o wszystkim i o niczym), doskonały lekarz (ma na wszystko lekarstwo), choć wie jak leczyć tylko innych, bo sama cierpi na wszystkie możliwe choroby. Co zresztą nie przeszkadza jej w odbywaniu w naszym domu regularnych wizytacji.

Wyobraźcie sobie niską, korpulentną kobietę o siwych, skręconych włosach, zawsze w przesadnym makijażu. Na spiczasto zakończonym nosie wdzięczyła się samotna purchla wielkości ziarenka groszku. Sino-czerwone usta tworzyły na twarzy prostą kreskę, a jej wzrok zamroziłby nawet Saharę. Słyszac jej skrzypiący głos człowiek odruchowo rozglądał się, szukając oliwiarki.

A charakter? Zaraz po ślubie, kiedy tylko z małżonką wypoczęliśmy po trudach wesela, udaliśmy się do sypialni by, jak to mówią, skonsumować małżeństwo. Nie, nawet cholera nie zapukała. Nie zdążyliśmy jeszcze rozebrać się do końca, kiedy głowa bazyliuszka ukazała się w drzwiach sycząc: "A paciorek, moi kochani, zmówiliście?"

Im dłużej musieliśmy ze sobą przebywać, tym było gorzej. Odwieczne konflikty między teściową a zięciem nie są niczym nowym. W końcu, kiedy podczas kolejnej wizytacji usłyszałem, jak szanowna teściowa próbując wcisnąć mojej córeczce swój

zupopodobny produkt powiedziała: “Jedz, bo przyjedzie straszliwy potwór”, nie wytrzymałem i dodałem za złośliwym błyskiem w oku: “Mamo, przecież ona lubi jak mamusia przyjeżdża”.

Od tej pory stosunki między mną a teściową zostały zamrożone na zawsze. Wizytacje były znacznie rzadsze, za to małżonka wyjeżdżała częściej do teściowej, zabierając córeczkę. Nie powiem, było mi to na rękę, odświeżyłem wiele starych znajomości, poza tym przecież lepiej jest wypić wspólnego browarka ze znajomymi niż słuchać, za kogo to wyszła ukochana córunia, jakie to nieszczęście ją spotkało i tak dalej. Uszy bolały mnie od wysłuchiwania, jakim to fantastycznym kandydatem był Bolek od Nowaków, tych zza zakrętu, co to dziesięć hektarów mają i własnego “bizona”. Kiedy Bolek wylądował na dwa lata w kiciu za pobicie żony do nieprzytomności, niezauważalnie wręcz ideałem stał się Stasiek Kowalski, który wkrótce jednak wylądował w dołku za pędzenie bimbru. Taka świetlana przyszłość czekała kochaną córeczkę, kiedy to pojawiłem się ja, nieudacznik po studiach, potrafiący powiedzieć bez zająknięcia “dezoksyrybonukleinowy” i co gorsza wiedzący, co to jest.

Cokolwiek bym nie zrobił, w opinii teściowej byłem człowiekiem, który skrzywdził gołąbie serduszko ukochanej córeczki.

\* \* \*

Nie zdziwił mnie fakt, że moja małżonka zapomniała o owej torebce z prawie krokodylej skóry. W końcu było to tydzień temu, a jej zasięg pamięci z reguły nie przekraczał dwóch dni. Taka już była rozkosznie rozkojarzona. Na weekend zaplanowała rodzinne wyjście do kina, pozostawiając mi swobodę wybrania filmu. Przechylnie wybrałem najdłuższy - w końcu trzy godziny względnego spokoju to już coś.

Zapewne ktoś mógłby się zastanowić, dlaczego tak długo jestem z moją kochaną żoną. Tajemnica tego jest prosta - kobiet nie należy rozumieć, bo żaden mężczyzna

tego nie potrafi. Kobiet trzeba po prostu umieć słuchać i potrafić wczuć się w ich tok rozumowania.

Różnica między sposobem myślenia kobiety a mężczyzny polega na tym, że facet myśli technicznie, analitycznie, natomiast kobieta - uczuciowo. Pojęcie "myślenie logiczne" w wykonaniu płci czasami pięknej ma taki sam sens jak "świnka morska" - bo to ani świnka, ani morska.

Przykładowo: kiedy ja idę na targ po kartofle i dostrzegam ustawionych w rzędzie dziesięciu sprzedawców, to kupię je u pierwszego, drugiego, góra trzeciego. Umysł analityczny wie, że pozostali mają taki sam towar i po tej samej cenie, więc nie ma co tracić czasu na zbędne wędrówki, lepiej wrócić szybko do domu, wyjąć piwo z lodówki i obejrzeć mecz.

Kiedy mój klejnocik idzie na zakupy, postępuje inaczej. Zaczyna od pierwszego sprzedawcy, podchodzi do następnego i z namaszczeniem ogląda każdego kartofelka. Gdy dojdzie do końca, wraca się, powtarzając oględziny, następnie robi jeszcze jedną rundkę. Mimo, że wszyscy mają podobny towar, ona nigdy nie kupi ziemniaków u pierwszego czy drugiego sprzedawcy - to sprzeczne z kobiecą logiką. U ostatniego zresztą też nie. Nie, ona kupi zapewne u szóstego, siódmego, najdalej ósmego faceta w rzędzie. I jeśli komuś się wydaje, że to koniec zakupów, to jest w błędzie. Kiedy kobieta wychodzi z targu w jej głowie pojawia się myśl. W połowie drogi do domu ta myśl przybiera konkretne kształty, rozrasta się, mutuje, by w końcu tuż przed drzwiami eksplodować objawiając memu szczęściu prostą prawdę - "Ten obok miał na pewno lepsze ziemniaki!". Zdenerwowana podstępnością tego świata wkracza w progi domostwa, a ponieważ dla kobiet niemożliwym do zniesienia jest fakt, że mąż ogląda mecz popijając piwo, zaczynają się wymówki. Przeważnie zaczyna się to słowami "znowu siedzisz i nic nie robisz", a kończy płaczem i standardowym, wykorzystywanym po wielokroć ".a bo ty na pewno mnie już nie kochasz".

A propos meczów: już wiem, dlaczego one nie lubią sportu. Dla kobiet niemożliwym do zaakceptowania jest to, że coś ma jasno określone reguły. Ośmiu biegaczy staje na starcie biegu, a wygrywa zawsze ten, który dobiegnie najszybciej. Prostota tego rozwiązania przyprawia je o ból głowy. W damskim wyobrażeniu sędzia takiego np. meczu piłkarskiego powinien mieć możliwość nieuznania bramki choćby poprzez rozmowę z napastnikiem. Wy tłumaczyć mu, że przecież bramkarz też ma rodzinę, musi ją utrzymać, a jak przegrają to odpadną, więc może by tak nie uznać gola, prawda? I tu napastnik zaczyna płakać, uświadamia sobie jaką krzywdę mógł wyrządzić, podchodzi do bramkarza drużyny przeciwnej, przeprosza, po chwili padają sobie w ramiona a nad stadionem błyskają sztuczne ognie. Widownia, oglądająca to na wielkim telebimie, klaszcze i wiwatuje. No i oczywiście po każdym meczu zamiast krótkiej konferencji prasowej - godzinny talk-show z pytaniami widzów i audyotele. Tak, wtedy kobiet nie można byłoby odciągnąć od kanałów sportowych.

Tak sobie rozmyślając, zapakowałem się do malucha i pojechaliśmy z moim słoneczkiem do kina. Film jak film, w połowie zaczęły zamykać mi się oczy. Z reguły te trzygodzinne produkcje różniły się od półtoragodzinnych tylko stopniem rozciągnięcia poszczególnych scen. Znużony, postanowiłem wyjść zaczerpnąć świeżego powietrza, zdawało mi się, że widziałem obok kina jakąś małą knajpkę. Dziś i tak prowadziła żona, więc skoczyłem na szybkiego browarka.

Atmosfera, jaką lubię, i jakiej próżno szukać w dzisiejszych nowoczesnych lokalach. Kilka stolików, zarośnięta po uszy klientela wionąca aromatem ostatnich dni, widoczność w zadymionym powietrzu ograniczona do najbliższego stolika. Wiecznie przepici spece od polityki i sportu, słuchając ich zachrypniętych głosów można odnieść wrażenie, że gdyby dać im władzę to w przerwach między piciem a kacem zamieniliby to państwo w krainę tanim winem i piwem płynącą.

Nieco schludniejszy i mniej zarośnięty facet w poplamionym, białym niegdyś

fartuchu podał mi niedomytą szklankę z piwem. Przysiadłem w kątku, przysłuchując się monologom wygłaszanym przez ekspertów. Nagle obok mnie pojawił się cień.

- Można? - zapytał raczej dla pozoru, po czym przysiadł się bezceremonialnie, stawiając swój kufel obok mojej szklanki.

- Proszę, proszę, nasz dowcipniś - odrzekłem na widok dzina. - Jak tam, uśmialiście się? A może dowcip nie wyszedł? Spodziewaliście się czegoś innego?

- Nie wiem, dlaczego mówi pan do mnie w liczbie mnogiej, działał sam - odrzekł.

- Poza tym nadszedł właśnie czas wypowiedzenia drugiego życzenia.

- No to, cwaniaczku, sto milionów dolarów na koncie w banku szwajcarskim. Dasz radę?

- Proszę klasnąć w dłonie, a tak się stanie.

Klasnąłem. Kilku nieco mniej zamroczonych autochtonów spojrzało w naszą stronę, jednak już po chwili wróciło do swoich dyskusji.

- No i gdzie pieniążki, cwaniaczku? - spytałem spoglądając na niego z uśmiechem.

- Ma pan tydzień na klaśnięcie dwa razy w dłonie, w przeciwnym razie konto zniknie - spojrzał na mnie obojętnym wzrokiem, po czym dopił piwo, beknął głośno wzbudzając aplauz tubylców i zniknął niczym duch we mgle. to jest w papierosowym dymie.

Może to i głupie, ale przeszukałem kieszenie w poszukiwaniu choćby jednego banknotu. Oczywiście nic nie znalazłem, tylko piątaka żeby zapłacić za piwo.

Dopiewszy złocisty napój przypomniałem sobie o żonie, zapewne już rozglądającej się z niecierpliwością. Wróciłem do kina, tłumacząc ukochanej, że kolejka, że prawo natury i tak dalej. Na szczęście film tak ją wciągnął, że odłożyła dalsze dyskusje na ten temat na później.

Po powrocie do domu wysłuchałem litanii o standardowej długości. Godzinę później, korzystając z faktu iż najukochańsza postanowiła porozmawiać z córką a

następnie przygotować się do snu, zasiadłem przed komputerem i odpaliłem internet. Mogłem liczyć na jakieś dwie godziny wolności. Jak zawsze, zacząłem od sprawdzenia zawartości skrzynki pocztowej. Oczywiście pełna była korzystnych ofert, począwszy od kupna Rolexów zaledwie za jedną dziesiątą ceny oryginału aż do jedynej, cudownej i niepowtarzalnej metody powiększania penisa. Nawet syn byłego nigeryjskiego ministra napisał do mnie, bym pomógł mu odzyskać majątek ojca, w zamian za co otrzymam prowizję, jakieś tam pięć milionów dolarów.

Kiedy już wykasowałem część spamu, zauważyłem niepozorną wiadomość od Eurobanku. Po otwarciu okazało się, że jest tam nazwa użytkownika - czyli moje imię i nazwisko - oraz hasło do nowo utworzonego konta z zawartością. stu milionów dolarów! Jeśli to miała być kolejna część dowcipu, to grubo przesadzili.

Postanowiłem sprawdzić, czy rzeczywiście mogę dysponować tymi pieniędzmi. Kupiłem na różnych portalach telewizor plazmowy, samochód, komputer i parę innych drobiazgów, w ostatniej chwili rezygnując z awionetki i jachtu. Wszystkie płatności zostały bezproblemowo zaakceptowane. Cholera, byłem bogaty!

No tak, ale skoro ja byłem milionerem, to zostanie nim wkrótce to cholerne monstrum. Prezent od ukochanego zięcia, dwieście milionów dolarów. Jasny szlag by to trafił! Przecież musi być jakieś wyjście z tej paranoicznej sytuacji!

Spokojnie. Nie może, no nie może tak być żeby ten koczokodan był szczęśliwy dzięki mnie. Grunt to uspokoić myśli, zrelaksować się, wytłumić emocje. W końcu co mnie to obchodzi, że ona dostała prezent od losu, skoro ja też nie mam co narzekać. Trzeba się cieszyć. Jeszcze niedawno byłem szarym, przeciętnym obywatelem, teraz stać mnie na prawie wszystko. Powinienem być szczęśliwy, że mogę spełnić większość marzeń. Ba, mogę sobie kupić jakąś wysepkę na Karaibach i nigdy więcej jędzy nie oglądać!

Tak, tylko że maskaron też ma marzenia, i to nawet wiem jakie. Oczyma duszy



widzę, jak kupuje śmigłowiec z demobilu i parę beczek napalmu jako prezent dla ukochanego zięcia, w promocji dostając dwa wygłodniałe sępy gratis. Już słyszę “Cwałujące Walkirie” Wagnera, a za drążkiem helikoptera siedzi kochana mamusia z palcem delikatnie ułożonym na czerwonym przycisku z napisem “FIRE”, a jej wiecznie zaciśnięte usta skrzywiają się w czymś, co przypomina uśmiech tyranozaura. Niedoczekanie.

Należało zastosować plan WC.

Toaleta to jedyne miejsce w domu, gdzie można spokojnie pomyśleć, przeanalizować i wyciągnąć wnioski. Zaopatrzony w najnowszy numer “Przeglądu Sportowego”, z miną pełną skupienia dostojnie wkroczyłem w progi Świątyni Dumania. Umysł ma taką fajną cechę, że wystarczy go zaprogramować na rozwiązanie problemu, po czym zająć się czymś neutralnym, jak choćby lekturą gazety. Kiedy tylko szare komórki przemielą problem, same podadzą rozwiązanie jak na tacy.

Właśnie siedząc na tronie czytałem relację z towarzyskiego meczu naszych orłów, kiedy pojawił się impuls. Impuls delikatnie rozświetlił mój umysł, przedstawiając PLAN. Było wyjście, było jedno proste wyjście. Złożyłem gazetę, wciągnąłem gacie i wyszedłem z radosnymi ognikami w oczach.

No, mamusiu, naciesz się milionami.

Klap-klap.

\* \* \*

Ból brzucha był straszliwy. Skręcał kiszki, kłuł, przybierał na sile i słabł. Kochanie moje spoglądało na mnie z litością. Niechętnie, bardzo niechętnie musiałem zrezygnować z wycieczki. Widząc wzrok mamuśki odruchowo spojrzałem na rękę, czy aby nie zamienia się w kamień. Chciałem, naprawdę, no ale na ból brzucha nie poradzisz.

Mamusia nasza, otrzymawszy swoje miliony, wspaniałomyślnie zaprosiła nas na wycieczkę. Nie na Karaiby, nie na Dominikanę, o nie. Polska to też piękny kraj. Byłem

tak dobry, że zaplanowałem całą trasę. Zająłem się wszelkimi formalnościami, rezerwacjami i innymi pierdólkami. I nagle ten poniedziałkowy ból.

Żona i córka z żalem, teściowa z satysfakcją, ruszyły w końcu same. Krzywiąc się niemiłosiernie pomachałem im na pożegnanie. Dwie małe i jedna korpulentna sylwetka powoli zniknęły za zakrętem. Nie przejmowałem się tym, wiedziałem, że wkrótce je zobaczę ponownie. W końcu musiałem być pewien, że PLAN się uda. Postąpiłem jeszcze przez chwilę na progu, po czym podśpiewując radośnie otworzyłem oszronioną puszkę. Ból oczywiście minął jak ręką odjął. Wystawiłem leżak na taras, włączyłem radyjko i pociągnąłem długi, konkretny łyk zimnego piwa. Jak obliczyłem, miałem jeszcze jakieś dwie godziny czasu. Książeczka, browarek, pełny luz.

Jakieś trzy puszki później stwierdziłem, że nadszedł już chyba czas. Spojrzałem przez lornetkę - faktycznie, jeszcze jakieś dziesięć minut i trzy sylwetki osiągną cel. Pospieszyłem do lodówki, dla odmiany wyciągając szampana. Korek wystrzelił w górę, a ja delektując się musującym Dom Perignon wspominałem ostatnią wizytę dzina.

Kiedy kazałem mu wykonać ostatnie życzenie, był zaskoczony. Ba, był bardzo zdumiony i kazał sobie powtórzyć dwa razy, że na pewno tego chce. A ja, stojąc na środku pokoju powtórzyłem dobitnie:

- Tak, masz kopnąć mnie z całej siły w tyłek tak, żeby roztrzaskał się na tej ścianie.

Po czym klasnąłem w dłonie. Nagle ściana z impetem uderzyła mnie w twarz, zobaczyłem miliony galaktyk w opętańczym tańcu dookoła centrum wszechświata. O dziwo, opadając na ziemię uśmiechałem się.

A teraz leżąc wygodnie na leżaku obserwowałem trzy małe punkciki. Jeden z nich, nieco grubszy, wyróżniał się idiotyczną, pomarańczową czapeczką. Właśnie dotarły do celu - przepięknego punktu widokowego, tuż nad kilkudziesięciometrową przepaścią.

Skalisty taras był na tyle duży, że nie było tam barierki zabezpieczającej. Zobaczyłem, jak korpulentny punkcik podchodzi pod samą krawędź skały, machając komuś radośnie. Tak mnie naszła myśl, że kochana mamusia jest wdową, a jej córeczka - jedyną spadkobierczynią. Uśmiechnąłem się, również machając.

I klasnąłem dwa razy w dłoń.

## **Dzieci galaktyki**

Major Brownstone zgasił papierosa w popielniczce. Mimo pozornie spokojnej twarzy, siła z jaką przydusił niedopałek zdradzała duże zdenerwowanie. Kapitan Chi-Tai obrzuciła majora długim spojrzeniem, po czym wróciła do rozczesywania włosów. Porucznik Schwartz nerwowo krążył po korytarzu Kwatery Głównej, mijając co chwila zamknięte drzwi. Raz po raz zatrzymywał się, wpatrując się w napis na mosiężnej tabliczce „generał armii J. Owen”. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że sytuacja jest nadzwyczajna.

Drzwi otworzyły się z nieprzyjemnym zgrzytem. Żołnierze jak na komendę stanęli na baczność. Sekretarka spojrzała na nich upewniając się, że wszyscy są obecni i oznajmiła:

- Generał prosi.

Generał, starszy mężczyzna o kwadratowej twarzy i kamiennym spojrzeniu siedział za biurkiem paląc cygaro. Nieskazitelnie czysty mundur zdobiły setki różnokolorowych baretek. Nikt nie kwestionował jego bohaterstwa. Do znudzenia przypominano jego niemal samobójczy rajd na Aldebaranie, okupiony stratą osiemdziesięciu procent stanu żołnierzy ale zakończony odparciem przeciwnika. Przeciwnika, o którym wiedzieli tak mało .

- Sytuacja jest poważna, żołnierze.

„Krótko, zwięźle i na temat” - pomyślała kapitan Chi-Tai. - „Przecieki oczywiście były, ale nikt poza sztabem tak naprawdę nie znał sytuacji. A skoro nikt nic nie wie, to musi być cholernie źle.”

- Jest cholernie źle. Jak pamiętacie, gluty pojawiły się dziesięć lat temu.

Odmawiają jakiegokolwiek dialogu, nie stawiają warunków, nie negocjują. Po prostu atakują. Niestety, z trudnością jesteśmy w stanie się im przeciwstawić. Na początku odpieraliśmy ataki - pamiętacie Syriusz, Betelgeuze, Aldebaran. A teraz

- spójrzcie na mapę.

Nad stolikiem pojawił się nieco zamglony, trójwymiarowy model galaktyki. Żołnierze stanęli dookoła holomapy. Generał, wpatrując się w wirujące gwiazdy kontynuował:

- Tak wyglądał odkryty i zbadany przez nas rejon galaktyki przed przybyciem glutów. Układy planetarne, należące do Konfederacji Ziemi, zaznaczam na niebiesko. Połowa gwiazd na holomapie rozjarzyła się błękitnym kolorem. Twarze obecnych przypominały upiory.

- Tak wygląda sytuacja obecnie.

Znaczna część mapy zmieniła kolor na czerwony. Major Brownstone zwrócił uwagę, że fragment galaktyki nadal jawił się jako białe gwiazdy. Chciał zadać pytanie, ale generał go uprzedził.

- Zwróćcie uwagę na niezbadaną część galaktyki. Tam znajduje się główna planeta glutów. Do tej pory wszystkie nasze statki, pojawiające się w okolicy, były bezwzględnie eksterminowane. Na szczęście niedawno udało nam się skonstruować i podesłać im aparat szpiegowski. Nasz wywiad ustalił, że gluty są zorganizowane nieco podobnie jak pszczoły. Istnieje jednostka centralna, wydająca rozkazy, która mieści się na ich głównej planecie. Nasza sonda wykonała również szereg filmów i zdjęć.

Holomapa znikła. Na znajdującym się na ścianie białym ekranie wyświetlił się obraz, przedstawiający planetę otoczoną przez tysiące białych kropek.

- Chciałbym, abyście zwrócili uwagę na ten punkt. Nasi uczeni spędzili kilka miesięcy na analizie filmów i fotografii, przesłanych przez „SpySpace One”.

- SpySpace One? - zapytał major Browstone, po czym natychmiast wyprężył się słuźbiście. - Przepraszam, sir.

- Nie szkodzi. - Generał z uznaniem spoglądał na dwie purpurowe baretki, wyróżniające się spośród innych na piersi majora. Przyznawano je nielicznym za najtrudniejsze misje. Niewielu udało się odebrać „Purpurowe Słońce” osobiście. - Wolałbym jednak, aby nie przerywano mi, zanim skończę.

- Tak jest, sir!

- „SpySpace One” to właśnie ta szpiegowska zabawka, która być może ocali naszą cywilizację. Jako, że zgłosiliście się do tej misji na ochotnika - generał udawał, że nie zauważył zaskoczonych spojrzeń żołnierzy - powinno was zainteresować, że właśnie kończymy pracę nad „SpySpace Two”, którym polecicie, z naszą pomocą, do planety glutów. W waszych rękach spocznie los gatunku homo sapiens. Przyjrzyjcie się dokładnie tym zdjęciom.

Wzięli fotokopie w dłonie, oglądając z zainteresowaniem. Chi-Tai i Brownstone ze spokojem czekali na dalsze wyjaśnienia, natomiast Schwartz przez chwilę milczał, by za moment spojrzeć z niedowierzaniem na generała.

- To niemożliwe, sir!

- Dlaczego, poruczniku?

- Jak mamy się tam dostać? Cała planeta otoczona jest przez setki ich krążowników, a jeśli nawet podejmiemy niezauważeni i tak zostaniemy wykryci przez czujniki z planety! Zniszczą nas, zanim cokolwiek zrobimy, sir!

- A jednak „SpySpace One” podszedł niemal pod ich atmosferę - generał uśmiechnął się chytrze. - Zanim zapoznam was z planem misji, popatrzcie sobie na naszego kosmicznego szpiega.

Nad stołem pojawiła się holograficzna prezentacja statku szpiegowskiego. Spoglądali na „SpySpace One” z niedowierzaniem, z trudem panując nad sobą. Tylko

porucznikowi Schwartzowi wyrwało się doskonale obrazujące ich myśli, jakkolwiek całkowicie nieregulaminowe:

- O kurwa!

Powiedział to na tyle cicho, że generał mógł udać, że nic nie usłyszał.

\* \* \*

W oświetlonym białym, jaskrawym światłem pomieszczeniu nie było żadnych urządzeń. Nie były one zresztą potrzebne - małe, galaretowate postacie pełzały w podnieceniu bezpośrednio po podłodze. Większość z nich miała kolor bladoróżowy, oznaczający prostych żołnierzy. Kilkunastu jasnoniebieskich spokojnie stało na swoich miejscach - jako oficerowie starali się zachowywać godnie, mimo iż plan Matki zaskoczył ich w równym stopniu, co podwładnych.

Bladozielona kupka śluzu, która ogłosiła im plan, stała nieruchomo na środku pomieszczenia czekając, aż zapadnie cisza. Kolor wskazywał, że jest to ktoś z bezpośredniego otoczenia Matki. Oddzielił się od rodzicielki stosunkowo niedawno, na co wskazywała błyszcząca w białym świetle skóra.

Bulgotanie ustało, galaretowate sylwetki znieruchomiały. Zielony glut pojaśniał nieco, co oznaczało, że chce jeszcze coś powiedzieć. Jako że obcy nie mieli wyodrębnionych narządów mowy, wszelkie zdania przekazywane były drogą telepatyczną. Seledynowa, oślizgła sylwetka uniosła się nieco nad podłogą, podczas gdy w centralnych ośrodkach nerwowych pozostałych pojawiały się nasączone nienawiścią słowa.

- Tam jest nasz wróg! I musimy go zniszczyć! Najwyższy dał nam ten świat, abyśmy mogli w nim mieszkać! Już wkrótce pozbędziemy się tej przeklętej rasy! Stłamsiliśmy ich morale, zniszczyliśmy ich główne siły, a teraz nadszedł czas by ich dobić! Galaktyka będzie nasza!

W pomieszczeniu przez moment zrobiło się kolorowo, wszystkie śluzowce jak na komendę pojaśniały bojowo. Nagle rozstały się nieco. Zielonkawy zbulgotał,

zabłyśnął i podzielił się na dwie części.

- Oto nasz zbawca! Jeżeli jego misja się powiedzie, zwyciężymy!

Pomieszczenie migotało na tęczowo, entuzjazm glutów sięgał szczytów. Zielony z namaszczeniem dotknął swej drugiej połowy. Fragment jego ciała stał się nagle twardy, przypominał ostrą pipetę. Włożył rurkę do małego zbiornika z żółtym płynem, po czym wstrzyknął kilka kropel pod skórę swojej drugiej części. Ta zajaśniała nagle niby gwiazda.

Galaretowate stwory rozstały się. Jasnożółty powoli, dostojnie przepłynął do śluzy, a następnie do małego statku kosmicznego. Z reguły gluty nie poruszały się po galaktyce w grupach mniejszych niż sto. Tym razem bojowy statek kosmiczny śluzowców miał polecieć samotnie.

\* \* \*

- Ochotnicy, szlag by to trafił! - Schwartz powtórzył to zdanie już piąty raz.

W ciasnej kabinie „SpySpace Two” nie było zbyt wiele miejsca. Chcąc nie chcąc, musieli spędzać czas podróży razem. Pomieszczenie wyposażono w komputer pokładowy, zredukowane do minimum urządzenia sterownicze i panele kontrolne. Część pokoju zajmowała mała toaleta i minisiłownia. Nawet łóżka były w kabinie - zajmowały jedną ze ścian. Która to ściana - ze względu na brak grawitacji - w nocy stawała się podłożem.

Chi-Tai - drobna, niska Azjatka z okrągłą twarzą, długimi, czarnymi włosami i zadartym nosem - roześmiała się:

- Oczywiście, że ochotnicy, a co myślałeś?

- Nie nadaję się na bohatera - odburknął.

- Ale jesteś najlepszym specjalistą od bomb i materiałów wybuchowych - powiedział z naciskiem Brownstone. - Chyba chciałbyś w końcu, aby ta wojna się skończyła?

Nie odpowiedział. Potężny blondyn z dziecięcą twarzą kompletnie nie pasującą do

muskularnej sylwetki spoglądał na ekrany, pokazujące obraz z zewnątrz. Ostry, chrapliwy akcent wskazywał na pochodzenie z środkowej części dawnej Europy.

- Spójrz na to - powiedział do majora. - Ciemność, ciemność i jeszcze raz ciemność, poprząkany białymi punktami. Tyle miejsca, starczy przecież dla wszystkich. Niech sobie wezmą pół galaktyki, nam zostawią pół i będzie spokój! Czego oni od nas chcą?

- Chyba tego samego, co powodowało kiedyś wojny na naszej planecie - odparł Brownstone. - Wszystko jest dobrze, jeśli interesy dwóch stron są wspólne, kiedy jednak ze sobą kolidują, kończy się to zwykle konfliktem. Dzieci w piaskownicy, sąsiedzi, kraje, mieszkańcy galaktyki - różnica jest tylko w liczebności i uzbrojeniu stron.

- Ale zawsze można porozmawiać, dogadać się i po kłopotcie. Po co nam cała galaktyka? Ile mamy samowystarczalnych baz? Prawie wszystkie wymagają wspomaganie z Ziemi. Eksploatujmy tylko te, które są nam rzeczywiście niezbędne, niech podobnie zrobią gluty i już!

- Problem w tym, że oni nie chcą rozmawiać. - Major Brownstone stanął obok Schwartza, spoglądając na ekrany. Mimo iż miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, przy olbrzymim poruczniku wyglądał niepozornie. Śniada, gładko ogolona twarz, krótko obcięte czarne włosy i skrzące się zimną zielenią oczy należały do jednego z najlepiej wyszkolonych żołnierzy Sił Specjalnych Planety Ziemia. Wydawało się, że jego twarz pozbawiona jest całkowicie mimiki - z trudnością można było dostrzec oznaki jakichkolwiek emocji.

- Więc należy ich zniszczyć? - cicho rzekła Chi-Tai.

- Jakież inne propozycje, pani kapitan? - Brownstone oderwał na chwilę wzrok od ekranu, lustrując twarz Azjatki.

- Widział pan kiedyś mrowisko? - kapitan Chi-Tai spoglądała prosto w oczy



kapitana. - Widział pan mozolną, ciężką pracę mrówek, budujących miesiącami swój dom? A potem przychodzi człowiek, spogląda przez chwilę i jednym ruchem niszczy ich wysiłek. Czy on się zastanawiał nad tym, co robi? Czy próbował z nimi porozmawiać? Nie, bo mrówki nie posiadają inteligencji. Co jednak, gdyby owady taką inteligencję posiadały? Gdyby potrafiły zabrać tego człowieka do swojego domu, pokazać mu skomplikowaną konstrukcję mrowiska, ciężką pracę robotników, trud i znój? Czy gdyby ten człowiek, obejrawszy to, ponownie stanął przed mrowiskiem, nadal miałby ochotę je zniszczyć?

- A my jesteśmy takimi kosmicznymi mrówkami? Czy może widzi nas pani kapitan w roli człowieka? - Brownstone, z założonymi rękami, spoglądał wyczekująco na kobietę. - Przemawia przez panią antropocentryzm, wiara w jakąś nadrzędną rolę człowieka we wszechświecie. Uważa pani, że jesteśmy prokuratorami, sędziami i katami w jednym, a nasze zdanie jest jedyne, właściwe i nieomyłne. Skoro już użyła pani takiej analogii - owszem, my, ludzie, oglądając owo hipotetyczne mrowisko potrafimy docenić jego piękno, ogrom konstrukcji, pracowitość, opiekuńczość i tym podobne rzeczy. Ale dlaczego? Tylko dlatego, że sami jesteśmy konstruktorami, pracownikami i ojcami. Dla istot, które nie mają pojęcia o tych rzeczach, mrowisko będzie tylko zarobaczoną stertą ściółki, którą można bez zastanowienia zniszczyć. I obawiam się, droga pani kapitan, że dla nich jesteśmy takim właśnie śmietniskiem wszechświata. Robactwem, z którym się nie dyskutuje, nie podziwia, tylko z którego trzeba oczyścić galaktykę.

- My robimy to samo. - Kapitan spokojnie rozczesywała swoje długie, kruczoczarne włosy. - Czym więc się od nich różnimy?

- My próbowaliśmy nawiązać kontakt na wszelkie możliwe sposoby - Brownstone odpowiedział ze spokojem. - Wyciągnęliśmy do nich dłoń a oni uderzyli w nas z całą siłą. Nie chcą dyskusji? Nie chcą kompromisu? Trudno, posprzątamy ten las.

- A jeśli oni próbują się z nami porozumieć, tylko ich nie potrafimy zrozumieć?
- To już za późno - Schwartz przerwał dyskusję. - Panie majorze, pani kapitan:

planeta glutów.

Wszyscy pochylili się nad ekranem, spoglądając na jasną kropkę na monitorze.

\* \* \*

- Cztery kiery. - Starszy mechanik spojrzął z wyższością na siedzącego obok radarzystę. Ten odparł z rezygnacją:

- Pas.

- Pas.

- Pas.

- A zatem robimy robra, panie sierzancie - uśmiechnął się mechanik. Sierżant rozłożył swoje karty na stole, wstał i podszedł do okna. Mimo iż przebywał tu już od roku, nadal zachwycał go widok rozciągający się za przezroczystą taflą. Stacja kosmiczna, na której się znajdowali krążyła dookoła Saturna, dzięki czemu mógł podziwiać monumentalną, otoczoną gigantycznym pierścieniem planetę. „Jeszcze sto lat temu takie widoki dostępne były tylko na zdjęciach” - pomyślał. Olbrzymi Saturn zachwycał, ale też i przerażał swoim ogromem. Zapatrzony w wirującego dostojnie giganta początkowo nie zauważył migającego światełka. Jednak monotonne pulsowanie w końcu zwróciło jego uwagę.

- Docker? - Spostrzegł, że zajęty grą radarzysta nie usłyszał, krzyknął więc głośniej. - Docker! Co to jest?

Zbladł, widząc jak roześmiana twarz radarzysty zwróciła się nagle ku czerwonemu światłu, a po chwili oblekła się maską przerażenia. Zareagował impulsywnie:

- Kaminsky, wołaj porucznika!

- Ale. Sierzancie. - Starszy mechanik wymownie pokazał drzwi.

- Natychmiast, idioto! Myślisz, że to żarty?

- Co tu się dzieje, do cholery? - Półnagi porucznik, zapinając rozporek, wyszedł z

kabiny. Za nim pojawiła się zaciekawiona twarz młodej lekarki. Mimo niecodziennego widoku wszyscy stanęli na baczność.

- Panie poruczniku - radarzysta spojrział na porucznika z osłupieniem. - Gluty!

- Tutaj? - Porucznik podbiegł do radaru. - Nigdy nie dopuściliśmy ich bliżej niż do Syriusza. Pokaż!

- To niemożliwe, nasze stacje powinny ich dawno wykryć! - Starszy mechanik zdezorientowany spojrział na radarzystę. Tenże w milczeniu spoglądał na ekran.

- Cholera - warknął. - To bez sensu.

- Co takiego? - Porucznik zdążył ubrać już mundur, usłużnie przyniesiony przez lekarkę.

- Oni zawsze poruszają się w większych grupach, co najmniej sto, sto pięćdziesiąt statków. A tu.

- Ile ich jest?

Radarzysta spojrział zdziwiony na resztę załogi.

- Jeden.

Milczeli, zaskoczeni. Porucznik otrząsnął się pierwszy.

- Jesteś pewien?

- Tak jest.

- Sierzancie, proszę natychmiast połączyć mnie z Ziemią. - Dowódca odzyskał rezon. Jeden statek nie stanowił aż takiego zagrożenia. - Docker, natychmiast wyślij informacje na Tytana, niech go przechwycą. Podaj im typ jednostki, kurs i szacowaną prędkość. Halo! Ziemia? Tu Saturn Trzy! Wróg w pobliżu! Jeden statek, powtarzam - jeden statek. Nie ma zagrożenia dla Bazy! Wysłaliśmy myśliwce przechwytyjące, będziemy w kontakcie!

Sierżant spojrział przez iluminator. Byli dość blisko skalistego, pokrytego kraterami Tytana, mógł więc zaobserwować dziesięć smug w atmosferze księżyca,

pozostawionych przez startujące myśliwce przechwytyjące. Nagle odwrócił się:

- Ale co on tu robi?

- Myślę, że ma do wykonania jakąś misję - porucznik uśmiechnął się. - Spodziewał się, że jak przyleci w pojedynkę nikt go nie zauważy. Ale nie docenił czułości naszych urządzeń.

Nie minęło nawet trzydzieści standardowych minut, kiedy w głośniku na stacji rozległ się nieco zniekształcony głos dowódcy eskadry myśliwców:

- Saturn Trzy, Saturn Trzy, mamy go! Odprowadzimy go na Ziemię, powtarzam - odprowadzimy go na Ziemię!

Dowódca bazy z tryumfalnym uśmiechem chwycił słuchawkę, niemalże krzycząc w ekstazie:

- Ziemia? Mamy dla was niespodziankę.

\* \* \*

- Cholera, patrzcie na to - Schwartz podekscytowany wskazywał na planetę. Zdawała się być żywym organizmem, co rusz startowały i lądowały na niej małe, świetlne punkciki.

- Mrowisko - szepnęła cicho Chi-Tai. Brownstone spojrział na nią z wyrzutem, mówiąc:

- Odnoszę wrażenie, że pani ich broni, kapitanie.

- Nie lubię zabijania bez potrzeby. Mieć władzę nad czyjś życiem - to potworne.

Kim my jesteśmy, by decydować o ich egzystencji?

- Ludźmi. Zaatakowanymi, broniącymi się przed niebezpieczeństwem. Tam, pani kapitan - wskazał za siebie - zostawiliśmy kobiety, mężczyzn i dzieci co chwilę wsłuchujących się w głos spikera, oczekujących na jedną, jedyną wieść - że mogą w końcu żyć spokojnie. I my im to umożliwimy!

Długą chwilę spoglądali sobie w oczy. Chi-tai pierwsza spuściła wzrok.

- Nie twierdzę, że się z panem nie zgadzam, majorze - odrzekła. - Twierdzę tylko,

że to takie... nieludzkie...

- Ludzkie, ludzkie, jak najbardziej - Schwartz, nie przestając wpatrywać się z fascynacją w monitor, kończył jeść batonika. - Nigdy nie mieliśmy szacunku dla przedstawicieli naszej rasy, dlaczego mielibyśmy się przejmować jakimiś cholernymi meduzami? Lepiej patrzcie tam.

Długą chwilę spoglądali na ekran, zanim zauważyli ledwie widoczny, ciemny kształt.

- Jak ty go dojrzałeś? - Chi-Tai spojrzała z niedowierzaniem na Schwartza.

- Mógłbym powiedzieć, że mam sokoli wzrok - uśmiechnął się, a Chi-Tai po raz kolejny pomyślała, że porucznik wygląda jak olbrzymi dzieciak. - Ale prawda jest bardziej prozaiczna. Najpierw sprawdziłem na radarze, gdzie powinien być cel, a potem odszukałem to miejsce na ekranie. Wyliczenia naszych naukowców są idealne! - uśmiechnął się tryumfująco.

- A jak nas znajdą? - Chi-Tai zadała pytanie, które nurtowało wszystkich od początku misji.

- „SpySpace One” się przedarł - odparł porucznik. Ale i w jego głosie można było wyczuć nutkę niepewności.

Jakże inaczej wyglądało to na odprawie u generała! Kiedy zobaczyli „SpySpace One” z początku myśleli, że dowódca się pomylił i pokazał im nie ten obiekt, co trzeba. Dopiero po chwili dotarło do nich, że pomysł na zbliżenie się do planety glutów był tyleż prosty, co wręcz bezczelny. Całą aparaturę szpiegowską wmontowano bowiem w środek małego meteorytu, który następnie wysłano po orbicie hiperbolicznej w pobliże planety. Nawet najlepsze radary potraktowały szpiegowski statek jako kawałek kosmicznego gruzu. „SpySpace One” po zrobieniu zdjęć i filmów z wszelkich możliwych ujęć dostojnie oddalił się, a kiedy znalazł się poza zasięgiem wroga błyskawicznie skoczył w nadprzestrzeń, dostarczając bezcennych danych

ziemskiemu wywiadowi.

„SpySpace Two” zbudowany był na podobnej zasadzie. Od poprzednika różniło go tylko wyposażenie - przystosowany był do trzyosobowej załogi, miał ograniczoną możliwość sterowania, którą można było wykorzystać jedynie w ostateczności.

Jakakolwiek bowiem niezgodna z prawami mechaniki zmiana kierunku poruszania się sztucznego meteorytu mogła wzbudzić podejrzenia. Nie miał oczywiście okien - obraz przekazywany był przez kamery, zakamuflowane na powierzchni statku. W kraterach, którymi usiana była powierzchnia, rozmieszczono silniczki korekcyjne. Kurs również nie był hiperboliczny, ale kolizyjny. Wyliczenia naukowców, mimo iż oparte jedynie na kilku filmach i zdjęciach wykonanych z różnych pozycji przez statek szpiegowski, były rzeczywiście bezbłędne.

- Żołnierze! - Major Brownstone spoglądał w szybko powiększający się na ekranie obiekt. - Przed nami cel misji.

W milczeniu spoglądali na siebie. Zbliżała się decydująca chwila. I wszystko zależało tylko od nich.

- Na miejsca. Przygotować się do lądowania.

\* \* \*

- Mamo, spójrz jaka śliczna żółta galaretko. - Mała, kilkuletnia dziewczynka z lizakiem w ustach ciągnęła młodą dziewczynę w mini w stronę kabiny z glutem.

- Nie podchodzimy tam, córeczko. - Wysoka brunetka zdecydowanie przytrzymała dziecko za rękę.

Od kiedy dwa dni temu wystawiono kosmitę na widok publiczny, tłumy bezustannie przelewały się przez centrum Nowego Jorku. Wycieczki z całego świata przylatywały, by nacieszyć oczy widokiem upokorzonego wroga. Wroga, którego - jak się wydawało oglądającym - można było pokonać. Co niektórzy starali się sprowokować leżącego gluta próbując go opluć czy wyzywając. Ten jednak leżał w milczeniu, co pewien czas błyskając bladożółtym światłem, co jeszcze bardziej

prowokowało widzów.

- Po co on tu przyleciał? - Generał Johnson, szef sztabu generalnego, oglądając transmisję z Nowego Jorku na żywo w telewizji, pociągnął długi łyk Johny Walkera. Dwie pozostałe osoby, znajdujące się w niewielkim pokoju, zadowolily się wodą mineralną z lodem i plasterkiem cytryny.

- Nie podoba mi się to. - Prezydent rozluźnił krawat. Nazywany „Gandhim” ze względu na wyjątkowe podobieństwo do przywódcy dawnych Indii, nie miał jednakże nawet połowy jego charyzmy. - Nie wiem, dlaczego, ale nie podoba mi się to.

- Zgadzam się z panem, panie prezydencie. - Szef Ziemskich Służb Wywiadowczych podrapał się po łysinie. Zaokrąglona sylwetka i pucułowata twarz mogła zmylić każdego, jednak pod czaszką krył się jeden z najlepszych analitycznych mózgow na Ziemi. - Nie powinniśmy robić nic, co zagrażałoby bezpieczeństwu naszej planety.

- A w jaki sposób, według panów, zagraża to Ziemi? - spytał Johnson. - I tak nie mogliśmy się z nim porozumieć, a wszelkie badania pokazały, że nie jest niebezpieczny. Ot, zwykła galaretka, bezradna, gdy ją się odetnie od centrali. Niech ludzie mają swojego wroga, niech go zobaczą - to podnosi morale w narodzie, panowie! A my w tym czasie, w oparciu o ich technologię, zbudujemy naszą flotę. Dysponując zdobytą bronią, uda nam się w końcu ich pokonać.

- Na szczęście nie będziemy musieli czekać tak długo - uśmiechnął się Clark, szef ZSW.

- Słucham? Jest coś, o czym nie wiem? - generał Johnson spojrzał na prezydenta. W ciemnych, prawie czarnych oczach pojawiło się zdumienie. Nerwowo podrapał się po rękawie pełnego orderów i baretek mundur.

- Panie generale, przeprowadzamy właśnie ściśle tajną misję, nad którą nasi naukowcy w tajemnicy pracowali od kilku miesięcy - niechętnie odparł prezydent.

- Jako szef sztabu generalnego powinienem o tym wiedzieć! - Generał był wyraźnie zdenerwowany. - Dlaczego mnie nie poinformowano? Sądzicie, że jestem ukrytym w ludzkim ciele glutem, czy jak?

- Panie generale, gluty ponad wszelką wątpliwość porozumiewają się telepatycznie - przywódca ZSW założył ręce na piersi. - Część naszych porażek można wytłumaczyć tym, że wróg znał myśli i zamierzenia naszych dowódców, po czym dokonywał manewru wyprzedzającego. Dlatego właśnie podjąłem decyzję, że im mniej osób wie o planowanej operacji, tym lepiej.

- A ich myśli nie odczytują, tak?

- Mamy ekrany - odparł Clark udając, że nie zauważa czerwieniejącej ze złości twarzy Johnsona. - Od niedawna wszystkie nasze statki a także niektóre pomieszczenia są ekranowane, nikt więc nie odczyta naszych myśli, nawet jeżeli jakimś szpiegowi uda się to, co nie udało się tamtemu.

- Ekrany, tak? Ma mnie pan za durnia?

- Generale - ton szefa ZSW nie zmienił się - na to pytanie niech pan sam sobie raczy odpowiedzieć. Pan jest od działań wojennych, ja - od bezpieczeństwa. I niech tak pozostanie.

- Spokojnie, panowie. - Prezydent otarł spocone czoło. - Naszym wspólnym celem jest zwycięstwo.

Zapadła cisza, wszyscy obecni utkwili wzrok w ekranie telewizora. Żółta galareta rozbłysnęła po raz kolejny.

„Po co ty tu przyleciałeś?” - ta myśl bezustannie odbijała się w głowie szefa Ziemskich Służb Wywiadowczych.

\* \* \*

Impuls mknął przez zimną, nieprzenikniętą ciemność, przebijając się przez chmury wodoru, omijając oślepiająco jasne kosmiczne latarnie. Niósł ze sobą informację, tak bardzo oczekiwaną na skalistej planecie gdzieś w zapyziałym zakątku



galaktyki. Zgrabnie przeleciał przez skalne i lodowe odłamki, otaczające układ słoneczny planety śluzowców i pomknął wprost do zamieszkałej skalnej kuli.

W jaskini, kilkadziesiąt metrów pod powierzchnią planety, zebrało się kilkuset przedstawicieli glutów. Otaczały olbrzymią, zieloną śluznię. W grocie było ciemno, niewielki otwór w stropie przepuszczał znikomą ilość światła. Panowała absolutna cisza.

Nagle pieczarę rozjaśnił zielony błysk. Olbrzymia śluznia - Matka - zaczęła pulsować seledynowym światłem, najpierw blado, niepewnie, później coraz jaśniej. Wkrótce jej otoczenie dostosowało się do rytmu pulsacji, zdawało się, jakby rytmicznie biło zielone serce planety.

Z szybkością myśli wiadomość rozeszła się po świecie śluzowców. Wkrótce cała populacja glutów tętniącym światłem wyrażała ekstazę. Mieszkańcy gromadzili się w grupach, bulgocząc z radości. Planeta migotała tęczo.

Nikt nie zwrócił uwagi na okruch skalny, który pojawił się w okolicach małego, naturalnego satelity okrążającego ich planetę.

\* \* \*

Kiedy już odlatywali, Schwartz odetchnął z ulgą. To było tak proste, że aż śmieszne. Wszystko zadziało jak w zegarku, wszelkie czynności zostały wykonane przez roboty. Błyskawiczny odwiert otworu i umieszczenie w nim potężnego ładunku jądrowego przebiegło bez najmniejszych problemów. Schwartz obawiał się jakichś drobnych komplikacji, wówczas musiałby ubrać skafander i wyjść na zewnątrz. Praca w warunkach zerowej grawitacji do najprzyjemniejszych nie należała. Gdzieś w podświadomości istniał zakodowany strach przed odlotem w zimny wszechświat. Przerazał go widok jednostki macierzystej, powoli rozpływającej się w ciemności. Nie, nie mogliby mu w żaden sposób pomóc.

Śnił mu się często taki sen. On sam, w pustce spoglądającego na niego trylionem oczu wszechświata, olbrzymie, nie dające jednak ciepła słońce. I cisza. Przerazająca,

doskonała cisza. Stoję, czy się poruszam? Spadam, czy się wznoszę? Migotanie zielonego światełka - kończy się tlen. Jaką śmierć wybrać: powolne, hipnotyczne zasypianie, zakończone konwulsjami, a może gwałtowny, rozrywający lodowymi szponami płuca haust próżni? Wyciągał dłoń, wahając się, i wtedy nastąpiło przebudzenie.

- Schwartz. - Spokojny głos Brownstona przerwał ciszę. - Wszystko w porządku?

- Tak, majorze. - Spojrzał na trzy czerwone światełka. Śluzki były zamknięte.

Brownstone podszedł do Chi-Tai, spoglądającej na planetę, widoczną na ekranie.

- Musimy lecieć, odliczanie się zaczęło. Niech pani uruchomi napęd, tylko delikatnie, kapitanie.

- Tak jest, majorze. - Nagle jej oczy zaszyły łzami. - Tam też są rodziny, dzieci. Co my im zrobiliśmy?

- Część z nich, która będzie miała szczęście, zamieni się w kupkę zjonizowanej materii, reszta, która przeżyje, pomieszka przez jakiś czas w lodowym, pozbawionym słonecznego światła piekle - obrazowo wyjaśnił Schwartz. - Będą się męczyć, szukając pożywienia, wołać o pomoc, płakać, pytając dlaczego, a potem jeden po drugim...

- Schwartz! - krzyknął Brownstone, patrząc na pobladłą nagle twarz Chi-Tai. - Zamknij się.

- Ale.

- Zamknij się, powiedziałem! To rozkaz!

- Tak jest! - porucznik wyprężył się lekceważąco. Brownstone spojrzał na niego z niechęcią, po czym powiedział:

- Odlatujemy, pani kapitan. Natychmiast.

Kawałek kosmicznej skały uniósł się znad satelity, obierając kurs do punktu, w którym można było wykonać skok. Mieli nadzieję, że nikt nie dojrzy efektu

kilkusekundowego działania silników napędowych. Kiedy nabrali prędkości, Chi- Tai raz jeszcze obrzuciła spojrzeniem wskaźniki.

- Chyba się udało, nie widać żadnych niepokojących ruchów ze strony wroga - matowym głosem rzekła kapitan.

- No to teraz do domu - zatarł ręce Schwartz.

Chi-Tai pustym wzrokiem spoglądała w ekran. Z ledwością dostrzegła niewielki księżyc planety glutów, który wkrótce, dzięki potężnemu ładunkowi jądrowemu, miał skierować się na kurs kolizyjny z planetą. Wielkość satelity gwarantowała całkowitą zagładę gatunku. Pozbawione wsparcia macierzy statki i bazy obcych miały wkrótce stać się łatwym łupem dla ziemskich sił zbrojnych.

- Co teraz z wami będzie? - wyszeptała.

„A na pohybel skurwysynom” - pomyślał Schwartz, jednak patrząc na minę majora nie zdecydował się tego powiedzieć na głos.

Brownstone podszedł do Chi-Tai, objął ją ramieniem i powiedział:

- Niech Bóg ma ich w swojej opiece.

\* \* \*

Żółty śluzowiec migotał coraz słabiej. Tłumom, odwiedzającym Nowy Jork najwyraźniej to nie przeszkadzało. Nie mogli wiedzieć, że każdy błysk gluta oznaczał wypuszczenie do atmosfery miliardów bakterii. Bakterii, która była zupełnie inna od tych, jakie znali mieszkańcy Ziemi. Miała długi, kilkutygodniowy czas rozwoju, podczas którego zarażona osoba nie obserwowała u siebie żadnych niepokojących objawów. Co najgorsze, przenosiła się z nosiciela na nosiciela z zadziwiającą łatwością. W przeludnionym świecie, w którym mieszkańcy co chwilę zmieniali miejsce pobytu i często gromadzili się w większych skupiskach - czy to w sklepach, stadionach, czy też na lotniskach i kosmodromach - bakteria czuła się jak w raju. Najtragiczniejsze w skutkach miało okazać się to, że nie było na nią żadnego antidotum.

Długi czas bezobjawowego rozwoju i bardzo wysoka zaraźliwość spowodowały, że zanim się zorientowano, nosicielami było już około dwudziestu procent ludzkości. A to mogło oznaczać tylko jedno.

Zagładę.

Ale tego galaretowaty stwór już nie doczekał. Wypuściwszy ostatnią serię zarazków, lekko zapadł się w sobie. W jego zwojach nerwowych pojawiła się myśl zupełnie niepodobna do poglądów jego gatunku. Przecież Najwyższy obiecał im ten świat, dlaczegoż więc miałby współczuć tym karykaturalnym istotom? A jednak, obserwując pojawiające się przed nim miliony stworzeń, gdzieś w czeluściach jego świadomości przemknęło dziwne, nieznane mu wcześniej uczucie. Tuż przed śmiercią wysłał ku owym stworzeniom zdanie, które nagle pojawiło się w jego umyśle.

„Niech Najwyższy ma was w swojej opiece”.

\* \* \*

W klasie panowała wyjątkowa cisza. Wszyscy spoglądali na małego, pociągającego nosem chłopca. Ze współczuciem obserwowali trzęsące się ze zdenerwowania drobne ręce, trzymające małą, szklaną kulę.

- Najprostsze zadanie. - Nauczyciel, splótnszy z tyłu dłonie, wędrował nerwowo po klasie. - Najprostsze zadanie, a ty nie potrafisz sobie poradzić. Powiedz mi, czy to naprawdę takie trudne? Spójrz na Sziwę.

Klasowy prymus dumnie wyprężył pierś. „Głupi lizus” - pomyślał chłopiec.

- Spójrz na jego galaktykę. Trzydzieści cywilizacji, współdziałających ramię w ramię. I właśnie razem próbują zbudować statek międzygalaktyczny. A twoja?

Chłopiec żałośnie spoglądał na szklaną kulę. Mimo najszczerzych pragnień, nie było w niej śladów życia.

- Dwie cywilizacje, w dodatku na krańcach galaktyki, by nie weszły sobie w drogę za wcześniej - kontynuował monolog wychowawca. - I co?

- Ja. - Chłopiec pociągnął nosem. - Ja. Nie wiem dlaczego. Ja zrobiłem, co

mogłem, wysłałem nawet jednym i drugim mesjasza, i oni. I wydawało mi się, że zrozumieli, że się uczą.

- Wydawało ci się, tak? - Nauczyciel stanął nad uczniem. - A mówiłem, że próbki trzeba pilnować cały czas, a ty pewnie nic, tylko gry i zabawy. Tak było, prawda?

Chłopiec rozplakał się. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę, ocierając łzy i głośno wysmarkał nos.

- A jak się preparatu nie dopilnuje, to wtedy tak się właśnie kończy! - Nauczyciel był wyraźnie rozgniewany. - Przykro mi, Bóg. Ocena niedostateczna!

## Śmierć Małego Księcia

Wpatrywał się w nią długo, namiętnie. Zachwycony, podziwiał delikatność i piękno płatków, przeniknięte drżeniem drobne, zielone listki i smukłą łodygę. Rozchylony, czerwony kielich niósł obietnicę pożądania, romantyzmu przeplecionego odrobiną perwersji. Zdawała się lekka niby poranna mgła, skrząca się w słońcu ulotnością, szeptała słowa, które przenikały duszę, obiecywały, kusiły i prowokowały.

Nieśmiało dotknął jej jedwabistych liści. Odpowiedziała zapachem, który spowodował, że świat zawirował niby karuzela nieziemskiej rozkoszy. Całując delikatne płatki spijał z nich krople rosy niby nektar Olimpu. Dookoła nie było nic, nie istniało "tam" - na zewnątrz. Istnieli tylko oni, kochankowie zapętleni w dziwnej, euforycznej miłości, tak różni a jednocześnie tak jednakowi, naznaczeni stygmatem nieskończoności.

Pieścił jej wiotką łodygę, a róża bawiła się z nim, muskając listkami jego dłonie. Pochylał się ku niej, szeptał, zamykając oczy, narkotyzując się kompozycją delikatnych pieścot i prowokującego zapachu, niosącego w sobie echo rajskich rozkoszy. Krew pulsowała w skroniach, serce pukało do bram wszechświata, wszechświata, który zapadał się w sobie w gigantycznym kolapsie, po chwili eksplodując w orgii rozkoszy, nasączając uczuciem każdą komórkę, przenikając ciało miłosnymi neutrinami.

Zamroczony uczuciem nie poczuł, że jeden z kolców niespodziewanie przeciął skórę i tętnicę. Ból uzupełniał rozkosz, stał się częścią małego, otaczającego ich świata. Swoją słabość tłumaczył odurzeniem, narkotyczną wizją miłości. Oddawała mu całą siebie, chłonał ją niby piaski pustyni deszczowe łzy. Nie zauważył, że płatki robią się coraz bardziej szkarłatne, przesiąkają tętniczną krwią. Rozkwitała, karmiąc się jego cierpieniem.

Ręce nie mogły już pieścić delikatnych płatków, wzrok nie potrafił skupić się na jej

pięknie. Atomy karmazynowej mgły zawirowały w opętańczym tańcu, wysysając resztki oddechu z słabnącej piersi. Z trudem podniósł dłoń, niedowierzająco wpatrując się w szkarłat, ściekający po bladych palcach. Chciał krzyknąć, błagać, ale był w stanie jedynie wpatrywać się w ukochaną. A ona, pijąc jego krew, rozkwitała niby władczyni rozkoszy, ofiarowała mu swój najpiękniejszy aromat, lśniła w erotycznym blasku nie zdając sobie sprawy, że kochanek umiera.

Po raz ostatni przytulił ją mocno, wpił się ustami w rozkoszny kielich chcąc zapamiętać jej smak na wieczność, wciągnął głęboko zapach, by towarzyszył mu w wędrówce przez niebyt. Zrosił zielone listki lśniącymi perliście łzami, po raz ostatni pocałował ją, wraz z gorącym, namiętym oddechem szepcząc czule "kocham cię.."

A ona, wsłuchana w jego ostatnie tchnienie i nakarmiona krwią, eksplodowała rozkoszą, zadziwiając wszechświat swoim nieskończonym pięknem.

## Operacja „Armageddon

Metaliczny stukot młotów odbijał się echem w opustoszałych ulicach dookoła rynku. Centralną płytę placu pokrywał ceglany pył. Nieliczni jeszcze o tak wczesnej porze przechodnie obojętnie mijali pracujących robotników. Kilku tylko stanęło, machinalnie przyglądając się ciężarówkom wiozącym gruz. Z burzonego kościoła pozostały tylko sterty cegieł, które rozkuwano i wywożono. Firma budowlana spieszyła się - za miesiąc miała rozpocząć się w tym miejscu budowa kolejnego marketu.

Jeszcze niedawno place rozbiórki na całym świecie musiały być otoczone przez brygady ochroniarzy. Szczególnie drastyczne formy przybierały protesty w zapyziałej Polsce. Robotników wyszydzano, obrzucano wyzwiskami i kamieniami, skazywano na męki piekielne, smażenie we wrzącej smole i wszelakie inne diabelskie rozkosze. Tłumy sfanatyzowanych ludzi, nie bacząc na przekaz Ekranu, na wszelkie sposoby starały się nie dopuścić do wyburzania. Do ich przeżartych ideologiami mózgów nie docierało to, co zobaczyli. Dziesiątki tysięcy staruszek w moherowych beretach bezustannie modliło się przed świątyniami, co dzień trzeba było usuwać je niemalże siłą.

Jednak powtarzany bez końca obraz z Ekranu powoli zrobił swoje. Tłumy protestujących powoli zmniejszały się, by w końcu zamienić się w małe grupki niereformowalnych typów. I te ostatecznie zniknęły. Protesty wygasły same, co zaskoczyło nawet największych optymistów. Oczekiwano bowiem, że zamieszki mogą potrwać nawet rok, zwłaszcza w krajach, gdzie chrześcijaństwo pojmowane było w ów szczególny prymitywno-fanatyczny sposób.

A potem zapanowała obojętność. W świecie, który nastał, wielu ludzi nie potrafiło zupełnie się odnaleźć. Pojawiła się pustka, zniknęły gdzieś cele, wartości, zatracił się sens egzystencji. Po początkowym szoku nastąpił okres buntu, potem niedowierzania, a potem cały chrześcijański świat ogarnęła apatia.



\* \* \*

Staruszka nieruchomo siedziała na fotelu. Na stoliku, obok szklanki z herbatą i kilku opakowań tabletek, stało małe, tranzystorowe radio. Wskazówka ustawiona była od lat w tym samym miejscu, jednakże dziś od rana jej ulubiona radiostacja nie nadawała. Pusty wzrok kobiety utkwiony był w nieokreślonym punkcie. Nie zwracała uwagi na wnuka, który zabawiał się, zbierając z podłogi paciorki z rozerwanego różańca. W rogu pokoju leżał na ziemi mały, srebrny krzyżyk. Ciało Chrystusa pokrywał kurz.

Program, która dziś nadawała stacja radiowa, miał charakter publicystyczny. Na bieżąco komentowano i opisywano to, co pokazał Ekran. Bardzo ważni goście wyrażali swoje opinie, dyskutowali zawzięcie, prognozowali przyszłość. Wszyscy byli zgodni - było to zdarzenie bez precedensu w dziejach ludzkości.

- Panie Fizyku, wszyscy już mniej więcej orientujemy się, jak działa Ekran. Czy mógłby pan przybliżyć nam jeszcze parę szczegółów? - Prowadząca audycję spikerka za wszelką cenę starała się udawać osobę kompetentną, co nieszczęśliwie jej wychodziło.

- No cóż. - Głos Fizyka był ciepły, matowy, niemal usypiający. - Zaczniemy od tego, że wszystko zaczęło się w momencie odkrycia nadprzestrzeni Smitha. Ujmując to prostymi słowami, odkryto możliwość przenoszenia się z każdego punktu wszechświata w dowolny inny punkt w ułamku sekundy.

- Pojawiły się opinie, że przekroczyliście w ten sposób prędkość światła.

- Niezupełnie tak - zachnął się fizyk. - Rzeczywiście, może to tak wyglądać, jednak polega to po prostu na znalezieniu skrótu między dwoma punktami.

Wyobraźmy sobie dwa punkty przeciwstawne na przykład na jabłku. Robak pełzający po powierzchni znajdzie się w punkcie końcowym znacznie później niż robak, poruszający się z taką samą prędkością, ale przegryzający się przez środek jabłka. Prędkość światła jest oczywiście niezmienna, ale my - znaleźliśmy skrót.

- Kto wpadł na pomysł Ekranu?

- Koncepcja pojawiła się już dawno, istniało jednak wiele przeszkód natury technicznej. Trzeba było opracować metodę transmisji danych przez nadprzestrzeń Smitha, zbudować odbiornik o odpowiedniej, niewyobrażalnej jeszcze niedawno czułości, no i - umieścić go w odpowiedniej odległości, co było chyba najtrudniejszą częścią. Wspomnę tylko, że obliczenia odpowiedniej pozycji trwały ponad rok.

- Idea była prosta, wręcz banalna. - Głos Fizyka ożywił się nieco. - Kiedy spoglądamy w niebo, widzimy gwiazdy w stanie nie takim, jakim są obecnie, ale takim, jakie były w momencie kiedy ich światło wędrowało do nas. Jeśli gwiazda jest odległa od Ziemi dziesięć lat świetlnych, widzimy jej obraz sprzed dziesięciu lat, jeśli sto lat świetlnych - widzimy jej obraz sprzed stu lat i tak dalej. Gdybyśmy mogli więc teraz umieścić bardzo silny teleskop dwa tysiące lat świetlnych od Ziemi, obejrzelibyśmy naszą planetę w stanie takim, jakim była dwa tysiące lat temu. Oczywiście, dawniej było to niemożliwe, statek kosmiczny wynoszący teleskop w klasycznej przestrzeni mógłby się poruszać maksymalnie z prędkością światła. Podróż w tak odległy punkt zajęłaby więc kolejne dwa tysiące lat, drugie tyle przesłanie obrazu na Ziemię. Całe przedsięwzięcie byłoby więc pozbawione sensu. Obecnie zarówno wyniesienie superczułego teleskopu w odpowiednie miejsce, jak i transmisja obrazu przez nadprzestrzeń Smitha i pokazanie go na Ekranie zajmuje na tyle mało czasu, że całe przedsięwzięcie miało szansę zakończyć się powodzeniem.

- No i się udało. - Spikerka sprawiała wrażenie nieco zdezorientowanej. -

Nieprzypadkowo podał pan liczbę dwóch tysięcy lat.

- A to już zasługa historyków - uśmiechnął się Fizyk.

- No właśnie, wybór był chyba oczywisty?

- Nie mieliśmy wątpliwości. Poprosiliśmy o skierowanie obiektywu na Palestynę w latach trzydziestych naszego wieku. Postać Jezusa z Nazaretu była natchnieniem i

inspiracją dla miliardów ludzi. - Historyk niemalże szeptał. - Muszę przyznać, że choć zarówno my, jak i wybitni znawcy Biblii od dawna mieliśmy inne zdanie na temat Chrystusa niż powszechnie znane i prezentowane przez różnego rodzaju sekty i religie, to jednak to, co ujrzelśmy na Ekranie, zaskoczyło nas w znacznie większym stopniu niż się spodziewaliśmy.

- Jezus z syna Bożego zredukowany do roli lokalnego watażki, hasającego z mieczem i przygotowującego rebelię, Jezus jako mąż Magdaleny.

- Te fakty przebijały się przez Ewangelie kanoniczne, można je było także odnaleźć w Ewangeliach apokryficznych, które nie weszły w skład Pisma Świętego. Spodziewaliśmy się jednak ujrzeć coś, co byłoby przesłanką do wyjątkowości Jezusa już nie jako syna Bożego, ale zwykłego człowieka. Chcieliśmy zobaczyć cuda, kazania, uzdrawianie. Tymczasem ujrzelśmy człowieka uzbrojonego i walczącego. Wszelkie cuda okazały się, tak jak przypuszczaliśmy, tylko literacką fikcją. Niestety, nie mogliśmy usłyszeć żadnych przemówień, jednak obraz był wystarczająco sugestywny, mimo iż ze względu na obrót Ziemi transmisja trwała niecałe dwie godziny dziennie.

- Właśnie, panie Fizyku, dlaczego tylko zobaczyliśmy?

- Niestety, fale dźwiękowe są zdecydowanie zbyt słabe nawet dla najczulszych urządzeń. Nie ma i chyba nie będzie urządzeń pozwalających rejestrować dźwięk na taką odległość.

- Pani Generale - prowadząca zwróciła się do trzeciego gościa - czy transmisja na żywo była błędem?

- Pani redaktor. - Tubalny, stanowczy głos generała tchnął pewnością siebie. - Od początku służby wojskowe były temu przeciwnie. Wiedzieliśmy - i nie pomyliliśmy się - że spowoduje to wybuch niepokojów społecznych na olbrzymią skalę.

- Co zatem pańskim zdaniem należało uczynić?

- To, co się przeważnie robi w takich przypadkach. Obejrzeć, ocenić, wyciąć co niepotrzebne lub szkodliwe. A najlepiej zachować w wąskim gronie specjalistów. Masy potrzebują chleba i igrzysk, prawda wprowadza tylko zamieszanie. Zwłaszcza taka prawda.

- Panie Generale, za tydzień obejrzymy transmisję na żywo z życia Mahometa. Co pan o tym sądzi?

- Fakty mówią same za siebie. Arabowie już zapowiedzieli że do tego nie dopuszczą. Znając ich mentalność - skończyć się to może wojną. Już zaobserwowaliśmy koncentrację wojsk na granicy z Izraelem i Turcją. Jedyne co ich powstrzymuje to nasza przewaga technologiczna. Co jednak się stanie, kiedy obejrzymy żywot Mahometa?? Tego nie wie nikt.

- Ekran pokazuje jedynie prawdę historyczną. Dlaczego więc wojna??

- Pani redaktor. Komu potrzebna jest taka prawda? Ludziom? Odbieramy im marzenia, wiarę. Rządzącym? Tracą władzę nad motłochem. Kapłanom? Tracą wiernych, dochody i szacunek. Uważam, że z punktu widzenia socjologii było to posunięcie niewłaściwe. A co do wojny. Pani redaktor, na szczęście mamy zbyt dużą przewagę technologii by się przejmować - Generał podniecał się coraz bardziej.

- Czy pani wie, że w dziewięćdziesiątym pierwszym roku w Zatoce Perskiej straty wroga w ciągu trzech dni ofensywy wyniosły ponad sto tysięcy ludzi, podczas gdy koalicja straciła kilkudziesięciu żołnierzy? A przecież teraz mamy nieporównywalnie lepszy sprzęt niż wtedy, podczas gdy oni stanęli w miejscu. Wojna zapewne wybuchnie - ale ich zmiażdżymy. Jedyne zagrożenie to ich fanatycy, możemy się spodziewać kilku - kilkunastu tysięcy ofiar zamachów. Ale wygramy - nie ma wątpliwości!

- Jasiu, nie przeszkadzaj babci! - Ostry głos kobiety zagłuszył audycję. Mały

chłopczyk niechętnie podniósł się, wyciągnął w kierunku staruszki rękę pełną zebranych paciorków. Stał przez chwilę, spoglądając na zasuszoną, nieruchomą twarz, po czym położył zebrane koraliki na stole obok lekarstw i pobiegł do kuchni.

Radio grało dalej.

\* \* \*

Ubrany w białą, powłóczystą szatę brodaty mężczyzna w turbanie podniósł się z klęczek, wytrzepał i schował modlitewny dywanik. Ogorzałą twarz szpeciło kilka blizn, nieruchome spojrzenie nadal skierowane było w stronę Mekki. „Już niedługo” - pomyślał. Nadszedł czas, by słudzy Szatana zapłacili za swoje grzechy.

Niewierni zawsze traktowali naród Allaha jak niedouczoną hołotę. Panoszyli się po jego kraju i po ziemiach sąsiadów. Używali czołgów, helikopterów, samolotów by zabijać jego braci i siostry. Wszystko to nazywali obłudnie „misją pokojową”. Pod płaszczykiem niesienia pomocy eksterminowali takich jak on obrońców ojczyzny, walczących o niepodległość. Ciekawe, czy byliby tak skorzy do ingerencji gdyby ten region nie był zasobny w ropę. Ale oprócz ropy mamy dla was, niewierne psy, coś jeszcze.

Wargi mężczyzny wykrzywił pełen pogardy uśmiech. Słudzy Szatana przygotowali kolejną prowokację, najohydniejszą z możliwych. Ten ich wynalazek, ten Ekran. Najpierw zakpili sobie w oczach całego świata z Jezusa, syna Marii, a teraz zamierzali splunąć w twarz największemu z proroków - Mahometowi. Żaden wojownik Allaha nie mógł puścić płazem takiego świętokradztwa. Tysiące ochotników było przygotowanych na męczeńską śmierć.

Spojrzał przed siebie. Kilkaset czołgów powoli zmierzało w stronę granicy z Turcją. Za nimi, liczne niczym mrówki, posuwały się transportery i wozy zaopatrzenia. Nie było żadnych problemów z ludźmi, liczba ochotników gotowych walczyć i zniszczyć gniazdo Szatana i jego dzieci mierzona była w setkach tysięcy.

Wielu z nich wyleciało już do większych miast Europy i Ameryki by tam przygotować

i wykonać swoje samobójcze misje.

Przygotujemy wam piekło, o jakim nawet nie śniliście. Poznacie ból, jakiego nie jesteście sobie w stanie wyobrazić.

Dość upokorzeń. Umierajcie w cierpieniu.

\*

\* \*

Dwójka mężczyzn, siedzących przy stoliku pochłonięta była rozmową. Byli jedynymi klientami lokalu. Ubrani w nienagannie skrojone garnitury roztaczali wokół siebie zapach luksusowych wód kolońskich. Na palcu jednego z nich, posiwiąłego już mężczyzny błyszczała okazała złota sygneta z dużym, czerwonym kamieniem. Kelner w czarnym fraku nalał wina do kieliszków i zebrał talerze. Starszy mężczyzna obejrzał się, z uznaniem oceniając jego sylwetkę. „Gdyby jeszcze był młodszy” - pomyślał.

Drugi z mężczyzn pociągnął łyk doskonałego Bordeaux.

- Mimo wszystko, szkoda że to koniec, Eminencjo...

- Panie kolego - zachnął się starszy z mężczyzn - już ustaliliśmy, że wszelkie emincje i inne tytuły odchodzą w niebyt. Wielu ludzi jest na nas zbyt wściekłych za te setki lat oszustw, nie możemy się ujawniać. Im prędzej o tym zapomnimy, tym lepiej.

Młodszy powoli ściągnął okulary, niespiesznie przetarł ją irchową szmatką.

- A zatem... Emi... Panie Albercie...

- Śmiało, śmiało - uśmiechnął się były biskup - teraz jesteśmy sobie równi.

- Dziwnie tak.

- Panie Włodzimierzu - uśmiech nie schodził z ust starszego z mężczyzn. - Niech mi pan powie. Po co tak naprawdę poszedł pan do seminarium?

- No. najpierw to było chyba powołanie - zawahał się. - Jednak potem, kiedy zobaczyłem to wszystko .

- Ech.. powołanie, wiara. jakież puste i naiwne to słowa. Wie pan co? Też byłem tym przepojony, do czasu kiedy nie wczytałem się w Pismo. I tam zauważyłem obłudę

Kościola. Każdą, nawet największą sprzeczność potrafili wytłumaczyć w jedyny słuszny sposób. A że brak w tym logiki? Masom można wcisnąć każdy kit. Gdyby na którymś soborze ustalono, że Jezus wjechał do Jerozolimy na słoniu pomalowanym na zielono w różowe ciapki, natychmiast pojawiłyby się święte obrazki przedstawiające ten fakt, a bibliści wyszukaliby w Piśmie setki argumentów potwierdzających, że tak właśnie było.

- I to mówi były biskup? - Na twarzy drugiego z mężczyzn również pojawił się uśmiech. - Wobec tego, co pana skłoniło do wstąpienia w szeregi kapłanów?

- Właśnie to. - Albert powoli obracał na palcu złoty sygnet. - No i. to też - spojrzał jeszcze raz na przechodzącego obok kelnera.

- A słyszał pan o Dominiku? Naszym proboszczu?

- Ten który ponoć zwariował? Coś mi się obiło o uszy, ale.

- Smutna historia. To jeden z tych nielicznych, który naprawdę wierzył. Ubóstwo, celibat, poświęcenie. W sumie bardzo miły gość. Kiedy zobaczył, że wszystko, w co wierzył, było kłamstwem, starał się odzyskać życie które stracił. Alkohol, dziwki, ponoć nawet narkotyki. W jego wieku nie trzeba było długo czekać. Po kilku dniach wylądował w gustownym kaftaniku.

- Smutne - Albert pokiwał w zadumie głową. - Można było to przekazać w jakiś mniej szokujący sposób. A tak.

- A tak musimy się ukrywać. - Włodzimierz wyjął z portfela kilka banknotów.

- Wyjeżdża pan?

- Tak, trochę odłożyłem i zamierzam kupić małą chatkę na Islandii. - Starszy z mężczyzn wstał, nałożył palto. - Jeśli to prawda, że jutro pokażą życie Mahometa, chcę być jak najdalej od miejsc potencjalnego ataku. A pan?

- Zaryzykuję chyba. Dziś wieczorem wylatuję do Ameryki. Nie wiem czy robię słusznie ale. - zawahał się - ale sądzę że nie zaatakują.

\* \* \*

Pomieszczenie było niewielkie i skąpo wyposażone. Stół, cztery krzesła i puste ściany. Z sufitu smętnie zwisała goła żarówka, bladym światłem rozjaśniając ciemności. Pomieszczenie nie miało okien - znajdowało się kilkadziesiąt metrów pod ziemią. Skromne wyposażenie miało pokazać, że w pokoju nie zainstalowano podsłuchu. Pomieszczenie służyło bowiem do prowadzenia najtajniejszych rozmów i negocjacji. Politycy, biznesmeni, agenci często skłóconych wywiadów - tutaj mogli spokojnie porozmawiać.

W pokoju przebywały aktualnie cztery osoby. Cztery osoby, które miały największy wpływ na losy świata. I które właśnie zamierzały ten fakt wykorzystać.

Prezydent był potężnym mężczyzną. Włosy przyprószyła mu już siwizna, jednak ogorzała twarz miała niewiele zmarszczek. Ubrany był w dobrze skrojony, ciemny garnitur. Jako jedyna osoba w pomieszczeniu stał, spoglądając kolejno na twarze gości. Podsekretarz, Ambasador i Głównodowodzący milczeli. Zdawali sobie sprawę z wagi chwili, która właśnie nadeszła.

- Witam panowie. - Głos Prezydenta zdawał się jakby wytłumiony. - Zwołałem to zebranie by ogłosić wam, że operacja „Armagedon” wkroczyła w fazę ostateczną. Każdy z was miał do wykonania zadanie. Oczekuję sprawozdań, panowie.

Ubrany w zgniłozielony mundur z dziesiątkami baretek na piersi Głównodowodzący zabrał głos jako pierwszy:

- Panie Prezydencie, wojska w stanie najwyższej gotowości bojowej, zapasy amunicji, paliwa i żywności uzupełnione. Jesteśmy gotowi do wykonania zadania!

- Panie Podsekretarzu?

Łysiejący, niski okularnik sprawiał wrażenie wiecznie roztargnionego profesora. W rzeczywistości jednak był to jeden z najtęższych umysłów jakie znał Prezydent. Jego zdolności analizy wydarzeń i wyciągania wniosków zapewniły mu zajmowane obecnie stanowisko



- Wszystko przygotowane, tym razem nie będzie żadnej wpadki.
- Wpadki? - Prezydent spojrzał podejrzliwie na Podsekretarza. - Była jakaś wpadka?

Podsekretarz powoli ściągnął okulary, wyciągnął z kieszeni irchową ściereczkę i przecierając szkła odpowiedział:

- Prawie. Wszystko było przygotowane jak należy. Wysłaliśmy teleskop, ogłosiliśmy odkrycie nadprzestrzeni Smitha, nakręciliśmy film o Jezusie, pozbyliśmy się statystów. Wszystko zadziało. Tylko jeden znawca historii, jakiś profesorek, zaczął kręcić nosem i twierdzić jakoby sandały jednego z apostołów, bodajże Jana, noszone były dopiero od drugiego wieku po Chrystusie. Na szczęście zdusiliśmy problem w zarodku.

- Panie Podsekretarzu.

- To już się nie zdarzy. - Przerywanie Prezydentowi nie należało do rzeczy bezpiecznych, niewiele osób mogło sobie na to pozwolić. - Zapewniam, że w filmie o Mahomecie nie znajdzie się żaden błąd. Dopilnowaliśmy każdego szczegółu.

Prezydent zmrzął oczy, milczał chwilę, trawiając otrzymaną informację, po czym spojrzawszy na potężnie zbudowanego, łysego mężczyznę i zapytał:

- Pan też ma jakieś niespodzianki w zanadrzu, Ambasadorze?
- Nie, panie Prezydencie. Nasi agenci wykonali wzorowo wszystkie zadania.
- Azja?
- Pakistan i Indie na skraju konfliktu nuklearnego, setki tysięcy albo nawet miliony ochotników arabskich na granicy z Turcją i Izraelem, Japonia w konflikcie z Koreą i Chinami, wojna domowa w Indonezji.
- Afryka?

Ambasador uśmiechnął się.

- No tak, tam zawsze był jeden wielki kocioł. Ameryka Południowa?

- Urugwaj w konflikcie dyplomatycznym z Paragwajem, we wszystko miesza się Argentyna. Chile, Boliwia i Peru znów chcą walczyć o pola saletry. W Wenezueli rewolucja. Ameryka Środkowa wrze.

- Europa?

- Tu było najciężej, ale udało się. Anglia skłócona z Francją, Bałkany prawie w stanie wojny, podobnie jak Turcja z Grecją. Poza tym Arabowie na granicy.

- Stany?

- A Stanów, panie Prezydencie, to już większość krajów nie lubi, z czego część zamierza to udowodnić. Potrzeba tylko iskry, a ten świat wybuchnie.

Prezydent spojrział jeszcze raz na zebranych. W miarę jak na jego twarzy pojawiał się pełen okrucieństwa uśmiech, ich twarze pokrywały się bledością. Wiedzieli, co się zaraz stanie i choć widzieli to już parę razy i mieli świadomość, że są bezpieczni, niezmiennie ogarniał ich strach.

Sylwetka Prezydenta rosła. Miał już dwa metry, dwa i pół, trzy. Strzępy garnituru opadły na ziemię, odsłaniając pokryte brązowym włosiem ciało. Wykrzywiona diabelskim uśmiechem twarz pokryła się drobnymi łuskami, oczy zrobiły się żółte. W wydłużonej paszczy widać było kły, na głowie pojawiły się dwa ciemnoczerwone rogi. Długi, zakończony kolcem ogon poruszał się nerwowo raz w jedną, raz w drugą stronę. Śmierdziało siarką.

- A zatem teraz ja, prawowity władca tej planety, odzyskam swoją władzę! Już jutro ta ziemia zapłonie, zapłonie ogniem i spłynie krwią niewinnych. Brat wystąpi przeciwko bratu, ojciec przeciw synowi, matka przeciw córce! Już jutro urzeczywistni się moje marzenie, nad którym pracowałem setki lat! Niech się morduj ą, wyżynaj ą, niech idą i walczą w imię prawdziwego Boga, w moje imię, w imię Lucyfera! A kiedy skończą, kiedy z rozpaczą spojrzą na swe dzieło, na zniszczone domy, na trupy ojców, matek, braci i sióstr, kiedy zapytają „Cóż uczyniliśmy?”, wówczas ja przyniosę im

światło i ujrzą prawdziwego Boga, władcę tej Ziemi!

Śmiech, który wypełnił pomieszczenie, tchnął okrucieństwem i nienawiścią, wibrował od przemocy, zwiastował niewyobrażalną katastrofę.

Błede twarze uczestników zebrania pokryte były potem.

\* \* \*

Wszędzie, jak okiem sięgnąć, widać było dymy i zgliszcza. Miasta, wsie, osady, gdzie jeszcze niedawno tętniło życie, zamieniono w ruiny. Pola, niedawno porośnięte zbożem, teraz zryto gąsienicami czołgów. Gdzieś stał zniszczony wrak, co chwilę można się było natknąć na leje po bombach. Słysząc było tylko krakanie. Setki, tysiące kruków ucztowało.

Ci, którzy przeżyli, starali się jakoś odbudować swój świat. Gromadzili się po kilka, kilkanaście rodzin, pogrążeni w rozpacz, desperacko starając się przetrwać. Wydawało się, że połączeni tragedią ludzie zaczną sobie pomagać. I tak rzeczywiście było.

Na początku.

A potem - jak to zwykle bywa - pojawiły się niesnaski. Ten miał za dużo żywności, tamten chodził lepiej ubrany. Ten zapewne kradł, tamten oszukiwał. Nie bacząc na to, że tylko grupa miała szansę przetrwać w zniszczonym świecie, ludzie zaczęli oddalać się od siebie. Nie mogąc koegzystować, zaczęli kombinować i kraść. Niezmienną natury ludzkiej zwyciężała z instynktem przetrwania.

Nowy władca obejmował swoje posiadłości.

\* \* \*

Ta chata przetrwała jako jedyna. Wśród zgliszczy i trupów sprawiała wrażenie, jakby była elementem z innego świata. Mimo, że większość szyb zastąpiona była deskami, można było zauważyć, że mieszkańcy dbają o swoją małą posiadłość. Studnia, znajdująca się obok, dawała świeżą wodę. Z komina unosił się dym. W przydomowym ogródku pojawiały się zielone kiełki.

Na podwórku przed wejściem bawiło się troje dzieci. Żadne z nich nie miało więcej niż dziesięć lat. Ubrane w łachmany, umorusane, głodne - chwyciły się za ręce i tańczyły, obiegając w koło rosnącą stokrotkę. Słysząc było radosne słowa dziecięcej piosenki.

Na skraju lasu obserwował tę scenę mężczyzna. Wysoki i szczupły, ubrany był tylko w workową sukmanę i sandały. Nosił długie włosy i gęsty zarost na twarzy. I choć jego oczy płakały, uśmiechał się. Długo patrzył na bawiące się dzieci, po czym podpierając się drewnianym kosturem poszedł dalej. Nikt nie mógł usłyszeć jego szeptu.

- Nie traćcie nadziei.

## **Ciurrry!**

- Bryg na horyzoncie! - Krzyk z bocianiego gniazda poderwał tę część załogi, która akurat nie była pijana. Nieliczni spojrzeli w górę, skąd dobiegł okrzyk. Zarośnięty, ledwie trzymający się masztu mężczyzna, znajdujący się kilkanaście metrów powyżej wskazywał ręką dokładnie na zachód.

- A niech mnie sam kapitan Kidd kopnie między pośladki, mamy farta - zarechotał bosman i zachrypniętym głosem krzyknął:

- Obudzić kapitana!

Rozkaz wykonano aż nazbyt pospiesznie pamiętając, że ostatni, który nie dość szybko wykonał polecenie ucieszył co prawda kilka stworzeń, tak się jednak nieszczęśliwie złożyło, że były to rekiny.

Już po chwili kapitan pojawił się na pokładzie, przecierając zaspane oczy. Bosman usłużnie podał mu lunetę. Uważnie zlustrował pokład brygu, a jego usta najpierw wykrzywiły się w grymasie pogardy, by po chwili pokryć się śliną.

- Ależ rarytas! - zamlaskał, spoglądając na kobietę, siedzącą na tylnym pokładzie. Bosman doskonale wiedział, co miał na myśli dowódca, mówiąc te słowa. Usiłował zaprotestować:

- Kapitanie, odpuśćmy, kobieta na statku zawsze zwiastuje nieszczęście.

- Czegóż się obawiasz, głupcze - machnął ręką kapitan. - Spójrz, samotna gaska na pokładzie, a dookoła niej same ciury.

- Ciurrrry! - potwierdziła zdanie kapitana olbrzymia, różnokolorowa papuga, która sfrunęła z rei i przysiadła na ramieniu dowódcy. Tenże uważał się za pełnokrwistego pirata, jednakże nie miał ani przepaski na oku, ani haka przytwierdzonego do ręki, ani tym bardziej drewnianej protezy. Nie był jednakże z tego powodu szczególnie niezadowolony. Jako obowiązkowy atrybut piracki sprawił sobie tylko trójgraniasty kapeluszek i kupił na arabskim suku gadającą arę.

- Niepokoi mnie to - nieszczęśliwym głosem odparł bosman. Kapitan już miał

posłać podwładnego do wszystkich diabłów, kiedy nagle, zaintrygowany krzykiem majtka w bocianim gnieździe spojrzął w górę i zaklął.

- Bosman, taka twoja mać! Gdzie jesteście!

- Już patrzę - usłużnie odrzekł podwładny, po czym błyskawicznie przyniósł mapy. - Dwadzieścia mil od Recife, kapitanie! - odpowiedział po chwili.

- A Recife należy do..? - z wściekłością w głosie odrzekł kapitan.

- Obecnie. Eeee.. Do Hiszpanii.

- A jaką flagę mamy na maszcie?

- O żesz kur. - Mewa, która usiadła na rei, miała kolor identyczny z pobladłym nagle obliczem bosmana. Już po chwili, popędzeni kopniakami i inwektywami piraci ściągnęli flagę brytyjską i wciągnęli na maszt hiszpańską.

- A teraz podpływamy. Słuchajcie uważnie! Nie wyciągamy dział, nie krzyczymy, nie atakujemy, dopóki nie powiem. Podpływamy burta w burtę, abordaż i przejmujemy bryg. Po wszystkim podwójna porcja rumu i. - kapitan zawiesił głos - panienka do waszej dyspozycji!

Chóralny krzyk zagłuszył cicho wypowiedziane słowa kapitana:

- Ale najpierw przez kilka godzin ja ją przesłucham.

\* \* \*

Podpłynęli błyskawicznie, zauważywszy, iż kobieta w sukience wystawiła twarz ku słońcu, a po pokładzie kręciło się kilku chudzielców. Marynarz, znajdujący się na orlim gnieździe brygu, pomachał im przyjaźnie ręką.

- A nie mówiłem? - zaśmiał się kapitan pirackiego okrętu. - Same patałachy.

- Ciurrrry! - zaskrzeczała kolorowa papuga, siedząc na rei.

- Ot, mądre ptaszysko. Machamy, do cholery, machamy i uśmiechamy się! - krzyknął i jego twarz rozjaśniła się, niczym słońce w południe na Saharze.

Kiedy podpłynęli niemalże burta w burtę, prawie wszyscy piraci podeszli do boku statku. Machali zawzięcie i uśmiechali się, kiedy nagle usłyszeli upragnione:

- Naprzód!

Sytuacja zmieniła się w jednej chwili. Kilkudziesięciu piratów znalazło się na pokładzie hiszpańskiego brygu, jednakże ze zdziwieniem zauważyli, że nie napotkali żadnego oporu. Kilkunastu marynarzy posłusznie uniosło ręce w geście poddania.

Kapitan efektownym skokiem znalazł się na tylnym pokładzie. Stając przed kobietą, której policzki nagle się zaróżowiły, przyklęknął na jedno kolano, podkręcił wąsa i szarmancko rzekł:

- August Corredo, najślynniejszy pirat tutejszych mórz i oceanów.

Kobieta wstała, zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów. Błysnął nagle sztylet, który nie wiadomo skąd pojawił się w jej ręce i błyskawicznie przeciął gardło imię Augusta. Kobieta beznamiętnie spojrzała na drgające zwłoki, potem na piratów, którzy z zaskoczeniem spoglądali na setkę luf, wymierzonych w nich przez ukrytych w sprytnie rozlokowanych zakamarkach okrętu mężczyzn, po czym odrzekła:

- Crisantemo Muerte, amatorka. Miło było poznać.

## Lux Perpetua

Głośny plusk zakłócił ciszę, panującą w olbrzymiej jaskini. W ciemnościach, spowijających pieczarę, zamigotało niewielkie światełko. Wybudzone ze snu nietoperze z ciekawością spoglądały na podłużny przedmiot, płynący podziemnym kanałem.

- Ciszej - szepnął mężczyzna stojący na dziobie łodzi do wiosłującego towarzysza. Ten posłusznie zwolnił ruch wiosłami, starając się nie wytracić prędkości. Ze wstydem pomyślał, iż stracił czujność przez wspaniałe widoki, jakie mógł podziwiać.

Lampa naftowa, trzymana w wyciągniętej dłoni przez mężczyznę na łodzi ukazywała całe piękno podziemnej jaskini. Nad wodą unosiła się delikatna warstwa mgły a na lśniących kryształowo ścianach pieczary migotały cienie stalaktytów. Ciszę zakłócał tylko plusk skalnych łez, spadających z kamiennych sopli.

Młodszy, wiosłujący mężczyzna był tu pierwszy raz. Z napięciem spoglądał na sygnały, dawane mu ręką przez starszego i posłusznie skręcał w korytarze, które wskazywał mu kolega. Wzdrygnął się, kiedy przeleciał nad nim nietoperz, ginąc we mgle.

- Na pewno nas nie zauważą? - zapytał drżącym głosem.

- Spokojnie, byłem tu już nie raz - odpowiedział jego towarzysz. - Zanim się zorientują minie kilkanaście minut, my w tym czasie będziemy już daleko. A oni do kanałów nie zejną.

Młodzieniec chciał jeszcze o coś zapytać, ale nawigator przyłożył palec do ust, nakazując milczenie. Płynęli więc dalej.

Cel podróży ukazał się dość niespodziewanie, przynajmniej dla wiosłarza. Na chwilę zamarł w bezruchu, otwierając usta niczym ryba wyjęta z wody. Wiedział, czego się spodziewać, ale co innego słyszeć, a co innego ujrzeć na własne oczy. Starszy uśmiechnął się smętnie, widząc jego reakcję i przypominając sobie swój pierwszy pobyt tutaj.

Po chwili przybili do wyspy. Zachwyty młodzieńca jeszcze wzrósł. Rozkoszował się



widokiem tysięcy, może milionów świec, rozjaśniającym ciepłym blaskiem gigantyczną pieczarę. Starszy klepnął go lekko w ramię, ale widząc brak reakcji potrząsnął silnie kolegą i rzekł:

- Starczy tych zachwyków, już czas!

- Ale... - zająknął się młodszy. - Ale ja nie mogę...

- Jak to nie możesz? - podniósł nieco głos nawigator. - Przecież po to tu przybyliśmy, pamiętasz?

- To jest zbyt piękne... - wioślarzowi załamał się głos. - Nie możemy po prostu tak.

- Możemy. Po to tu przybyliśmy. Już zapomniałeś, jak cię odrzucili? Zapomniałeś lata upokorzeń, cierpienia, bicia i głodu? - Starszy spoglądał na pieczarę, a w jego oczach lśniła nienawiść. - Teraz możesz im za to odpłacić!

Z oczu młodzieńca zniknęło wahanie. Przypomniał sobie, z jakiego powodu się tu znalazł.

- Masz rację, kolego. - Jego dłonie zaczęły lekko drżeć. - Ale jak to zrobić?

- Jak? - zarechotał złośliwie straszny mężczyzna. - A ot, tak!

Nabrał w dłonie wody i spuścił ją na najbliższe cztery świece.

Zgasły natychmiast.

\* \* \*

- Spóźniają się. - Starsza, krępa kobieta spoglądała wymownie to na zegarek, to na swego męża.

- Spokojnie, zdążą - odpowiedział rosły mężczyzna i zakrztusił się dymem z rozpalanego od kilku minut grilla.

Kobieta pokiwała głową z powątpiewaniem.

- Ech, ta młodzież. Ja w ich wieku. - zaczęła, ale mąż podszedł do niej i przytulił, nie pozwalając dokończyć.

- My w ich wieku byliśmy tacy sami, przecież pamiętasz. - Uśmiechnął się do niej. Już chciała mu się odgryźć, kiedy usłyszała dźwięk telefonu.

- Na pewno coś im wypadło - zaszczębiotała i nacisnęła przycisk z zieloną słuchawką.

Mężczyzna z zaskoczeniem obserwował wyraz jej twarzy. Nie zdążył jednak o nic zapytać. Kobieta zemdląca.

Natychmiast, nie tracąc zimnej krwi oblał jej twarz wodą. Po chwili oprzytomniała.

- Co się stało, kochanie? - zapytał, choć kiedy zobaczył, jak jej oczy tryskają łzami już wiedział.

- Oni nie żyją, Andrzej. Nie żyją, rozumiesz?

- Kto? - Nie docierały do niego słowa, które wypowiadała żona.

- Nasz syn, Agata i dzieci zginęli - szlochała kobieta. - Wjechała w nich ciężarówka, nie mieli szans. Musimy jechać zidentyfikować zwłoki. Andrzej, oni nie żyją, rozumiesz? Andrzej!

Wstał. Spojrzał pustym wzrokiem w niebo, jakby zastanawiając się co tak zgodne i szczęśliwe małżeństwo zrobiło Bogu. Co zrobiła Wszechmogącemu ta dwójka słodkich wnuków, którzy siadali mu na kolanach i domagali się bajek, a on uwielbiał wręcz opowiadać maluchom różne opowiadki? Nagle dotarło do niego, że jego życie właśnie się skończyło, że zostali sami.

- Dlaczego! - krzyknął, wyciągając zaciśniętą pięść ku niebu. - Dlaczego, wytłumaczysz mi to?

Potężna błyskawica z hukiem uderzyła we wzniesienie niedaleko ich domu, odbijając się w łzach płynących po twarzy mężczyzny.

\* \* \*

- A teraz patrz na to - zachichotał nawigator. Zanurzył dłonie w wodzie i zamachnął się szeroko, gasząc kilkanaście świeczek naraz. Roześmiał się w głos.

- Zastanawiałeś się kiedyś, kim oni są? - zapytał młodzieniec.

- A po co? - zdziwił się jego kolega.

Młody wzruszył ramionami. Faktycznie, jakie to miało znaczenie?

## Kartonowe życie

Rytmiczny stukot obcasów o płytki chodnika oznajmił mi, że jest godzina siódma rano. Panna Krysia, drobna, sympatyczna blondynka nigdy się nie spóźniała. Regularnie, pięć dni w tygodniu przychodziła sprzątać jedno z mieszkań, za co dostawała pensję - całe tysiąc złotych. Niezależnie od tego czy mróz, czy deszcz odgłos ten zaczynał mój dzień. Według panny Krysi, sympatycznej czterdziestokilkulatki mógłbym regulować zegarek. Niestety, takowego nie posiadałem.

Kroki panny Krysi zwiastowały jeszcze coś innego - zaraz pojawi się dozorca i otworzy kłódkę, po czym zdejmie łańcuch, pozwalając mi niepostrzeżenie wyjść. Niepostrzeżenie? Cóż, on i mieszkańcy udawali, że mnie nie zauważają, ja starałem się nie zauważać ich. Powiedzmy, że moją obecność tolerowali. Śmietnik był cały obmurowany, z wyjątkiem kraty, zabezpieczanej na noc łańcuchem. W środku było siedem olbrzymich kubłów i karton, będący moim schronieniem, przylegający do jednej ze ścian śmietnika, i do bloku. Nie przypominam sobie, by ktokolwiek choć raz zniszczył moje legowisko. Czasami znajdowałem w tekturowym domku nawet jakąś lekko przeterminowaną konserwę czy jogurt albo reklamówkę pełną puszek. Niestety - pustych puszek. Aż takiego gestu sympatii nie mogłem się spodziewać.

Zgodnie z oczekiwaniem po chwili pojawił się gospodarz domu. Chwile te bywały różnej długości, zależały bowiem od tego, jak długo znudzony dwudziestoletnim stażem małżeńskim cieć flirtował danego dnia z panną Krysią. Z tego, co zdołałem usłyszeć, czasami było to kilka zdań, czasami dłuższa rozmowa, która, mimo iż przeplatana perlistym śmiechem sprzątaczkki, regularnie kończyła się dla biednego dozorca koszem. Na nic niezdarne próby podrywu - panna Krysia broniła swej cnoty niby smok. Choć pamiętając, czym żywiły się ponoć smoki, może to i nie najszcześniejsze porównanie.

Podniosłem się leniwie. Ptaki radośnie ćwierkały dookoła oznajmiając całemu

świata, że oto nadeszła wiosna. Do tej jakże dobrej wiadomości ochoczo dołączył się lekki zefirek, podśpiewując sobie w gałęziach drzew. Ogólnie zapanowało jakieś euforyczne, przyrodnicze święto, które tradycyjnie zepsuli już mieszkańcy bloku, powoli wysypujący się z bloku jak co rano do pracy.

Ech, te miny... Gdybym sugerował się tylko ich porannym nastrojem, pewnie popadłbym w ciężką depresję. Wyruszają w tę podróż z miną cierpiennika pokazując całemu światu - patrzcież, ach, patrzcież, jakim ja nieszczęśliwy! Czasami, kiedy ich mijam dochodzę do wniosku, że tolerują moją obecność tylko z jednego powodu - by na chwilę opuścić swą postawę męczennika i spojrzeć na mnie z pogardą myśląc - „może i jest mi ciężko, ale też mogłem skończyć jak ten nieszczęśnik z kartonu”. Czasami nawet widzę, jak przez chwilę się uśmiechają, zanim wrócą w stadium skrzywdzonej poczwarki.

Nie przeszkadza mi to. Na mój sposób widzenia są nawet zabawni. Idą, odwalają osiem godzin i wracają, raz na miesiąc przynosząc wypłatę, która starcza im na górę dwa tygodnie. Ale choć przez chwilę mogą poczuć się władcami, a jak pożyją przez tydzień na chlebie z pasztetem i ziemniakach z kefirem, to stać ich nawet, by wyjść w weekend do kina.

Nie rozumiem, jak można nie doceniać radości, jaką niesie ten dzień. I nawet kolejna dziura w płaszczu, którą zauważyłem, nie przeszkodziła mi zaczerpnąć głębokiego haustu orzeźwiającego powietrza. Dziura - ot, nieszczęście. Ale czy warto tego, by psuć sobie tak piękny poranek?

Czy oni naprawdę muszą ciągle gdzieś biec, dokądś dążyć i wiecznie rywalizować?  
\* \* \*

Ze zdziwieniem spojrzałem na zegar, znajdujący się na ścianie dworca. Autobus przyjechał punktualnie - rzecz absolutnie wyjątkowa. Osoby wsiadające również nie kryły zdziwienia, jedna staruszka nawet prawie się spóźniła. Może i kierowca złapał wiosenny wiatr w żagle i postanowił być lepszy dla pasażerów?

Pasażerowie... Jeżdżę tą linią od dwóch tygodni. Na początku odsuwali się ode mnie, teraz nie zwracają uwagi. Przyzwyczaili się. A ja wsłuchuję się w ich zdawkowe

rozmowy. Poza tym nasze miasteczko jest małe, nie sposób niektórych osób nie znać.

Ot, na przykład ten pan z wąsem o czerwonej, nalanej twarzy. Lekarz z powiatowego szpitala. Pewnie niektórzy mogliby się dziwić, że lekarz, a pekaesem podróżuje. Ano, można by się dziwić, gdyby nie to, że nasza miejska gazetka jakiś miesiąc temu rozpisywała się o przypadku doktora K., który po pijanemu prawie rozjechał matkę z dzieckiem na pasach. Prawie - bo ofiary przeżyły, jednak prawko doktor K. stracił i czekał na proces. Oczywiście gazety pisały K. bo podanie pełnego nazwiska to już naruszenie ustawy. Biorąc pod uwagę fakt, że w naszym miasteczku jest tylko jeden doktor na K. i nazywa się Krawczyk - brzmiało to nieco śmiesznie. Cóż, polskie prawo momentami bywa zabawne. Podobnie jak i prawnicy zresztą.

Niedaleko siedzą dwie dziewczyny. Młode, jeszcze naiwne i idealistycznie nastawione do świata. Ta młodsza, po liceum, jest magazynierką w markecie. Starsza, świeżo upieczona pani magister, ma lepiej - jest tam kasjerką. Jest dumna, bo ma o pięćdziesiąt groszy większą godzinówkę. Młodsza jej zazdrości, ale ma świadomość, że dopóki studiów nie skończy, koleżance nie dorówna.

Obie jeszcze nie mają rodzin - pensja pozwala im zatem na zakup, raz na jakiś czas czegoś dla siebie. Naiwnie wierzą, że kiedy pojawi się dziecko, „jakoś to będzie”. Może mąż będzie dobrze zarabiał, może dostaną pracę zgodną ze swymi kwalifikacjami i wykształceniem, oczywiście z odpowiednią pensją, może trafią nawet na milionera, tak jak niegdyś Julia Roberts.

Kolejna grupa osób, pogodzona z losem i twierdząca sakramentalne „jakoś to będzie”. Cóż, uważam, że życie, tak na początku wkroczenia w dorosłość, powinno kopnąć każdego idealistę z czarno-białym spojrzeniem w dupę. Solidnie, mocno, ale sprawiedliwie. Tak, aby odczuli, ale także po to, by zaczęli się szanować.

Też byłem idealistą, co to wierzy, że „jakoś to będzie”. Tym, co to zawsze uczciwy. No i ta uczciwość spowodowała, że jestem w brudnym płaszczu i z

dwutygodniowym zarostem w autobusie pekaesu, a ludzie na sam mój widok się krzywią.

Kop w tyłek spowodował, że co prawda stoję w miejscu, ale mój idealizm i naiwność zostały wykopane hen, hen daleko. I całe szczęście.

Pewnie realizowałbym się teraz gdzieś na kasie i marzył o księżniczce z bajki i urlopie na Bergamutach.

\* \* \*

Przyjeżdżam tu od tygodnia. Spokojny, nadwiślański bulwar, wały porośnięte zieloną trawką i mała knajpka z parasolami, którą codziennie mijam. Sielski widoczek. Choć nie...

Coś się zmieniło. Była wczesna pora, więc pod parasolką siedział jak zawsze tylko jeden klient - siwy mężczyzna w okularach, pijący swą poranną kawę. Ale kilka metrów dalej zauważyłem wykopany - widocznie wczoraj po południu albo dzisiaj rano - rów. Sterta brudnej ziemi piętrzyła się niedaleko lokalu, zaburzając naturalne piękno nadwiślańskiego brzegu.

Powoli podszedłem do wykopu. Nagle zakrztusiłem się, z trudem łapiąc przez chwilę powietrze. Siwy mężczyzna, spoglądający smętnie gdzieś w dal spojrział na mnie przelotnie, ja jednak pochyliłem się w tym momencie nad stertą świeżo wykopanej ziemi. Moja dłoń zanurzyła się w glebie...

Kiedy powstałem, z trudem opanowałem podniecenie. Spoglądając niemal nabożnie na przedmiot trzymany w dłoni podszedłem do stolików knajpianych i usiadłem, by uspokoić nerwy. Nie za blisko starszego mężczyzny, by nie wzbudzać obrzydzenia, ale i nie za daleko. Zaciekawiony obracałem w palcach okrągły, błyszczący przedmiot. Oczyszcziłem go z pozostałości ziemi, z zainteresowaniem spoglądając na łacińskie napisy. Z trudem rozszyfrowałem - „Gnezdun Civitas”? Jakaś toporna twarz na jednej stronie, krzyż z kulkami na drugiej...

- Można? - zapytał siwy mężczyzna, momentalnie przysiadając się bez czekania

na zgodę. - Z tego, co widziałem, pan znalazł to w wykopie?

- A tak, słońce odbiło mi się w czymś w ziemi, myślałem, że to szkiełko -  
odpowiedziałem.

- Ciekawa rzecz. - Mężczyzna delikatnie wyjął monetę z mej dłoni i wnikliwie ją  
oglądał.

- E tam. Mam chyba pecha. Stara to ona może i jest, ale cienka jakaś i licha. Może  
jakbym znalazł złotą, coś byłaby warta, prawda?

Mężczyzna zdawał się nie słyszeć mego ostatniego zdania. Z fascynacją lekko  
skrobał powierzchnię monety, a po jego twarzy błąkał się albo uśmiech, albo  
niezdecydowanie. Przez chwilę go obserwowałem, po czym uprzejmie poprosiłem  
o zwrot pieniążka. Jego ręce zaczęły drżeć.

- Dam panu sto złotych.

- Za to? - zdziwiłem się. - Sto złotych za takie gówienko?

- No, ostatecznie mogę dać dwieście. Wie pan, dla pana to nic szczególnego, a tak  
się składa, że jestem kolekcjonerem takich rzeczy. Ta moneta ma dla mnie wartość  
bardziej sentymentalną, niż finansową. My, zbieracze, jesteśmy dziwakami, których  
takie rzeczy bawią. - Nie był dobrym aktorem, o nie... Jego uśmiech był strasznie  
nieszczery. - To jak? Trzysta i pan biegnie na winko, a ja cieszyć się nowym  
nabytkiem?

- A wie pan... - spojrzałem na niego z zadumą. - Ja myślę, że coś pan za łatwo  
przeszedł do wyższej kwoty. Tu niedaleko widziałem sklep numizmatyczny, pójde  
zobaczyć, co to właściwie jest.

- Ale po co ta fatyga - znowu się zaśmiał, ale tylko ustami. Oczy ciągle nerwowo  
lustrowały moją twarz, na czole, mimo umiarkowanej temperatury pojawiły się  
kropelki potu. - Tysiąc?

Byłem pełen podziwu. Kombinował, oj, kombinował, wiedziałem o tym dobrze.

Znałem ten typ chciwych ludzi, których na wszystko było stać, ale oszczędzali nawet na bochenku chleba. I na naiwniakach, jak ja, którym według nich powinno się rzucić ochłap po czym ściągnąć spodnie i łaskawie się wypiąć, by obdarowani mogli ich z uszanowaniem pocałować.

- Nie wiem, co pan kombinuje. Chyba jednak pójdę. Pan jest nieszczerzy - powiedziałem i wstałem. Nerwowo chwycił mnie za rękę. Nagle poczerwieniał, jego oddech stał się urywany, przez chwilę pomyślałem nawet, że dostanie zawału albo coś. Na szczęście wkrótce się uspokoił i rzekł:

- Niech pan usiądzie, proszę...

Zawahałem się, po czym usiadłem.

- Niech pan zrozumie kolekcjonera - zaczął, a ja w tym momencie zrozumiałem, że zaczyna się w końcu rozsądna rozmowa. - Mam nadzieję, że doceni pan moją szczerłość i znajdziemy satysfakcjonujący konsensus. Sprawa ma się tak: moneta, którą pan znalazł, owszem, nie jest ze złota - kto by pomyślał, jednak mnie słuchał! - ale też jest dużo warta. Nie kłamałem pana mówiąc, że jestem kolekcjonerem, dlatego będę szczerzy.

„Chciwy” - pomyślałem. - „Chciwy, nie szczerzy”. Nie myliłem się.

- Moneta ta warta jest według katalogu Fischera około dwudziestu tysięcy złotych. Ja dam panu połowę - mówiąc to uśmiechnął się, a ja odniosłem wrażenie, że nagle obok mnie pojawiło się drugie Słońce.

- Dziesięć tysięcy? - damę głowę, prawie krzyknąłem.

- Dziesięć tysięcy. Oczywiście może pan zgłosić znalezienie tej monety odpowiednim władzom, ale wówczas otrzyma pan pięć procent znaleźnego. Czyli jakieś tysiąc złotych. A właściciel sklepu, który pan mijał, na pewno będzie chciał wykorzystać pana naiwność i spróbuje pana oszukać.

Na końcu języka miałem już pytanie, czym zatem była propozycja stu złotych za



monetę, ale się powstrzymałem. Zamiast tego zaryzykowałem:

- Dwanaście tysięcy?
- Jedenaście. I przybijamy. Jak dwóch inteligentnych ludzi.

Inteligentny żebrak! Poczułem dumę. No proszę, ktoś w końcu mnie docenił. Przybiłem, choć czułem, że przynajmniej jeden z nas okazał się niezbyt inteligentny. Ale lepszy wróbel w garści...

Już po chwili byliśmy w oddziale banku, w którym mój nowy znajomy miał konto. A po drugiej chwili upychałem banknoty po kieszeniach, uprzednio sprawdziwszy, czy nie pojawiła się w nich kolejna dziura.

Czułem, cholera, czułem od rana, że dzisiejszy dzień będzie udany!

\* \* \*

Parkingi pod blokiem były już pełne, naród pracujący wrócił do domów. Pani z pieskiem, która mnie mijiała, ostentacyjnie odwróciła głowę. Nawet powstrzymała się od splunięcia, przyspieszyła tylko nieco trochę kroku. Jestem ciekaw, co by powiedziała wiedząc, że w kieszeniach mam kwotę przewyższającą jej półroczne zarobki.

Powoli doszedłem do śmietnika, i swojego kartonu. Rozejrzałem się - nikogo nie było. Spokojnie więc wpełzłem do środka. Jak już zapewne wspomniałem, jedną ze ścian śmietnikowego mieszkania był mur bloku. A w nim, dokładnie pośrodku mojego schronienia, znajdowało się okienko piwniczne.

Delikatnie puknąłem dłonią. Nie otworzyło się. Wyjrzałem więc na zewnątrz, ale nikt się nie zbliżał. Ponownie uderzyłem łokciem - nie obawiałem się, że pęknie szkło, gdyż szyby już w nim dawno nie było. Deska jest znacznie praktyczniejsza, nie przepuszcza światła. I potencjalnych włamywaczy. Tym razem otwarło się bez problemów.

Jako że z natury jestem dość szczupły, nie miałem problemów z wciśnięciem się do środka. Zamknąwszy szczelnie okienko, zapaliłem światło. Z ulgą zrzuciłem łachy,

chowając je w stojącej w piwnicy szafie, marząc o prysznicu. Błyskawicznie ubrałem się w dresy, nie zapominając o przełożeniu do kieszeni mojej dzisiejszej zdobyczy. Odsunąłem zasuwki i otworzyłem drzwi. Szybko pobiegłem na drugie piętro.

Mieszkanie, do którego wszedłem, było jak co dzień czyściutko wysprzątane. Czym prędzej podszedłem do obrazu, repliki arcydzieła „Guernica” pędzla Picassa, i odsunąłem go na bok, odkrywając sejf. Kod do otwarcia nie był nadzwyczaj skomplikowany - 1973, jak mój rok urodzenia. Po otwarciu skrytki spokojnie umieściłem w nim stertę banknotów. Oczywiście obok innych.

Podliczyłem koszty. Pięćset za dziesięć sztuk fałszywych monet, pięćset plus dwa Jasio Wędrowniczki dla majstra, który wykonał matrycę (whisky po wykonaniu roboty, oczywiście), po stówce dla majstrów z pobliskiej budowy, którzy wykopali rów we właściwym miejscu i za dodatkową flaszkę nie pytali, po co, stówka za dziesięć bezwartościowych, starych drobnych monet, do tego drobniaczka - bilety PKS, czasem kawa...

Z nostalgią spojrzałem na trzy repliki monety z napisem „Gnezdum Civitas”. Tylko trzy z dziesięciu fałszywych monet, jakie powstały... Na razie musiałem odpocząć i poczekać, czy sprawa nie wypłynie na wierzch. Potem mogłem rozpocząć obserwacje następnego celu, któremu warto by wcisnąć fałszywkę. Wstyd powiedzieć, ale poważni zdawałoby się ludzie łykali te monety jak gęsi ciepłe kluski.

Chciwość ludzka jest przeogromna. Żaden z numizmatyków - których wprawdzie oczywiście obserwowałem, zanim przystępowałem do akcji - albo nie zorientował się, co jest grane i nadal onanizował się mentalnie, albo nie chciał przyznać się, że padł ofiarą oszustwa. Osobiście optowałem za tą pierwszą opcją. W końcu denar Chrobrego „Gnezdum Civitas” istnieje obecnie w oryginale tylko w jednym egzemplarzu - więc z czym niby ci fachowcy mieliby go porównać?

Żaden nie zszedł poniżej siedmiu tysięcy, z reguły kończyło się na dyszce.

Dzisiejszy frajer nie dość, że był łatwy do rozpracowania, ze względu na stałe przyzwyczajenie, to jeszcze lekką rączką wybulił tysiąc złotych ponad plan.

Przez chwilę kołatała mi myśl po głowie, że o czymś zapomniałem. Ach, prawda - dziś ostatni dzień miesiąca. Z kupki banknotów wyjąłem więc dziesięć o nominale stu złotych. Chwilę się zawahałem, po czym wziąłem jeszcze jeden. Niech to będzie dodatkowa premia, w końcu poszło dziś całkiem nieźle.

Położyłem pieniądze na stół, jak zawsze. Mam nadzieję, że pannę Krysię wypłata ucieszy.

Jest naprawdę dobrą sprzątaczką.

## Gra

- Przegrałeś już chyba wszystko. - Siedzący w skórzanym fotelu ciemnowłosa mężczyzna z satysfakcją spoglądał na współtowarzysza gry.

- Tak, chyba tak. - Staruszek nerwowo splótł dłonie.

- A więc to wszystko moje. - Mężczyzna spoglądał z zadumą na zawieszoną w czarnej przestrzeni kulę. - Nie żal ci?

- Przecież to jeszcze nie koniec gry - zaprotestował staruszek.

- A cóż masz jeszcze w zanadrzu? - brunet uniósł lekko brwi.

- Spójrz! -S postawił przed nim skrzynkę. - Tego jeszcze nie masz, prawda?

Mężczyzna w czarnym garniturze podszedł do skrzyni. Z niedowierzaniem spojrzał na staruszkę, po czym wziął go delikatnie pod ramię i podprowadził do okna.

Wskazał na błękitną perłę, toczącą się leniwie dookoła jasnej gwiazdy i powiedział:

- Przyjrzyj się jej. Spójrz na to - pstryknął palcami.

Obraz przybliżył się znacznie. Po powierzchni planety, porośniętej olbrzymimi roślinami, chodziły dostojnie gigantyczne stworzenia. Co chwilę wybuchała krwawa walka o pożywienie, o terytorium łowieckie czy po prostu o samicę. Z każdego zakątka widocznego fragmentu dobiegał ryk cierpienia. Nad wszystkim krążyły inne giganty, unoszące się w powietrzu na błoniastych skrzydłach.

- Jak sądzisz - brunet spoglądał na staruszkę - ile twoje maleństwa przeżyją w takim otoczeniu? Godzinę? Dwie?

- Tylko tyle mi zostało. - Drobnego, siwego mężczyzna bezradnie rozłożył ręce.

- No cóż. Zagrajmy - westchnął brunet.

Spojrzał z politowaniem na staruszkę. Ujął trzy kostki w dłonie, potrząsnął i rzucił. Kości toczyły się po blacie stołu, aż w końcu pojedynczo zatrzymywały się. Z każdą wyrzuconą liczbą oczek twarz staruszkę robiła się coraz smutniejsza. Sześć. Sześć. Sześć.

- Przykro mi. - Brunet zdecydowanym ruchem zabrał skrzynię.

- Chyba już pójdę. - Staruszek ciężkim krokiem podążył w stronę drzwi. Kiedy przechodził przez próg, zatrzymało go pytanie bruneta.

- Ale, ale. jak one się właściwie nazywają?

- Ssaki. - Starzec uśmiechnął się gorzko.

- Ssaki. - Mężczyzna wyciągnął jednego. Gładząc go po futerku szepnął:

- Nie macie szans przetrwać. A nawet jeżeli, to co z was wyrośnie?

Nie zauważył błysku w oku wychodzącego staruszka.

## Złota rybka

Telefon zadzwonił w najmniej oczekiwanym momencie. Akurat z apetytem pałaszowałem doskonały obiad, kiedy poczułem wibracje w lewej kieszeni marynarki. Jednak kiedy zobaczyłem, kto dzwoni, natychmiast zapomniałem o świetnie przysmażonym pstrągu z grecką sałatką, frytkach i zimnej coli. Gotów byłem poświęcić znacznie więcej, byle tylko móc uzyskać możliwość porozmawiania z NIM. Doktor Kowalski, który właśnie dzwonił, był lakoniczny, jak zawsze:

- Będzie pan miał pół godziny, może czterdzieści minut na rozmowę.

Pół godziny? Miałem nadzieję, że wystarczy.

Dowiedziałem się o NIM przypadkiem. Robiłem właśnie reportaż o pacjentach zakładu psychiatrycznego w G. Jednym z elementów reportażu był wywiad z głównym dyrektorem tegoż ośrodka, Grzegorzem Kowalskim. Niski, łysiejący człowiek w nieskazitelnie białym fartuchu, pałący niemal bezustannie fajkę okazał się być interesującym rozmówcą. Potrafił najbardziej skomplikowane pojęcia wyjaśnić w przystępny, zrozumiały nawet dla laika sposób. Jednak najbardziej intrygującym momentem tamtego wywiadu (który nie znalazł się w reportażu) była dyskusja o najciekawszych pacjentach. I wtedy właśnie się dowiedziałem.

- To najdziwniejszy przypadek, z jakim się spotkaliśmy. - Oczy doktora błyszczały. - Przebywa u nas już od piętnastu lat. Przeważnie jest w stanie kataleptycznym - nie porusza się, wpatruje w sufit lub przed siebie. Niekiedy jednak leki, które bierze, wytrącają go z tego stanu i zaczyna mówić. Przeważnie bezładnie, chaotycznie, jednak kilka razy udało mi się wyciągnąć z niego coś więcej.

- A co w nim jest takiego niezwykłego? - zapytałem z ciekawości.

- Z fragmentów wypowiedzi można było wywnioskować, że mówi coś o nieśmiertelności. Oczywiście, można potraktować to jako typowy objaw schizofrenii paranoidalnej, gdyby nie jeden fakt. Cholernie intrygujący fakt.

Doktor podniósł się, sięgnął po białą teczkę leżącą na biurku i powoli rozwiązując sznurki kontynuował:

- Trochę więcej dowiedziałem się podczas kilku rozmów, które udało mi się z nim przeprowadzić, dlatego przyznam szczerze, ucieszyłem się że to pan będzie robił ten reportaż. Wiele słyszałem o pana dokonaniach - wyjaśnieniu sprawy rzekomego poltergeista w Suwałkach czy owego lądowania UFO w Pszczółkach Małych. Mam nadzieję, że zechce pan również zająć się tą sprawą.

Wypiłem mały łyk kawy z filiżanki. Owszem, podczas robienia swoich reportaży trafiałem na dziwne sprawy, które pozornie wyglądały na tajemnicze i niewyjaśnione. Doktor jednak przeceniał chyba moje zdolności. Do wyjaśnienia tych zagadek wystarczał z reguły jedynie zdrowy rozsądek. Poltergeist okazał się żartem sąsiada, UFO w Pszczółkach Małych - zwykłą kaczką dziennikarską. Mimo wszystko fakt, że ktoś to pamiętał, mile polechtał moje ego.

- Znalaziono go nad jeziorem. Siedział tam, drżąc z przemarznięcia i wpatrywał się bezmyślnie w taflę jeziora. Ponieważ nie można się było z nim skontaktować, został zawieszony do szpitala a po kilku dniach trafił do nas. Jak już wspomniałem, z reguły nic nie mówi. Kiedy majaczy, opowiada o bogactwie, nieśmiertelności i.

- doktor zawahał się, spojrzął na mnie przymrużając oczy i chrząknawszy dokończył.  
- I o złotej rybce.

Starałem się nie roześmiać, naprawdę. Trudno mi jednak było zachować powagę widząc pełną skupienia, poważną twarz doktora. Ten zaś kontynuował.

- Jest u nas już piętnaście lat. Ostatnio dzięki zastosowaniu najnowszych leków, w jakie nas zaopatrzono, odzyskuje świadomość na pół godziny, czasem dłużej. Zdarzyło się to dotychczas trzy razy. Tylko mi udało się z nim rozmawiać i muszę przyznać, że nic już z tego nie rozumiem.

Zauważając w końcu moją minę uśmiechnął się i podając mi teczkę powiedział:

- Jeśli chce pan z nim porozmawiać, dam panu znać kiedy znów odzyska świadomość. Musi pan przyjechać jak najszybciej. Może tateczka pana przekona do zainteresowania się tą sprawą. Niewiele osób wie o jej istnieniu, również niewiele osób wie o istnieniu tego pacjenta. W teczce są wyniki badań. Kiedy go przyjmowaliśmy, wyglądał na dwadzieścia lat. Obecnie również tak wygląda, nie tylko fizycznie, także biologicznie. Wszystkie badania jakie przeprowadzaliśmy dają jeden rezultat.

Podrapał się po głowie i puszczając efektowne kółko z dymu dokończył:

- On się nie starzeje.

\* \* \*

Pędziłem w kierunku szpitala psychiatrycznego co sił. Zaraz po przeprowadzeniu wywiadu z doktorem pomyślałem, że biedaczyna zbyt długo przebywał ze swoimi pacjentami i coś mu się poprzestawiało. Nie byłby to pierwszy taki przypadek, w końcu to naprawdę ciężka praca. Jednak kiedy wieczorem tamtego dnia zapoznałem się z zawartością białej teczki, zmieniłem zdanie.

Wyniki badań nie pozostawiały wątpliwości - pacjent się nie starzał. W utajnionej części raportu na jego temat znajdowały się stenogramy rozmów doktora Kowalskiego z pacjentem, kiedy ten był świadomy. Mimo całego nieprawdopodobieństwa sytuacji były one nadzwyczaj spójne i logiczne. Tylko co z tego? Miałem uwierzyć w złotą rybkę i jej trzy życzenia?

Muszę przyznać, że ta sprawa mnie poważnie zaintrygowała. Zawsze, kiedy wpadam na jakiś nowy, ciekawy trop, odczuwam adrenalinę, głód wiedzy, pragnienie bycia pierwszym, który odkryje prawdę. Coś w tej sprawie było nie tak i musiałem się dowiedzieć - co.

Wartownik przy bramie zobaczywszy moją legitymację uśmiechnął się i podnosząc szlaban powiedział, że doktor już czeka w swoim gabinecie. Zaparkowałem na pierwszym wolnym miejscu i ruszyłem do budynku, w pośpiechu zapominając nawet zamknąć drzwi. Machnąłem na to ręką, w końcu liczyła się każda sekunda. Wbiegłem



do gabinetu doktora.

- Idziemy - rzucił krótko.

Zapytałem, czy mogę być z pacjentem sam na sam.

- Oczywiście, nie występują u niego żadne oznaki agresji. Na wszelki wypadek będą strażnicy za drzwiami, wystarczy że pan głośno krzyknie.

Korytarze, którymi szliśmy, zdawały się nie mieć końca. Głuchy odgłos naszych kroków przeplatał się z krzykami pacjentów. Ktoś rytmicznie klaskał w dłonie, inny śpiewał w kółko kolędy. Doktor zdawał się ich nie zauważać, podążał pewnym krokiem bezbłędnie odnajdując drogę w labiryncie. W końcu doszliśmy do małych, żelaznych drzwiczek z niewielkim, zakratowanym okienkiem.

- To tutaj. Powodzenia.

Olbrzymi, prawie dwumetrowy, korpulentny strażnik pociągnął za klamkę. Drzwi otworzyły się bezszelestnie.

\* \* \*

Rzeczywiście, wyglądał na dwadzieścia lat, nawet młodziej. Krótko obcięte blond włosy, niebieskie oczy. Ubrany w biały drelich siedział przy stoliku, wpatrując się w splecione dłonie.

Podniósł głowę i spojrzał na mnie. Nie sposób zapomnieć takiego spojrzenia. Straszliwie zmęczonego spojrzenia.

- Nie jesteś lekarzem.

Głos miał ciepły, spokojny. Nie słychać w nim było żadnych emocji. Głos człowieka pogodzonego z wyrokiem.

- Jestem dziennikarzem, zajmuję się robieniem reportaży. Zaintrygowała mnie twoja sprawa.

Milczenie.

- Czytałem już stenogram rozmów z doktorem, jednak chciałbym usłyszeć o tym od ciebie. Może mógłbym ci jakoś pomóc.

- Pomóc? - roześmiał się gorzko. - Jasne, że możesz pomóc. Po prostu mnie zabij!

Podniósł się, podszedł do mnie i spoglądając mi w oczy wyszeptał:

- Wiesz jakim przekleństwem jest nieśmiertelność??

Staliśmy tak twarzą w twarz. Ja nie wiedziałem co powiedzieć, po jego policzkach płynęły łzy.

- Zresztą. Opowiem ci całą historię. Może rzeczywiście mi pomożesz, choć wątpię.

Puścił mnie. Usiedliśmy.

- To było dawno temu. Byłem młodym, naiwnym młokosem. Trochę nieśmiałym synem rybaka, marzącym o bogactwie i ślepo zapatrzonym w córkę grodzierzcy. Nie, nie miałem szans na to, by choć raczyła spojrzeć na kogoś tak nisko urodzonego jak ja. Zresztą ojciec już mi wybrał żonę. Córka sąsiada, brzydka jak ćma i w dodatku pryszczata, ale za to obrotna gospodyni. Mieliśmy zaniedługo brać ślub, kiedy to się stało.

Znieruchomiał, spoglądając gdzieś w dal. Po chwili kontynuował:

- Wracalem nocą z gospody do domu. Nie bałem się, po kubku okowity każdy jest odważny. Szedłem ścieżką przez las. Wsłuchiwałem się w pohukiwanie sów, dookoła mnie noc rozjaśniały roje świetlików. Drogę znałem dobrze, chodziłem do gospody co sobotę. Ale tej nocy, kiedy mijałem rozstaje dróg, stało się coś wyjątkowego.

Głośno przełknął ślinę. Głos mu zaczął lekko drżeć.

- Księżyc założył tej nocy wyjątkowo dużą lisią czapę. Panowała niezwykła cisza. Wiatr ucichł zupełnie, drzewa stały nieruchomo niczym mistyczni wojownicy. Droga nad jezioro była oświetlona dziwnym blaskiem. Po ziemi snuła się jasnozielona mgła. Niewysoko, tak do kolan. W oddali migąło złote światło. Ponieważ do jeziora było niedaleko, postanowiłem sprawdzić co się dzieje.

- Leżała na plaży. Była niewielka, ot, wielkości dłoni dorosłego mężczyzny. Jej ciało wyginało się w górę i w dół, żałośnie trzepotała płetwami. Małe usta otwierały się

i zamykały bezskutecznie szukając wody. Nigdy nie widziałem podobnego gatunku. Podniosłem ją, ciesząc się w duchu, bowiem za tak oryginalny okaz mogłem uzyskać kupę talarów. Kto wie, może starczyłoby i na niedużą wieś?

- Zdawało mi się, że śnię, kiedy usłyszałem jej głos. W końcu ryby nie mówią, prawda? A jednak. Powtórzyła słabnącym głosem, że spełni moje trzy życzenia, jeśli tylko ją uratuję. Sam nie wiem czemu to zrobiłem. Przeklęty głupiec, wrzuciłem ją do wody.

Siedział tak wpatrzony w blat stołu. Żyrandol nad nami delikatnie się kołysał, cienie wydawały się drżeć.

- Mogłem ją zabrać i sprzedać. Mogłem zostawić. Mogłem w końcu wrzucić ją do wody i odejść. Ale nie. Ja, głupi, musiałem tam zostać i czekać aż wypłynie.

Wypłynęła, a jakże. Pamiętam te słowa: “Wypowiedz trzy życzenia, a spełnię je w podzięce za twe dobre serce. Pamiętaj tylko, dobrze wybierz, nie zawsze bowiem owoc głód ukoi. Użyj swego serca, a szczęśliwym żywot twój uczynię”. Szczęśliwym!!!

- Młody byłem, to i głupi. Nie zawahałem się i jednym tchem wymieniłem trzy życzenia: “Chcę być bogaty, nieśmiertelny i mieć najpiękniejszą żonę na świecie.” Ileż bym dał, żeby cofnąć te słowa. Później dopiero zrozumiałem jej spojrzenie, smutek w małych oczkach, którego nie potrafiłem wtedy zrozumieć. Spytała raz jeszcze, czy jestem pewien. O tak, byłem.

- Niedługo cieszyłem się szczęściem. Kupiłem zamek potężny, wspaniały, by moja żona żyła sobie jak królewna. Jednakże już wkrótce przekonałem się, że pani mego serca owszem, była najpiękniejszą kobietą na świecie, jednakże to samo widzieli i moi poddani. Nie minął miesiąc po ślubie, jak przyłapałem ją z koniuszym w łóżu. A to był dopiero początek nieszczęść.

- Bogactwo, nawet największe, nie jest niezmierzone. Koniec nadszedł szybciej, niż mógłbym się spodziewać. Zarządziłem wielkie łowy dla okolicznej szlachty. Trzy

dni polowaliśmy z nagonką, trofea były naprawdę wspaniałe. Przez trzy dni towarzyszyły mi głosy rogów, szczekanie psów i zapach dziczyzny pieczonej na ognisku. W głębi lasów czułem się szczęśliwy. To były ostatnie chwile radości.

- Kiedy wróciłem na zamek, nie było koniuszego, nie było mojej żony, i co najgorsze - nie było talarów. Zostałem sam w pustym zamku, nieopłacona służba odeszła. Wkrótce zresztą i zamczysko musiałem sprzedać, zadowolając się jedynie skromną chatką. Wszystkie życzenia tylko nieszczęście mi przyniosły, ale najgorsze było trzecie z nich.

- Mając w pamięci pusty skarbiec i żonę w objęciach koniuszego, postanowiłem w rozpacz z wieży zamkowej się rzucić. Szukając śmierci, pragnąłem wyzwolić się z okowów mojej głupoty. Wieża była na tyle wysoka, że mogłem być pewien powodzenia. Ostatnie, co pamiętałem z tego skoku, to przyjemny, orzeźwiający chłód powietrza i świst w uszach niby szyderyczy śpiew kostuchy.

- Jakież było moje zdziwienie, kiedy następnego poranka obudziłem się w łóżu jak gdyby nigdy nic. Tylko całe ciało miałem obolałe, czułem niemalże każdy mięsień i każdą, najdrobniejszą nawet kosteczkę. W naiwności swojej sądziłem, że jakiś chłopina, przechodząc obok wieży, znalazł ciało, a zauważywszy odruchy życia, zaniósł je do komnaty. Zdecydowany jednak zrealizować swe plany, podążyłem do zbrojowni. Stałem przy beczkach pełnych prochów, wyjąłem krzesiwo i skrzesalem ognia. Tym razem musiałem być pewien powodzenia.

- Obudziłem się następnego dnia. Z niedowierzaniem spojrzałem na swoje ciało. Nie było żadnego zadrapania, żadnej ranki, nic! Tylko nieznośny ból przypominał mi, że dzień wczorajszy nie był snem. Pojąłem to, co było dla mnie niewyobrażalne - jestem nieśmiertelny! Tylko. Wcale nie czuję się szczęśliwy.

W rogu pokoiku, w którym siedzieliśmy, duży, włochaty pająk zakładał swoją pułapkę na muchy. Co by się stało, gdyby to on złapał swoją złotą muszkę? Czy całe

jego życie polegałoby na snuciu pułapki na pożywienie, beznamiętnie, bez końca niczym ośmionogi Syzyf?

- Próbowałem jeszcze kilka razy. Najgorsze było to, że choć nieśmiertelny, odczuwałem ból jak każdy człowiek. Każda metoda zawodziła, każda próba kończyła się tym, że następnego dnia budziłem się obolały. Popadałem w coraz większą desperację, ale nie mogłem nic z tym zrobić.

- Pewnego dnia powiedziałem - dość! Spróbuję z tym jakoś żyć. Postanowiłem zająć się czymkolwiek i przestać myśleć o śmierci. Nauczyłem się kaligrafii, stolarki, kowalstwa. Założyłem hodowlę krów i owiec. Starłem się być przykładnym człowiekiem, poświęcałem się nauce na tyle, na ile to było możliwe. Aż w końcu nadszedł czas, kiedy - wbrew rozsądkowi - zakochałem się.

Jego oczy stają się zamglone, w kącikach ust pojawia się uśmiech. Delikatny, niemalże niezauważalny.

- Nie, nie powiedziałem jej o mojej klątwie. Miałem desperacką nadzieję, że jakoś się ułoży. Może prawdziwa, szczerza miłość pozwoli mi wspólnie zestarzeć się z ukochaną? To było najszczęśliwsze dziesięć lat mojego życia. Miałem dla kogo żyć, kogo kochać. Wspólnie planowaliśmy przyszłość, cieszyliśmy się każdym dniem. Urodziła mi cudowną córeczkę, która również kochałem ponad życie. Ale kiedy małeństwo skończyło roczek.

Zwiesił głowę, wpatrując się w blat stołu.

- Czasy były niebezpieczne, po lasach grasowały hordy zbójów. Pewnego dnia wracałem z targowiska do domu - szczęśliwy, bo sprzedałem cały towar. Kiedy zjechałem z gościńca, zauważyłem unoszący się w oddali, niczym przepowiednia śmierci, czarny dym. Przeczucie mnie nie myliło: domostwo płonęło, a zwłoki mojej ukochanej wisiały zbezczeszczone na ostrokole. Ciało córki nigdzie nie znalazłem, jednak doskonale wiedziałem, jaki los ją czeka, jeśli przeżyła.

- Kiedy pochowałem żonę, poświęciłem swoje życie zemście. Odnalazłem każdego z nich. Zapłacili za to, co zrobili śmiercią okrutną. Pławiłem się w ich krwi, umierali tak długo, jak to było możliwe. Wpatrywałem się beznamytnie w cierpienie w ich oczach, byłem głuchy na skomlenie o litość. Za moją żonę, za cześć naszej córki.

- Nie, nie próbowałem jej odnaleźć. Bałem się spojrzeć jej w oczy. Ja, bezlitosny wobec morderców, nie miałem dość śmiałości, by odszukać moje maleństwo. Bogini Perfidia jednak o mnie nie zapomniała.

- Odwiedzałem grób żony codziennie. Pielęgnowałem, przystrzygałem trawę, zapalałem świece. Jakież było moje zdziwienie, gdy pewnego dnia na piaskowym kopczyku pojawił się bukiet pachnących, fioletowych fiołków. Myślałem, że ktoś położył go ot, tak sobie, ale kwiaty zaczęły pojawiać się regularnie. Postanowiłem wysledzić tajemniczego osobnika. Czy to mogła być ona? Gdzieś w głębi serca czułem dawno zapomniane migotanie, jednak od śmierci żony minęło już czterdzieści parę lat. Poza tym, miała zaledwie rok, gdy zginęła. Nie, to nie mogła być moja córka.

- Miała strasznie zniszczoną twarz. Siwe włosy i głębokie zmarszczki uczyniły z niej staruszkę. Staruszkę o oczach swojej matki. Poruszała się powoli, lekko utykając na lewą nogę. Odwiedzała grób matki raz na dwa tygodnie. Mijaliśmy się wtedy, przechodziła obojętnie obok mnie, a ja, ja. Nie potrafiłem spojrzeć prosto w twarz córce.

Drżące dłonie zakrywają twarz. Delikatnie szlocha. Milczę, bo cóż w takiej sytuacji można powiedzieć?

- Powinna mieć wszystko to, co ojciec chciałby dać córce. Wyjść za mąż, obdarzona dużym posagiem, urodzić dzieci i stworzyć wspaniałą rodzinę. Zamiast tego otrzymała od życia przemoc, gwałt, cierpienie. Cały świat, który znała, to arabskie burdele, zaślinione bydłeta, ciągłe bicie i upokarzanie. Czterdziestoletnia kobieta o wyglądzie staruszki. Moja córka. Jak miałbym ją za to przeprosić? Jakich słów użyć?

- Niedługo potem, jak odnalazła grób matki, zmarła. Pochowałem ją w tym samym miejscu. Nie związałem się już uczuciowo z nikim. Zbyt dużo cierpienia.

- Całe moje późniejsze życie falowało niby bezkresny ocean. Latami przebywałem w klasztorach o najsurowszej regule, by później ubrać mundur i rabować, mordować i gwałcić w imię jakichś idei. Jakich? Nie obchodziło mnie to. Liczyłem na to, że pewnego dnia nie obudzę się. Niestety, nadaremnie.

- Nie ustawałem w poszukiwaniach rozwiązania zagadki mojej nieśmiertelności. Przekopywałem sterty ksiąg, pergaminów, rękopisów. Odwiedzałem największych mędrców, byłem w tybetańskich klasztorach, nauczyłem się odczytywać hieroglify i pismo klinowe. Kiedy tylko usłyszałem o jakimś nieśmiertelnym człowieku, natychmiast kontaktowałem się z nim, mając nadzieję, że pomoże mi rozwiązać zagadkę. Cagliostro, hrabia de Saint-Germain. Wszyscy co do jednego okazywali się oszustami, wykorzystywali swoje historyjki by zdobywać kolejne panny z dworu. Oni się znakomicie bawili, a ja cierpiałem.

Wyciąga papierosa, nerwowo zapala. Odnoszę wrażenie, że teraz nastąpi najważniejszy moment opowieści.

- Zapach chałwy i potraw smażonych na tłuszczu, nieustanny harmider, przeplatany głosem muezina wzywającego wiernych na modlitwę, i multum handlarzy - arabski targ ma swój niewątpliwy urok. To tam znalazłem ten pergamin - brudny, niepozorny, a jednak ujrzawszy go, mało nie zemdlałem. Chciwie wpatrywałem się w arabskie litery, które układały się w zdania stanowiące najprawdopodobniej rozwiązanie zagadki mojej nieśmiertelności! Osłupiały z wrażenia, nie czułem, jak szarpie mnie rozzłoszczony właściciel pergaminu, domagając się zapłaty. Wcisnąłem mu w dłoń sakiewkę pełną złotych monet i pomknąłem natychmiast do hotelu.

- Mapa, ledwie widoczna na pergaminie, przedstawiała niewątpliwie okolice, w których się urodziłem. Tekst, napisany pokręconym, mistycznym językiem,

przekazywał informacje, które przyprawiły mnie o drżenie rąk. Podniecony dowiadywałem się, że złota rybka pojawia się raz na tysiąc lat w tym jeziorze, zawsze w pierwszą pełnię księżyca po wiosennym przesileniu.

- Nie, nie wiedziałem, kiedy mi się ukazała pierwszy raz. Kupiłem jednak domek w okolicy jeziora, i co roku, w pierwszą pełnię wiosny, szedłem znajomą ścieżką, mając nadzieję, że tym razem znowu ją spotkam. Jakże ciężko było za każdym razem spoglądać na taflę jeziora! Setki lat cierpień, upokorzeń, bólu. Nie doceniamy szczęścia, które nas spotyka, chcemy więcej i więcej, nie bacząc na cenę. A ta bywa straszliwa.

Zaciąga się mocno, powoli wypuszcza dym z płuc. Jego oczy błyszczą, spogląda na mnie zmęczonym wzrokiem. Gdyby nie młoda twarz, rzekłbym, że przede mną siedzi wiekowy, cierpiący starzec.

- Mimo, iż oczekiwana z niecierpliwością, ta noc nadeszła niespodziewanie. Kiedy wyszedłem przed dom, z niedowierzaniem zauważyłem lisią czapę wokół księżyca. Czyżby to dziś? Co sił w nogach pobiegłem w stronę jeziora, niosło mnie szczęście, moje cierpienia miały się ostatecznie skończyć! Już z daleka widziałem seledynową mgłę, spowijającą ścieżkę. Płakałem, biegnąc, dlatego dopiero po chwili zauważyłem ślady stóp, prowadzące ku jeziorze. Czyżby bogini Perfidia miała być aż tak okrutna?

- Odetchnąłem z ulgą, gdy zauważyłem, że osoba, która szła przede mną, była jednonoga. Ani chybi, kulawy Jasiek, osoba nie dość, że pozbawiona kończyny, to jeszcze głuchoniema. Nie będzie w stanie usłyszeć, co rybka ma do powiedzenia, nie wypowie trzech życzeń! Zdążę, muszę zdążyć.

- Kulawy Jasiek rzeczywiście nie wypowiedział żadnego życzenia. O nie. Dobiegłem do jeziora, rozglądając się, ale początkowo nic nie zauważyłem. Dopiero po chwili dojrzałem ofiarę złożoną na ołtarzu bogini Perfidii. Resztki ogniska oraz kupkę rybnich ości i złotych łusek.



Po jego twarzy błąka się uśmiech. Patrzy przed siebie niewidzącym wzrokiem, kiwając się lekko w przód i w tył.

- I w takim stanie go znaleźliśmy - głos doktora Kowalskiego dobiega jakby z innego świata, mimo iż stoi koło mnie. - Chodźmy, nic więcej już nie powie.

Kiedy wyszliśmy, obejrzałem się jeszcze za siebie. Widok opuszczonego przez śmierć nieszczęśnika na długo zapewne pozostanie mi w pamięci. Jakże łatwo zamienić swoje życie w piekło.

W milczeniu przemierzaliśmy korytarze. Tym razem panowała cisza, słycać było jedynie, zwielokrotniany przez głucho echo, stukot naszych butów. Tylko przez chwilę wydawało mi się, że słyszałem złowróbnny szept bogini Perfidii:

„ *Cena bywa straszliwa...* ”

## Zaklęta w żabę

Siedziała na kamieniu, smętnie wpatrując się w taflę jeziora. Zamiast ślicznych, czarnych jak węgielki oczu widziała brązowozielone, wylupiające ślepie. Zamiast smukłej sylwetki niezgrabny korpus. Delikatna jak atlas skóra? Ha, była teraz ohydna i lepiąca się od śluzu. A te koślawe nogi. Ech.

„Pieprzona wiedźma” - pomyślała. Tak sobie tylko zażartowała raz na przyjęciu z purchawki na jej nosie, a ta od razu za różdżkę i szast-prast. „Znajdź sobie teraz ty księcia, ropucho” wykrzyczała. I to jeszcze jaki tonem! Myślał jest smutków, a czasem radości. Kiedy tak siedziała i wpatrywała się w lustro wody, usłyszała szelest w zaroślach. Nauczona doświadczeniem już miała skoczyć w trzciny, kiedy kątem oka zobaczyła najpiękniejszy widok na świecie.

Przystojny był niemożebnie. Ciemne włosy wypadające lokami spod korony, smągła cera i mały czarny wąsik spowodowały, że zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia. Zgrabny, czerwony kubraczek, brązowe pończochy i żółte cizmy dopełniały widoku całości. Wpatrywał się w nią, a w jego księżących oczach malował się zachwyty.

- Pocałuj mnie dobrego księcia, a zmienię się w piękną księżniczkę. - powiedziała najśłodszym głosem jakim umiała.

A on wziął ją delikatnie na dłoń ciągle się przypatrując. Wzrok księcia spowodował przyspieszone bicie jej malutkiego serduszka. „Ciebie właśnie szukałem, skarbie” - wyszeptał. Przymknęła powieki oczekując z niecierpliwością na ten jeden, jedyny moment o którym ciągle marzyła. „Nareszcie” - pomyślała. - „Nareszcie!!!”

- Pocałuj mnie .

Wkrótce potem znaleźli się w zamku.

\* \* \*

Uczta była naprawdę wspaniała. Zgromadził się na zabawie kwiat rycerstwa,

książęta i księżniczki z sąsiednich królestw, nawet Jego Ekscelencja Kardynał, choć jako kapłan skromny był i grzechem obżarstwa nigdy się nie splamił a i smak okowity nie był mu znany, nawet on swą obecnością ucztę raczył zaszczyścić. Tańce trwały do białego rana, muzykanci dziarsko przygrywali a przy stołach trwała ożywiona dyskusja.

- Przystojny ten nasz książę. - Hrabina de Mayonesse wymownie spojrzała w jego stronę. - Szkoda, że taki nieśmiały strasznie, swoją obecnością nie raczy nam towarzystwa dotrzymać.

- To nie nieśmiałość, niestety. - Markiza von Muschtarda pokiwała śliczną główką. - Wiadomo ci bowiem, droga hrabino, że księcia naszego nieszczęście w młodości spotkało.

- Oj wiem, wiem. śliczny ten nasz książę niby cherubinek, szkoda tylko że głuchy biedaczek jak pień.

-Ale za to musisz przyznać, hrabino, że kucharz z niego doskonały.

- O tak, markizo. - Hhrabina z zachwytem przymrużyła oczy. - Nie da się ukryć, przyrządzanie potraw kuchni francuskiej przyswoił naprawdę wspaniale.

Rzeczywiście, dzisiejszego wieczoru żabie udka były przyprawione wprost idealnie.

## Duchy Marsa

Miller wpatrywał się w monotonnie migoczące cyferki na monitorze komputera. Jako jedyny z załogi „Aresa” nie podszedł do iluminatora, by podziwiać przesuwaną się niespełna tysiąc kilometrów pod nimi powierzchnię Czerwonej Planety. Głośno przełknął ślinę. Tysiąc kilometrów do Marsa. Prawie sześćdziesiąt milionów kilometrów od Ziemi. Od domu.

Miller bał się.

Podczas przygotowań na Florydzie nie myślał o tym. Bez żalu opuścił rodzinną Kanadę, nie widział tam dla siebie przyszłości. Był dumny, że został wybrańcem, członkiem elity, której dane będzie objęcie w panowanie najbliższego sąsiada - Marsa. Z zapalem wykonywał wszystkie ćwiczenia, zaciskał zęby i dokonywał niemożliwego by wejść w skład załogi, która miała zasiedlić pierwszą stację zbudowaną na Czerwonej Planecie - „Norio”. I wtedy niespodziewanie przypętała się kontuzja. Nic wielkiego, złamany palec, ale nie pozwolono mu lecieć. Głusi na jego tłumaczenia specjaliści NASA wyznaczyli do lotu rezerwowego potężnego, mrukliwego murzyna Browna. Oprócz niego poleciał też Lee - drobny, ale piekielnie wytrzymały Chińczyk oraz Schmidt - mający europejskie korzenie Amerykanin.

Tylko ten ostatni wrócił żywy.

Kiedy Miller usłyszał w telewizji, że z Marsa nadszedł sygnał S.O.S. po raz pierwszy poczuł strach. Kiedy chwilę po przekazaniu wiadomości statek-matka pierwszej wyprawy „Victor” zamilkł, przerażenie uderzyło w niego z całą mocą. W napięciu wysłuchiwał wiadomości ze statku ratowniczego „Rhea Silvia”, który natychmiast wyruszył z Ziemi. Ale nawet najnowszy napęd pozwolił dotrzeć „Rhei Silvii” na Marsa w ciągu trzech dni. Tylko po to, by wyciągnąć stamtąd ledwie żywego z przerażenia Schmidta.

Miller podziwiał go. Trzy dni w samotności, w bazie, której po zaginięciu kolegów

nie mógł opuścić ze względów bezpieczeństwa. Trzy dni, podczas których zapewne drżał ze strachu, miliony kilometrów od Ziemi, od tych, którzy mogą go uratować. Pozbawiony kontaktu z macierzystą planetą po zaginięciu „Victora” nie wiedział, czy sygnał „mayday” został wysłany i czy wyprawa ratunkowa wyruszy, czy nie.

Najbardziej imponowało Millerowi to, że Schmidt nie tylko nie zwariował, ale zdecydowanie domagał się uczestnictwa w następnej wyprawie. I po serii testów psychologicznych otrzymał zgodę.

Wysoki, potężnie zbudowany, wygolony na łyso Schmidt stał teraz wraz z resztą załogi - pilotem McFalem, drugim pilotem Guevarrą i kolejnym z mających wkrótce lądować obok „Norio” - misiowatym blondynem z Rosji Majewskim. Donośnymi, choć trochę nerwowymi głosami komentowali to, co widzą za oknem. Mogłoby się zdawać, że wypatrują śladów cywilizacji marsjańskiej. Nic dziwnego: w natłoku informacji, związanych z zaginięciem Lee i Browna wszelkie informacje dotyczące odkrytej przez nich dziwnej studni i spekulacje o naturze jej pochodzenia zeszły na drugi plan. A przecież odkrycie załogi „Norio” mogło całkowicie zmienić wiedzę o istnieniu życia w Układzie Słonecznym.

Dwumetrowej średnicy regularny otwór o gładkich ścianach rozbudzał wyobraźnię. Naturalny czy sztuczny? Sceptycy wskazywali na fakt, iż nie miałby go kto na Marsie wykonać. Mimo wielu badań nie stwierdzono na Czerwonej Planecie życia nawet na poziomie bakteryjnym. Zwolennicy teorii sztucznego pochodzenia otworu wskazywali na jego regularny kształt, debatowali na temat szklistych, gładkich ścian i pytali - a może istnieje podziemna cywilizacja marsjańska?

- Niemożliwe. - Dyskusja przy iluminatorze „Aresa”, za którym dostojnie przesuwiała się powierzchnia Marsa, również dotyczyła tego zagadnienia. - Nawet gdyby rozwinęli się pod powierzchnią, musieliby jakoś pozbywać się choćby szkodliwych gazów. - McFall był zdecydowanym zwolennikiem naturalnego

pochodzenia otworu w ziemi.

- A może to właśnie taki komin? - zapytał Majewski.

- Owszem, tyle że wówczas stwierdzilibyśmy bez trudu albo podwyższenie temperatury, albo chwilową bądź ciągłą zmianę składu chemicznego atmosfery w tym miejscu.

- A co ty o tym sądzisz? - zwrócił się do Schmidta Majewski. - W końcu widziałeś go z bliska?

Niemiec milczał przez chwilę, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Jest... dziwny. - Spojrzał prosto w oczy Rosjanina. - Zresztą sam się przekonasz.  
\* \* \*

Spoglądali na siebie - Miller i Majewski z nieukrywanym lękiem, Schmidt z obojętnością. „Ciekawe, czy jest taki twardy, czy tylko udaje” - pomyślał Miller. Sam nie zamierzał zgrywać bohatera - lądowanie było najtrudniejszym manewrem. Cała trójka, ubrana w kombinezony, zajęła już trzy przeznaczone dla nich miejsca w kapsule lądownika. Pomieszczenie przeznaczone dla nich było małe, ładownia - zawierająca niezbędny sprzęt - znacznie większa. Wyposażenie nie różniło się prawie niczym od wyposażenia poprzedniego lądownika. Znalazło się tylko miejsce dla dodatkowego urządzenia, które miało zbadać zawartość tajemniczej studni. Składało się ono z dwóch kamer, opuszczanych przez operatora do studni i komputera, rejestrującego i analizującego widok z obu urządzeń. Zbadanie tunelu było priorytetem obecnej misji.

- „Ares” do „Romulusa”, za dwie minuty odłączenie. - Głos McFalla brzmiał dziwnie obco w słuchawkach.

- Potwierdzam, dwie minuty do odłączenia - odpowiedział Schmidt.

Skierowali wzrok ku ścianie, na której - na małym monitorku - pojawiła się liczba sto dwadzieścia. Za dwie minuty rozpoczną spadanie ku Czerwonej Planecie. Za sto dziewiętnaście sekund... Sto osiemnaście..

Napięcie osiągało zenitu. Spoconemu Millerowi przez chwilę wydawało się, że ściany kapsuły zbliżają się do siebie, zaczynając wirować. Zamknął oczy. „To niemożliwe” - pomyślał. - „Uda się. Im się przecież udało”.

- Sześćdziesiąt sekund.

Minuta. Na czole i twarzy Majewskiego również pojawiły się krople potu. Schmidt pozornie beznamiętnie wpatrywał się w malejące liczby, jednak palce zacisnął kurczowo na oparciu fotela. „Nie taki z niego twardziel” - pomyślał Miller.

- Dziesięć... dziewięć... osiem... - Głos McFalla lekko zadrżał.

„Siedem... sześć... pięć...” - bezgłośnie powtarzał Majewski.

Co tam na nich czekało? Miller odruchowo spojrzął w dół. Oczywiście nie zobaczył nic, poza podłogą. Nie zdążył jednak nawet podnieść głowy, kiedy nagle potężne szarpnięcie niemal wyrwało go z fotela. Poczul, jakby spadali w bezdenną przepaść, tym dziwniejszy był głos w słuchawkach, brzęący, jakby pilot stał tuż obok nich.

- Powodzenia, „Romulus”!

\* \* \*

W takich chwilach doskonale można odczuć słabość człowieka. Z jednej strony potężny, panujący na Ziemi gatunek, powoli acz nieubłaganie zdobywający kolejne bastiony Układu Słonecznego, z drugiej - krucha istota, zamknięta w metalowej puszcze, poddana całkowicie woli planetarnej atmosfery. Duchy Marsa odprawiały swój mistyczny rytuał nad srebrzystym, dyskooidalnym „Romulusem”, rozjarzając go do czerwoności i wprawiając w drżenie.

Załoga lądownika siedziała nieruchomo. Nagle poczuli silne szarpnięcie. Miller zaniepokoił się, lecz kiedy spojrzął na lekko skrzywione w uśmiechu usta Schmidta zrozumiał. Spadochrony. To już? Kolejne szarpnięcie. I jeszcze jedno. Ze zdumieniem spojrzął na cyfry wyświetlające się na monitorze. Wszystko zgadzało się co do sekundy.

Poczuli, że napięcie pasów zmniejsza się. „Romulus” zwalniał. Drżenie ustało,

zamieniając się w delikatne kołysanie. Wydawać by się mogło, że są bezpieczni, jednak było to tylko złudzenie spowodowane utratą prędkości. Głuchy trzask oznaczał, że szybkość opadania jest już wystarczająca, aby rozłożyły się trzy metalowe podpory. Przed nimi pozostał jeszcze jeden, ostatni etap.

Usłyszeli szum silników hamujących. Pojawiło się znajome uczucie wciskania w fotel. Lądownik coraz wolniej opuszczał się na powierzchnię Czerwonej Planety, pierwsze kłęby rdzawego pyłu zaczęły unosić się dookoła miejsca lądowania. Trzy długie, metalowe nogi zanurzyły się powoli na kilka centymetrów w miękki grunt. Nagle zapadła cisza. Właz bezszelestnie otworzył się. Przymrużyli oczy - wschodzące Słońce, mimo iż mniejsze niż widoczne z Ziemi, oślepiało. Miller i Majewski rozstąpili się z szacunkiem, robiąc drogę Schmidtowi. Ten stanął w drzwiach, długo spoglądając na powierzchnię planety. W słuchawkach słyszeli jego przyspieszony oddech. W końcu kosmonauta spojrzął w prawo, pomachał do kamery, która zamocowana była na wysięgniku, automatycznie rozłożonym zaraz po lądowaniu i powoli zszedł po drabince. Sygnał z kamery błyskawicznie dotarł do „Aresa” a stamtąd natychmiast wysłany został na błękitną planetę.

Trzy minuty później obraz ten obejrzelি widzowie na Ziemi.

„Romulus” wylądował.

\* \* \*

- Witajcie na Marsie, koledzy! - Schmidt uściskał delikatnie obydwu towarzyszy. Ci zaś rozglądali się, oszołomieni jeszcze manewrem lądowania. Szybciej doszedł do siebie Majewski - natychmiast wyciągnął odbiornik. Stacja „Norio” nadawała sygnał, dzięki któremu byli w stanie poznać jej położenie i odległość.

- Mam nadzieję, że trafiliśmy na tyle blisko, że ją znajdziemy - powiedział Miller.

- Spokojnie, teoretycznie wylądowaliśmy w odległości do pięciuset metrów od stacji, sygnał ma zasięg dziesięciu kilometrów. Co jest do cholery z tym odbiornikiem!  
- Majewski potrząsnął urządzeniem.



- Ostrożnie, program się musi załadować - Schmidt podszedł do Rosjanina. - Poza tym nie musisz się tak męczyć. - wskazał kierunek ręką.

Miller zmrużył oczy i spojrzał tam, gdzie pokazywał Amerykanin. „Norio” z tej odległości była malutka, prawie niewidoczna. Gdyby nie wiedział, gdzie szukać, pewnie by jej nie zauważył.

- Daleko. - Majewski uruchomił w końcu odbiornik. - Jakies osiemset metrów.

- Ruszajmy się, trzeba uruchomić łazik - pogonił kolegów Schmidt. - Do wieczora powinniśmy zawieźć cały sprzęt na stację.

Pojazd poruszał się wolno, w dodatku miał bardzo ograniczoną ładowność. Mimo iż po pierwszym kursie jeden z nich zostawał w stacji, a pozostała dwójka jechała do ładownika po instrumenty, butle z tlenem oraz żywność, rozładunek trwał do wieczora. Ognista kula Słońca zachodziła już za horyzont, kiedy ostatecznie zakończono prace wstępne.

Stacja badawcza „Norio” prezentowała się więcej niż skromnie. Ot, sześcienna bryła w stalowoniebieskim kolorze, z jednej strony chroniona przez niezbyt wysokie, brunatne skały. Był to dopiero pierwszy moduł, w pełni jednak funkcjonalny. Kolejne miały być sprowadzane w przeciągu kilku lat. Zawierała pomieszczenie mieszkalne dla czterech osób, dwa pokoje badawcze i magazyn. Tlen dostarczany miał być przez nowoczesne, udoskonalone ogniwo, wykorzystujące metodę stałych elektrolitycznych polimerów. Ze względu na drobne usterki stacja zaopatrywana była w tlen z butli, ogniwo polimerowe dostarczone miało być wraz z modułem laboratoryjnym.

Majewski ze Schmidtem wynosili właśnie stare, zużyte butle i wnosili nowe.

- Pomóc wam? - Miller skończył ładowanie żywności do magazynu i podszedł do kolegów.

- Nie trzeba, puste butle nie są ciężkie. Gorzej z tymi nowymi, ale damy radę. Zajmij się lepiej łazikiem - odparł Schmidt.

Pojazd należało zabezpieczyć na wypadek zamieci lub burzy piaskowej. Służył do tego specjalny namiot, ustawiony obok stacji. Siedząc za kierownicą Miller odczuwał pokusę, by jeszcze dziś wyruszyć w kierunku tajemniczej studni. Na przekór zdrowemu rozsądkowi pragnął, by była ona tajemniczym wejściem do marsjańskiego nieznanego świata. Oczyma duszy widział siebie jako odkrywcę nowych lądów, marsjańskiego Vasco da Gama czy Kolumba.

„Jutro zamontujemy sprzęt” - pomyślał. - „Jutro już będziemy pewnie wiedzieli.” Słońce skryło się za horyzontem. Na niebie pojawiły się dobrze znane gwiazdozbiory. Przez chwilę Miller poczuł się jak w domu. Tyko księżyc był znacznie mniejszy - średnica kątowna Deimosa była trzy razy mniejsza niż ziemskiego Księżyca. Phobosa zaś nie mógł znaleźć i nic dziwnego - nie różnił się wielkością i jasnością od większych gwiazd.

- Magiczne, prawda? - Schmidt zniechęca poklepał go po ramieniu. - Pół pierwszej nocy tu spędziłem.

- Piękne. - Majewski stał kilka metrów dalej.

- Chodźmy spać. Jutro będzie ciekawy dzień. I mam nadzieję, że odkrywcy. - Amerykanin ruszył ku stacji. Niechętnie poszli za nim. Ostatni wchodzący, Rosjanin, zamknął włącznik.

Zasnęli szybko.

\* \* \*

Stali nad otworem. Miller zauważył, że niebo ma dziwny, krwawy odcień. Pobliska skała zasłaniała wschodzące Słońce, stali więc w cieniu. Metalowy maszt, przy pomocy którego mieli opuścić kamerę, był już umocowany do podłoża. Miller i Majewski spojrzeli w kierunku Schmidta, stojącego przy rejestratorze. Ten włączył monitor i widząc, że obraz z kamery jest idealnie dostrojony podniósł kciuk do góry.

Powoli opuszczali urządzenie w głąb. Kabel miał trzysta metrów długości, nie przypuszczano, aby miało zabraknąć. Miller obserwował wskaźnik zanurzenia.

Pięćdziesiąt metrów, sześćdziesiąt... Kamera nadal się opuszczała. Przy stu metrach westchnął - otwór był naprawdę głęboki. Przy dwustu poczuł zaniepokojenie. Po kolejnych pięćdziesięciu odwrócił się ku Schmidtowi, by spytać, czy nie widać dna.

I wtedy w jego uszach zabrzmiał potworny, rozrywający bębenki krzyk.

Miller zobaczył, jak Amerykanin wskazuje palcem coś za nim. Ze studni wydobywał się czarny dym, otaczając przeraźliwie krzyczącego Majewskiego. Słup dymu miał kilkanaście metrów wysokości. Nagle z boków wytrysnęły na kształt rąk dwa mniejsze kłęby. Błyskawicznie dopadły Rosjanina, podnosząc go na kilka metrów i rzucając o ziemię. Szkło hełmu pękło momentalnie, Miller usłyszał w słuchawkach, jak krzyk zamienił się w charkot. Usłyszał coś jeszcze.

- Uciekaj!

Mglista postać odwróciła się ku niemu. Wierzchołek dymu rozdzielił się na dwie części niczym potworne usta. Kanadyjczyk odwrócił się i zaczął uciekać. Ale było już za późno.

Poczuł nagle, jak jego ciało uniosło się a twarz ogarnął mróz. Pozbawione tlenu płuca bezsilnie wciągały mroźne powietrze, żelazna pętla zacisnęła się na piersi. Zwijał się z bólu, otaczała go ciemność. Nie widział już nic. Duchy Marsa obroniły swoją planetę...

Obudził się, ciężko dysząc. „Cholerny koszmar” - pomyślał. Nadal otaczała go ciemność, ale była to ciemność nocy. Pozostali członkowie załogi spali, lekko pochrapując. Spojrzał na zielone cyferki zegara. Wschód Słońca miał nastąpić za trzy godziny. Oczywiście ziemskie godziny. Przez chwilę jeszcze wspominał czarny dym, wydobywający się ze studni, zmęczenie jednak zwyciężyło i zasnął ponownie.

Tym razem nie śniło mu się już nic.

\* \* \*

- Przytrzymaj! - krzyknął Schmidt. Majewski, jako najsilniejszy z nich, napiął mięśnie i z niewielką pomocą Millera ustabilizował metalowy maszt. Wielkie,

metalowe kotwy wkrótce znalazły się w gruncie. Schmidt zadowolony odrzucił młot. Najtrudniejsza część pracy była już za nimi.

Nad studnią udało im się zamocować metalowego żurawia. Obok stało urządzenie rejestrujące. Teraz pozostało tylko odpowiednio wszystko podłączyć i mieć nadzieję, że uda się wyjaśnić zagadkę studni.

- Twoja kolej. - Amerykanin poklepał Millera po plecach. - My jedziemy zamontować lustro, wrócimy za kilka godzin. Mam nadzieję, że zdążysz.

Miller już miał odpowiedzieć, kiedy kątem oka zauważył jakiś ruch na skale osłaniającej otwór. Spojrzał zdumiony w tamtym kierunku, jednak wszystko nadal było na swoim miejscu. Tak mu się przynajmniej wydawało.

- Duchy Marsa... - zmieniony nieco głos Schmidta zabrzmiał w słuchawkach. - Przerażające, co? Olbrzymia planeta, a na niej trzy żywe istoty. Tylko trzy! A jednak każde osunięcie się kamieni, każde światełko gdzieś na horyzoncie oszukuje naszą przyzwyczajoną do wszechobecnego życia psychikę. Spoglądamy ze strachem, z niedowierzaniem zapominając, że tu nie ma poza nami nikogo. Nikogo!

- Mówiłem im - kontynuował po chwili milczenia Amerykanin - mówiłem im, że to tylko złudzenie. Przecież przyczyną tego błysku mogło być wszystko. Skała odbijająca światło, meteoryt, który właśnie upadł. Uparli się, że pojedą zobaczyć. Mieli wrócić za kilkadziesiąt minut. Nie wrócili...

Ze zdumieniem spoglądali na Schmidta. Dziwnym zdawał im się fakt, iż ten pozorny twardelec też miał uczucia. Pierwszy przełamał się Rosjanin. Zasiadł za kierownicą łazika, spojrzął na Millera i powiedział:

- Wracamy za trzy godziny. Mam nadzieję, że zdążysz.  
\* \* \*

Długo spoglądał za odjeżdżającym pojazdem. Kiedy łazik zniknął za załosem dalekiej skały, stał jeszcze przez chwilę, po czym przystąpił do łączenia przewodów. Nie spieszył się, trzy godziny powinny wystarczyć mu aż nadto. I rzeczywiście -

wszystko zagrało idealnie, nie było żadnych problemów więc już po godzinie mógł uruchomić aparaturę rejestrującą. Włączył program testujący - wyniki były zadowalające. Sprawdził czy maszt jest odpowiednio zamocowany, a kabel, na którym miały się zagłębić kamery, niesplątany.

Spojrzał na zegarek. Zostało mu jeszcze półtorej godziny. Przypomnił sobie dziwny sen. Mimo iż była to tylko nocna mara, przebywając w pobliżu studni czuł się nieswojo. Postanowił obejść skałę. Spojrzał jeszcze raz w miejsce, gdzie zdawało się coś poruszać. Oczywiście tym razem nic się nie zmieniło.

Skała przypominała czerwonordzawy kopiec, sterczący na kilkaset metrów w górę. Od strony otworu miała w miarę regularny kształt. Miller powoli ruszył dookoła. Po drugiej stronie regularność uległa zniekształceniu. Marsonauta zauważył wgłębienie w zboczu. Przyjrzał się uważnie i znieruchomiał.

Część zbocza wyglądała jak osuwisko, wydawało się jednak, że brak mu naturalności. Bardziej przypominała sztuczne nagromadzenie gładów. Było to oczywiście niemożliwe, dopiero po chwili dotarło do niego, że być może Schmidt z kolegami podczas poprzedniej misji wykonywali tu jakieś prace. Powoli podszedł do sterty kamieni. Odrzucił jeden gład, drugi... Po kilku następnych miał ochotę się poddać. Doszedł do wniosku, że mogło to być jednak osuwisko naturalne. I wtedy pojawił się prześwit. Z wysiłkiem odepchnął jeszcze kilka skał i zajrzał do środka.

Poczuł, że zakręciło mu się w głowie. Odszedł od zwałowiska. Przez chwilę nie wiedział, co robić. W końcu przestawił tryb mikrofonu tak, aby słyszał go tylko Rosjanin.

- Majewski, mamy chyba duży problem. Majewski, słyszysz mnie? Majewski!

W słuchawkach panowała cisza. Nagle zrobiło mu się gorąco.

Zrozumiał.

\* \* \*

Mimo iż jego ruchy ograniczone były skafandrem, przy stacji „Norio” znalazł się

stosunkowo szybko. Ostrożnie rozglądając się, wszedł do środka i odszukał skrzynkę z narzędziami. Przez chwilę żałował, że nie wyposażono ich w jakąś odmianę pistoletów, szybo jednak zreflektował się - kto miałby być dla nich zagrożeniem na pustynnej planecie?

Metalowy łom, który znalazł Miller, dawał mu pewną przewagę. Marsonauta nie wiedział, jaką wytrzymałość ma hełm, miał jednak nadzieję, że w starciu z kawałkiem metalu pęknie jak bańka. Tak zaopatrzony przeszedł do magazynu. Postanowił sprawdzić, czy jego teoria, która przyszła mu do głowy kiedy wędrował pieszo na „Norio”, jest prawdziwa. Wystarczyła minuta, by zdobyć potwierdzenie. Nagle jakiś cień przesłonił wejście. Miller odwrócił się.

Przez chwilę stali, spoglądając na siebie z zaskoczeniem.

- A gdzie Majewski? - zapytał Miller.

- Dobrze, że jesteś. Potrzebujemy twojej pomocy. Właśnie miałem po ciebie iść  
- odpowiedział Schmidt.

- Wystarczyło mnie zawołać przez radio. Gdzie Majewski?!

Schmidt zawahał się przez chwilę, po czym na jego twarzy pojawił się złowieszczy uśmiech.

- Więc już się domyśliłeś? - Przymrużył oczy sprężając się do skoku. W ostatniej chwili Miller podniósł łom, powstrzymując drugiego mężczyznę przed podjęciem pochopnej decyzji. Trzymając oburącz metalowe narzędzie nad głową, cofnął się nieco.

- I co teraz? - Amerykanin wydawał się być wyluzowany, jego oczy nieustannie jednak śledziły ruchy Kanadyjczyka. - Zabijesz mnie? Uwięzisz?

- Powiniem - odpowiedział Miller. - Ale zanim to zrobię, przejedziemy się.

Z satysfakcją spojrział na zdziwioną minę tamtego.

- Powiniem cię związać, zawiadomić „Aresa” i Ziemię i niech tam cie osądzą.

Ale skoro już tu jestem, nie odmówię sobie wyjaśnienia tajemnicy pewnej małej dziury w Marsie. Kłopot w tym, że potrzebna mi jest pomoc. Więc mi pomożesz.

Wsiedli do łazika, Schmidt jako kierowca i Miller z tyłu. Amerykanin był praktycznie bezradny. Zdawał sobie sprawę, że za nim siedzi uzbrojony w łom Miller. Jakakolwiek próba gwałtownego manewru mogła skończyć się rozbiciem hełmu i - jako że atmosfera Marsa składała się w dziewięćdziesięciu pięciu procentach z dwutlenku węgla - śmiercią przez uduszenie.

Kiedy dojechali na miejsce, Kanadyjczyk ukradkiem spojrzął na kolegę. Zaskoczyło go trochę, że Schmidt nawet nie spojrzął w kierunku zwałowiska. Cały czas swój wzrok miał skierowany na niego. „Zastanawia się, jak mnie podejść” - pomyślał Miller.

Schmidt stanął przy rejestratorze. Zimnym spojrzeniem przeszył kolegę, lekceważącym gestem podnosząc palec do góry. Kanadyjczyk, nie spuszczając wzroku z towarzysza, nacisnął przycisk i stalowy bęben zaczął się kręcić. Kamery ruszyły w swą wędrówkę.

Licznik pokazywał kolejne metry. Kiedy przekroczył setkę, Millerowi przypomniał się koszmar. W miarę opuszczania urządzenia niepokój rósł, choć nie miało to żadnego sensownego uzasadnienia. Walec z kablem mozolnie obracał się. Dwieście metrów, dwieście dwadzieścia... Strach o to, czy starczy przewodu przeplatał się z wizją czarnego Ducha Marsa, goniącego go i rzucającego o Ziemię. Dwieście pięćdziesiąt metrów. Miller przymrużył oczy. Teraz...

Kątem oka zobaczył białą sylwetkę skaczącą ku niemu. Odruchowo, na oślep uderzył łomem przed siebie, tam, gdzie spodziewał się zastać hełm Schmidta. Bardziej poczuł niż usłyszał chrzęst. Oczy Amerykanina rozszerzyły się, twarz posiniała, usta, zachłysnąwszy się mroźnym powietrzem bez grama czystego tlenu, wydały bezgłośny krzyk. Schmidt chwycił rękoma za szyję po czym upadł na ziemię drżąc w

konwulsjach. Agonia nie trwała długo.

Miller przyglądał mu się w milczeniu. Włączył nadajnik.

- „Ares”, zgłoś się.

Cisza.

- „Ares”, zgłoś się. - Jego głos zadrżał.

Czyżby jakieś fatum? Nagle przypomniał sobie los „Victora”, poprzedniego statku-matki. Nie odnaleziono nawet jeszcze jego wraku. Uświadomił sobie z przerażeniem, że z pierwszego lotu nie ocalał nikt, a z drugiego tylko on i...

„Ares”?

- „Romulus” wzywa „Aresa”, „Romulus” wzywa „Aresa”, McFall do cholery odezwij się!

- Tu „Ares”, słyszę cię, „Romulus”! - głos pierwszego pilota zabrzmiał nagle w słuchawkach. Miller miał ochotę skakać z radości, kiedy jednak spojrzał na ciało leżącego u jego stóp Schmidta spochmurniał.

- „Romulus” do „Aresa”, „Romulus” do „Aresa”. Zabierajcie mnie stąd...

Natychmiast!

\* \* \*

Nie mógł uwierzyć, że to już koniec. Że siedzi sobie na pokładzie „Aresa” bezpieczny, popijając gorącą kawę, a McFall i Guevarra kręcą się nerwowo, czekając na wyjaśnienia. Zamknął oczy. Musi im opowiedzieć, oczywiście, ale jeszcze chwilka. Jeszcze sekunda odpoczynku.

- Więc mówisz, że to on zabił Lee i Browna? Ale dlaczego? - pierwszy nie wytrzymał McFall.

Miller uśmiechnął się. Ślady zbrodni trudno ukryć nawet na planecie, na której nie ma świadków.

- Też nad tym myślałem. Kiedy wracałem do bazy przypomniały mi się pierwsze godziny załadunku. Chciałem pomóc im w noszeniu butli, oni jednak stwierdzili, że dadzą sobie sami radę. Później, w magazynie zobaczyłem, że wymienili wszystkie.



Dlaczego wszystkie? Przecież poprzednio nie skończyli misji, poza tym ostatni dni Schmidt spędził sam. Najwyraźniej doszło do awarii i rozszczelnienia butli. Awaria, błąd ludzki? W każdym razie chyba tylko Schmidt to zauważył.

- Kiedy w zwałowisku znalazłem łazika wiedziałem, że Lee i Brown nie zaginęli - kontynuował Miller. - Schmidt zabił ich obojgu. Najpierw próbował skontaktować się z „Victorem”, ale „Victor” nie odpowiadał. Schmidt nie miał pojęcia, że na statku odebrano przekaz i wysłano na Ziemię sygnał S.O.S. Kiedy nie doczekał się odpowiedzi uzmysłowił sobie, że jedyne zapasy tlenu znajdują się w butlach przy skafandrach - tych, co mieli na sobie i ratowniczych. Ale wiedział też, że nawet, jak na Ziemi się zorientują, miną trzy dni, zanim przybędą. A tlenu starczy właśnie na trzy dni, ale tylko dla jednej osoby. A może „Victor” ma tylko zepsute radio? Musiał podjąć decyzję błyskawicznie.

- Nie wiem, jak to zrobił. Łazika znalazłem w naturalnej grocie w skałach przy studni. Prawdopodobnie skończyli tak jak on, z rozbitymi hełmami. Dlatego też upierał się, by powrócić na Marsa. My myśleliśmy, że z niego taki bohater, a on po prostu pragnął zatrzeć ślady zbrodni. Zastanawiam się tylko, czy pozbycie się nas miał w planach, czy też Majewski się jakoś zorientował. Ale tego już nigdy się nie dowiemy...

McFall i Guevara siedzieli, nie odzywając się. Każdy z nich myślał o poległych towarzyszach, o Duchach Marsa, które zazdrośnie strzegły swej tajemnicy.

- A co ze studnią? - zapytał pierwszy pilot.

- Popatrzcie sami. - Miller włączył obraz. - To wszystko co nagrały kamery.

Obraz był monotony. Regularna, okrągła dziura, bez wątpienia jednak naturalna. Gdyby nie pojawiające się raz za czas drobne pęknięcia na ścianach można by pomyśleć, że obraz znieruchomiał. Kiedy licznik pokazał dwieście pięćdziesiąt metrów, tunel rozszerzył się lekko, a na ekranie ukazało się kamieniste dno. - I koniec tajemnicy.

Choć nie spodziewali się innego zakończenia, byli jednak lekko rozczarowani. McFall po chwili wrócił do swych przyrządów, Guevara podążył wkrótce w jego ślady. Miller odprężył się, zamknął oczy.

Po raz kolejny przypomniała mu się studnia. I moment w którym Schmidt rzuca się na niego. Dlaczego on to zrobił? Wiedział, że nie ma żadnych szans w starciu z kawałem metalu. Miller raz jeszcze rozpatrywał tę sytuację.

Kiedy odwrócił się ku Schmidtowi ten akurat skakał w jego kierunku. Podniesiona dłoń wskazywała studnię, a na twarzy... Czy to był grymas wściekłości czy przerażenia? Ale co takiego mogło przerazić Amerykanina by zaryzykował życiem? Jeszcze możliwe gdyby coś ujrzał na monitorze rejestratora, ale przecież Miller oglądał film ze studni kilkakrotnie i nie było tam nic przerażającego.

Nic?

Nagle Miller pobladł, a jego ciało zaczęło drżeć.

Tu nie chodziło o to, co tam było, a czego tam nie było! Przecież Schmidt musiał pozbyć się jakoś ciał Lee i Browna, oczywistym było, że skoro zabił ich w pobliżu studni, tam właśnie wrzucił zwłoki. Nic dziwnego, że Amerykanin

zapomniał się z przerażenia.  
W studni nie było żadnych szczątków!

## Wybraniec

Zaraz przyjdą.

Przemierzam świat, szukając takich jak oni. Zdecydowanych ujrzeć jedyną drogę, skosztować z kielicha prawdy. Pokazuję im światło, wskazuję kierunek, którym może podążyć ich pozbawiona dotychczas sensu egzystencja. Kruchych istot, rozpaczliwie poszukujących wyjaśnień.

Ludzkie życie. Kilkanaście lat dzieciństwa, ledwie kilkadziesiąt pracy, nauki, twórczości lub po prostu bycia a potem powolny zmierzch. Widzę, jak próbują zmierzyć się ze sobą. Jedni gromadzą złoto, inni tworzą wielkie dzieła: pomniki, katedry, piszą księgi, komponują muzykę. Odrzucają myśl o śmierci i nieistnieniu, jakaż bowiem może być radość bogacza, gdy wiatr rozdmuchuje prochy jego ciała? Jakże zaspokoić może próżność twórcy, kiedy jego ciało gnije w grobie?

A ci zwykli ludzie, żyjący z dnia na dzień? Rozpaczliwie obserwujący lato, później jesień, odsuwają od siebie nieuchronność nadejścia zimy. Przeżywają swe drobne radości i smutki, wsłuchując się z niepokojem w szmer ziaren piasku w klepsydrze. A kiedy już szron pokryje ich głowy, spoglądają w zwierciadło duszy pytając „Więc to już? Cóż uczyniłem na tym świecie? Jeszcze tyle mógłbym zrobić.”. Odchodzą, wspominani przez nielicznych.

Potrzebują kogoś takiego jak ja. Wybrańca.

Odwiadam wioski i miasta, nauczając. Zawsze znajdzie się ktoś godny dostąpienia zaszczytu skosztowania owocu prawdy. Wiem, że ujrzenie światła jest trudne. Nieraz obrzucono mnie wyzwiskami, przegoniono, szczuto psami. Czasami, kiedy wydawało mi się że znalazłem kandydata chcącego napić się ze źródła wiecznej prawdy, on rezygnował. Nie wszyscy potrafią zrozumieć, że droga do szczęścia prowadzi przez cierpienie. Jakże bowiem mówić o rozkoszy nie znając bólu? Czyż ślepy może dyskutować o kolorach?

A kiedy znajdę kilku spragnionych, zapraszam ich do takich miejsc jak to.

Mała polana pośrodku lasu, oświetlona jedynie srebrzystym blaskiem księżyca. Gwiazdy niby latarnie nadziei rozsiane na granatowym oceanie nieba. Płomienna Wenus nad horyzontem, wskazująca wybranym drogę. Delikatna pieszczota wiatru, szum drzew.

Słysząc nieśmiałe szepty. Pomiedzy pniami widać mgliste, poruszające się ogniki. Obserwuję ich, kiedy nadchodzą. Nieśmiało, powoli stawiają kroki, rozglądając się dookoła. Gaszą pochodnie, po czym ustawiają się w okręgu dookoła mnie, Wybrańca. Poważne, skupione spojrzenia.

Dziś, moi drodzy, poznacie Prawdę, podążycie ku swojemu przeznaczeniu. Otrzymacie bowiem dar, który i ja niegdyś otrzymałem. Nie ufajcie fałszywym prorokom, cóż bowiem mogą wam dać oprócz ułudy? Obiecują wam w nagrodę za trudy ziemskiego życia nieśmiertelną duszę? Ja przebijam ich nędzną, kłamliwą ofertę. Ja dam wam nieśmiertelność już teraz. Daję wam wieczne życie tu, na tej ziemi, byście mogli realizować swe cele, osiągnąć to, o czym marzycie. Oferuję wam wieczną młodość, byście nie spoglądali z poczuciem nieuchronności w zwierciadła. Wieczne szczęście, abyście nigdy nie zaznali bólu. Już wkrótce to osiągniecie, wystarczy tylko że na chwilę zatopię zęby w waszych szyjach kosztując ciepłej krwi...

## **Zaproszenia**

Zacinający mocno deszcz przemoczył moje włosy do szczytu. Łzy nieba spływały po policzkach, kapiąc na czarny garnitur, który dziś założyłem. Ściskając w ręce zmoknięty kawałek papieru przepychałem się przez tłum. Odbijałem się od stojących, zastygłych w refleksyjnej zadumie postaci, szukając swej ukochanej. Była blisko, czekała na mnie. Zawsze czekają.

Właśnie nadszedł ten dzień. Spojrzałem jeszcze raz na mokre zaproszenie, by się upewnić. Delikatnym, acz stanowczym ruchem odepchnąłem znajdujących się przede

mną ludzi. Stojący obok pulchny blondyn w ciemnym, wełnianym płaszczu, spojrzał na mnie z oburzeniem. Zmierzyłem go wzrokiem od stóp do głów - odwrócił się zmieszany w stronę niewielkiego, białego budynku. Spojrzałem tam i ja. I westchnąłem z zachwytem.

Moja oblubienica czekała na mnie. Była piękniejsza, niż się spodziewałem. Długie, falujące włosy opadały na twarz, co czyniło ją jeszcze bardziej pociągającą. Biała suknia, pozornie skrywając całe ciało, w istocie uwypuklała jego krągłe, podniecające kształty. Poczulem znajome drżenie mięśni. Powietrze wibrowało mistycznym erotyzmem. Dziś wieczór, kochanie, będziesz moja...

Milczysz? Wszystkie milczycie. Fałszywa skromność, moim zdaniem. Niepotrzebnie, skarbie, nawet milczenie jest oznaką zgody. Wiem, że mnie pragniesz. Twoje zachowanie wręcz prowokuje mnie do dalszych działań. Dlaczego wszystko potraficie tak komplikować? Tak trudno powiedzieć wprost?

Nasze pierwsze spotkanie to preludium do tego, co zdarzy się dzisiejszej nocy. I kiedy widzę zadumą na twojej twarzy, tylko się delikatnie uśmiecham. Otaczające nas postacie rozplývają się we mgle, tak naprawdę ich nie ma. Tylko twoje ciało otacza gęsta, mistyczna poświata. Cała reszta świata zapada się w gigantycznym kolapsie. Jesteśmy tylko my - ty i ja. Ja i ty. Oblubieniec i oblubienica.

Stoję długo, wpatrzony w ciebie. Nie mogę już doczekać się wieczoru.

\* \* \*

Przepraszam.

Obiecuję sobie od dawna, że powinienem się ustabilizować. Być wiernym tylko jednej ukochanej, tylko ją odwiedzać, wspólnie dzielić łóżko. Miłość w najczystszej postaci eksploduje we mnie zawsze, kiedy spoglądam na twarz nowej kochanki. Delikatnie przesuwam dłońmi po jej gładkiej, alabastrowej skórze, szeptem obiecuję związek aż do śmierci. Kiedy wychodzę, pragnę wrócić do niej jeszcze raz, i następny, i następny... Sycić się ciałem oblubienicy aż po śmierć. Tylko moja, na eony...

A potem widzę kolejne zaproszenie. I zaczynam się zastanawiać: kim jest osoba,

której nazwisko w nim zapisano? Nie mogę oprzeć się pokusie. Na samą myśl o kolejnej zdobyczy czuję gwałtowne przyspieszenie rytmu serca, czasami nawet - wstyd się przyznać - dostaję wzwołu. Wiem, że już tam na mnie czekasz, skarbie. Zdzieram gwałtownym ruchem kartkę z tablicy i biegnę do domu.

Długi, gorący prysznic zmywa ze mnie poczucie winy. Pieszcząc namydlonymi rękoma ciało, szykuję się na spotkanie. Wkładam wyjściowy garnitur, delikatnie przecieram włosy żelem. Przeglądając się w lustrze, myślę już tylko o czekającym nas spotkaniu.

Kiedy widzę kolejną, czekającą na mnie kochankę, zapominam o wszystkim. Dawnych, zbyt pośpiesznie rzuconych obietnicach, nieruchomych twarzach, zawiedzionych nadziejach... Liczy się tylko ta, która już wkrótce znajdzie się w mych objęciach. Wiem, że zawiodłem. Nie jestem stworzony do monogamii. Może kiedyś, gdy ponownie się spotkamy, będziecie w stanie to zrozumieć. Może nawet wybaczyć. Teraz mogę tylko powtórzyć jedno słowo.

Przepraszam.

Ostatnie ziarno piasku zaszczyliło swą obecnością resztę braci, spoczywających na dnie szklanego zbiorniczka klepsydry. Promienie słońca dawno już skryły się za horyzontem, oddając atramentowe niebo w posiadanie srebrzystej lunie. Ucichły kroki przechodniów, ciszę przerywał czasami jedynie warkot silnika spieszącego dokądś samochodu. Dzielnica, w której mieszkam, leniwie układała się do spoczynku.

Ja tymczasem wybierałem się do ukochanej. Dzięki zaproszeniu, umieszczonym na drewnianej tablicy przy naszym małym kościółku, spotkałem się z nią podczas południowej mszy, a teraz podążałem na miłosne tete-a-tete. Zabrałem ze sobą wszystko, co niezbędne, by nasycić nasze ciała pożądaniem. Idę do ciebie, oblubienico...

Odsuwanie wszelkiego rodzaju wieńców i wiązanek, choć monotonne, nie denerwuje mnie już tak, jak dawniej. Staram się odrzucać na bok kwiaty jak najwolniej. Dodatkowy dreszczyk emocji pogłębia podniecenie, świadomość, że moja kochanka jest tak blisko, a jednocześnie nie mogę jej jeszcze dotknąć, wywołuje u mnie poczucie euforii. Aż w końcu nadchodzi ten moment, kiedy odsuwam betonowe płyty, wślizgując się do wnętrza bunkra rozkoszy.

Nie spieszy mi się. Każdą czynność wykonuję powoli, z namaszczeniem. Zapalenie dwóch świec, byśmy mogli wzajemnie na siebie spoglądać. Powolne odkręcenie wieka. I najbardziej oczekiwana chwila, kiedy twoja zastygła, marmurowa twarz wynurza się z wyściełanej atłasem trumny. Gładząc twoje śnieżnobiałe policzki płacząc - w końcu dane nam było spotkać się sam na sam. Tak oczekiwałem na tę chwilę. Kocham ciebie, wiesz?

Moje dłonie skradają się coraz niżej. Pozwolisz, że cię rozbiore, byśmy mogli się nasycić sobą wzajemnie? Wiem, że się zgodzisz. Nie odmawiacie, nigdy nie odmawiacie. Nasze nagie ciała łączą się niczym implodujące gwiazdy, zamieniając



lokalny wszechświat w czarną dziurę. Nie istnieje dla nas czas i przestrzeń, tylko ocean nienasyconych neuronów atakują gwałtowne fale orgazmu. Całuję twoje nieruchome usta, pieścę lodowate ciało mając nadzieję, że kiedyś ponownie nadejdzie dzień, gdy oddasz pocałunek, a serce zapulsuje uczuciem. Ale nie, Agnieszko, ty już do mnie nie wrócisz.

Spoglądam na twą nieruchomą twarz, zastanawiając się, czy tobie również było przyjemnie? Och, wiem, że tak. Mdłe światło świec powoduje, że tańczące na twej twarzy cienie pokazują, jak uroczo się uśmiechasz.

Muszę już iść. Kładę na twej sukni czarną różę, skropioną brylantami łez. Doskonale komponuje się z jej alabastrową bielą. Po raz ostatni spoglądam na ciebie, chciałbym obiecać, że jeszcze powrócę. Ale wiem, już wiem, że to niemożliwe. Nie miej, proszę, żalu.

Ja też ci dziękuję, kochanie, za wspaniały wieczór. Byłaś cudowna, naprawdę.  
\* \* \*

Złocistolistny kobierzec rozciągał się u mych stóp. Jesienny spacer po parku pozwalał odetchnąć, zapomnieć o problemach. Obserwowałem wędrujące pary, staruszków karmiących wiewiórki, szczekające psy, gwałtownym merdaniem ogona oznajmiające właścicielom swą nieskazitelną radość... Czyż świat rzeczywiście może być tak nieskomplikowany?

Zawsze w tym miejscu odpoczywałem. Wyciszałem umysł, opróżniałem go z całego, zalegającego w gigantycznych ilościach gówna. Czasami zdawało mi się nawet, że już niedługo, że przecież jestem normalny...

Obok mnie na ławce siedziała para młodych ludzi, jeszcze przed chwilą czule spoglądających sobie w oczy. Coś widocznie musiało się zmienić, bo teraz rozmawiali podniesionym głosem, przekrzykując się wzajemnie. Padały gorzkie słowa, w oczach dziewczyny lśniły już łzy. Powinienem im współczuć, może podejść, powiedzieć, że szkoda czasu na kłótnie. Że w każdej, zwłaszcza tej najmniej spodziewanej chwili

może zająć coś, co uświadomi im ulotność ludzkiego życia. Może powinienem, ale ja...

Zazdrościłem im. Pewnie wyda się to dziwne, ale zazdrościłem im. Wytykali sobie wszystko to, co stanowiło przeszkody w ich związku, a ja przysłuchując się tym kłótniom płakałem.

Mógłbym się z tobą kłócić codziennie, Agnieszko.

Gdybyś tylko mogła wrócić...

\* \* \*

Ten dzień był wyjątkowy. Kiedy wieczorem spacerowałem po ogrodzie zauważyłem, że księżyc założył ogromną, przepiękną lisią czapę. Nie dochodziły tu żadne odgłosy cywilizacji, panowała cisza, przeplatana jedynie odgłosami przyrody. Jak na połowę listopada było wyjątkowo ciepło, wiejący z zachodu zefirek nie mroził, ale przyjemnie ochładzał ciało. Zamknąłem oczy, pozwalając się pieścić delikatnym podmuchom.

Nagle bardzo blisko usłyszałem pohukiwanie puszczyka. Zaskoczony, spojrzałem w kierunku, z którego dobiegł złowieszczy dźwięk. Nic jednak nie zauważyłem. Tylko u swych stóp dostrzegłem zmiętą, papierową kulkę. Podniosłem ją i rozwinąłem. Byłem bardzo zaskoczony, kiedy ujrzałem treść.

„Elwira D., zmarła w wieku osiemnastu lat. Pogrzeb odbędzie się jutro o godzinie dwunastej.”

Kolejne zaproszenie.

\* \* \*

Ceremonia pogrzebowa była piękna. Stroje, jakie nosili rodzice zmarłej, a także obecni na ceremonii goście wskazywały, że moja oblubienica pochodziła z bardzo zamożnej rodziny. Młoda, piękna i bogata... Któż z nas o takiej nie marzył? A dzisiejszej nocy miała być moja, tylko moja...

Wieczorem spotkała mnie kolejna niespodzianka. Nie musiałem przekopywać się mozolnie przez sterty wiązanek i wieńców. Moja lubą pochowano bowiem nie w

zwykłym grobie, ale w betonowym sarkofagu. Wystarczyło tylko przesunięcie ciężkiej płyty i droga w objęcia ukochanej stała się otworem.

Kiedy dostałem się do wnętrza, tradycyjnie zapaliłem dwie świece. Spoglądałem w milczeniu, jak cienie pełzają po twarzy mojej nowej kochanki. Było w niej coś dziwnego, niespotykanego. Nie była tak biała, jak poprzedniczki. Sprawiała wrażenie, jakby rzeczywiście tylko zasnęła.

Westchnąłem. Całując jej usta wydawało mi się, że są wilgotne, kiedy rozsunąłem nogi poczułem leciutkie pulsowanie ciepła. A może tylko mi się wydawało?

Zamknąłem oczy, rytmicznie poruszając się w niej. Byłem już blisko końca, kiedy moje przytępione zmysły zarejestrowały coś niezwykłego. Nagle poczułem, że ukochana obejmuje mnie, jej paznokcie szarpią moje plecy, rozrywając mięśnie. Usta dziewczyny, do niedawna jeszcze pokryte rozmiękłym szronem, wpiły się w szyję. Krew pulsowała w żyłach, zwiększając rozkosz. Nerwy w szaleńczym tempie miksowały ból z ekstazą, doprowadzając mnie na skraj szaleństwa.

To był największy orgazm, jaki kiedykolwiek przeżyłem. Zielone plamki migotały przed oczami, wyczerpane płuca z trudnością pracowały, świszczący oddech świadczył o skrajnym zmęczeniu. Wykończony, opadłem na ciało oblubienicy.

Oplątany rozkoszą dopiero po długiej chwili zorientowałem się, co oznacza głośny zgrzyt, który usłyszałem...

\* \* \*

Moje płuca coraz niechętniej przyjmują stęchłe powietrze, głód ściska żołądek. Myśli przeplatają się z bolesnymi impulsami, ręce drżą. Tylko do smrodu się przyzwyczaiłem po kilku zaledwie minutach.

Jest ciemno. Kiedy zorientowałem się, że coś stało się z lewarkiem i płyta grobowca opadła, natychmiast zgasiłem świece. Wiedziałem, że muszę dotrzeć do rana, wtedy ktoś przyjdzie i, słysząc moje krzyki, ocali mnie. Tlen kończył się jednak zbyt szybko. Desperacko próbowałem podnieść płytę, choć dobrze wiedziałem, że to

na nic. Tliła się we mnie irracjonalna myśl skazańca, że gdzieś znajduje się otwór, może choć milimetr, choć szparka, by mogło wlecieć świeże powietrze.

Ile tu jestem? Godzinę, dwie, a może tylko kilka minut? Boże, nie pozwól mi tak zginąć!

- Nie pozwoli... - Słyszac szept, odwracam się powoli.

Agnieszka stoi przede mną tak, jak ją pochowano. Ciemne, długie włosy spływają lokami na białą, ślubną suknię. Podkrążone oczy, które wydawały mi się podczas jej pogrzebu nienaturalne, błyszczą teraz zalotnie. Wyciąga ku mnie rękę. Boję się jej dotknąć.

- A... A one? - mówiąc, przełykam głośno ślinę.

- To już nie ma znaczenia. Nie staną na drodze naszemu szczęściu.

- Ale przecież ty nie żyjesz! - Przytępiiony brakiem tlenu umysł ostatkiem sił próbuje walczyć. Uciec stąd, uciec, uciec!!!

- Nie uciekniesz... Pamiętasz? Obiecywałeś... Na zawsze, na dobre i złe, mieliśmy być razem aż po grób. Pamiętasz, prawda?

Podchodzi blisko, przytula się. Szczupłe ręce obejmują moje ciało, dłonie pieszczotliwie przesuwają się po plecach. Zbliża twarz, spoglądając prowokująco w oczy, całuje. Długo, namiętnie, tak jak kiedyś. Oddaję pocałunek. Przenika mnie rozkosz, moje ciało spręża się. Wydaje się, że trwa to i trwa, nie mogąc się skończyć.

- Nie skończy się, chodź... - Pociąga mnie za sobą. Wiem, że nie mam wyjścia. Idę.

## **Robert Rusik**

Urodził się w 1973 roku w Olkuszu. Obecnie mieszkaniec Słupcy, gdzie osiedlił się w 2003 roku. Pisze od stosunkowo niedawna, jego teksty publikowały „PKPzin”, „Kozirynek”, „Cegła”, „Szafa”, „Szortal” Ma na koncie kilka zwycięstw oraz wyróżnień zdobytych w różnych konkurach literackich (organizowanych m.in. przez portale Fantazyzone, Erynie, Weryfikatorium, Apeironmag, Szortal i inne), w tym

prestiżową statuetkę „Kultura 2009” przyznaną przez Słupskie Towarzystwo Kulturalne. Przeważnie pisze fantastykę, choć zdarza mu się uciec w inne rejony literatury. Od 2010 roku felietonista Magazynu Kulturalnego „Apeiron”, od lipca 2011 także „Szufłady”. Prywatnie szczęśliwy mąż oraz ojciec urodzonego w 2006 roku Michałka oraz urodzonej w 2012 roku Oli.